— NEIL GAIMAN —
Ocean na końcu drogi
Najnowsza powieść autora „Amerykańskich bogów”

— NEIL GAIMAN —
Ocean na końcu drogi
Najnowsza powieść autora „Amerykańskich bogów”

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Epilog
Podziękowania

Neil Gaiman

Ocean na końcu drogi

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2013

Tytuł oryginału:
The Ocean at the End of the Lane

Copyright © 2013 by Neil Gaiman

Copyright for the Polish translation © 2013 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:
Irek Konior

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Skład wersji elektronicznej:
pan@drewnianyrower.com

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-352-6

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
e-mail: kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 213 000
www.olesiejuk.pl

Dla Amandy,
która chciała wiedzieć.

„Bardzo dokładnie pamiętam swoje dzieciństwo... Wiedziałem wówczas straszne rzeczy. Ale wiedziałem też, że nie mogę pozwolić, by dorośli się zorientowali, że wiem. To by ich przeraziło”.

Maurice Sendak,
w rozmowie z Artem Spiegelmanem,
„The New Yorker”, 27 września, 1993

To był tylko kaczy staw na samym końcu farmy. W dodatku niespecjalne duży.

Lettie Hempstock nazywała go oceanem, ale wiedziałem, że to niemądre. Powiedziała, że przybyły tu zza oceanu ze starego kraju.

Jej matka mówiła, że Lettie nie pamięta dokładnie, to było bardzo dawno temu, a poza tym, stary kraj zatonął.

Starsza Pani Hempstock, babcia Lettie, twierdziła, że obie się mylą i że miejsce, które zatonęło, nie było tak naprawdę starym krajem. Mówiła też, że pamięta naprawdę stary kraj.

I że naprawdę stary kraj wybuchł.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Prolog

Miałem na sobie niebieski garnitur i białą koszulę, czarny krawat i czarne buty, wyczyszczone i lśniące: strój, w którym zwykle czułem się niezbyt wygodnie, jakbym przywdział skradziony mundur albo udawał dorosłego. Tego dnia jednak ubranie dodawało mi otuchy. Był to odpowiedni strój na ciężki dzień.

Rano zrobiłem, co do mnie należało, wymówiłem słowa, które miałem wypowiedzieć, i przemawiałem szczerze, a potem, po skończonej uroczystości, wsiadłem do samochodu i odjechałem na oślep, bez planu. Miałem do zabicia mniej więcej godzinę przed spotkaniem z ludźmi, których nie widziałem od lat, ściskaniem kolejnych rąk i wypijaniem niezliczonych filiżanek herbaty z odświętnego porcelanowego serwisu. Jeździłem zatem krętymi wiejskimi drogami Sussex, które pamiętałem jak przez mgłę, aż w końcu odkryłem, że zmierzam w stronę centrum miasteczka, toteż skręciłem w pierwszą przypadkową ulicę, najpierw w lewo, potem w prawo. Dopiero wtedy pojąłem dokąd zmierzam, dokąd od początku się kierowałem, i skrzywiłem się na myśl o własnej głupocie.

Jechałem w stronę domu, który nie istniał od dziesięcioleci.

Wtedy przyszło mi do głowy, żeby zawrócić – mijałem właśnie szeroką ulicę, niegdyś będącą wąską żwirową drogą obok pola jęczmienia – zawrócić i pozostawić przeszłość w spokoju. Byłem jednak ciekaw.

Stary dom, ten, w którym przeżyłem siedem lat, odkąd skończyłem pięć aż do dwunastu, został zburzony i zniknął na zawsze. Nowy dom (zbudowany przez rodziców na końcu ogrodu, między krzewami azalii

i zielonym kręgiem w trawie, który nazywaliśmy kręgiem wróżek) sprzedano trzydzieści lat temu.

Gdy go ujrzałem, zwolniłem. W myślach zawsze nazywałem go nowym domem. Skręciłem w podjazd, odkrywając, jak nowi właściciele powiększyli budynek z połowy lat siedemdziesiątych. Zapomniałem, że wzniesiono go z czekoladowobrązowej cegły. Nowi ludzie przerobili maleńki balkonik mojej matki w dwupiętrową oranżerię. Przez chwilę wpatrywałem się w dom, ale o dziwo, wbrew oczekiwaniom, wspomnienia z nastoletnich czasów nie powróciły: ani te dobre, ani złe. Jakiś czas mieszkałem tu jako nastolatek. Fakt ów jednak w żaden sposób nie wpłynął na to, kim się stałem.

Wycofałem wóz z ich podjazdu.

Wiedziałem, że już czas skierować się do gwarnego, pogodnego domu siostry, wysprzątanego i przystrojonego na ten dzień. Będę tam rozmawiał z ludźmi, o których istnieniu zapomniałem wiele lat wcześniej, a oni będą mnie pytać o moje małżeństwo (zakończone dziesięć lat temu, związek, który zużywał się powoli, aż w końcu, jak to zwykle bywa, rozpadł się) i czy spotykam się z kimś nowym (nie; nie byłem nawet pewien, czy jestem gotowy), a także o dzieci (już dorosłe, miały własne życia, żałują, że nie mogły przyjechać tu dzisiaj), pracę (całkiem nieźle, dziękuję, odpowiem, nigdy nie wiedząc, jak właściwie opowiadać o tym, czym się zajmuję. Gdybym mógł o tym mówić, nie robiłbym tego. Tworzę sztukę, czasami prawdziwą sztukę i czasami zapełnia ona pustkę w moim życiu. Część pustki. Nie całą). Będziemy rozmawiać o tych, którzy odeszli, i wspominać zmarłych.

Wąska wiejska droga z mojego dzieciństwa stała się czarną asfaltową szosą, rozdzielającą dwa rozległe osiedla. Pojechałem nieco dalej, oddalając się od miasteczka, w kierunku przeciwnym do tego, w którym powinienem podążać, i sprawiło mi to przyjemność.

Gładka czarna szosa stawała się węższa, bardziej kręta, zamieniła się w jednopasmową drogę zapamiętaną z dzieciństwa, asfalt ustąpił miejsca ubitej ziemi i grubym, przypominającym kości kamieniom.

Wkrótce jechałem już powoli, podskakując, wąską drogą, po obu stronach porośniętą krzewami jeżyn i dzikiej róży, a także kępami leszczyny i dzikim głogiem. Miałem wrażenie, że cofam się w czasie.

Wszystko inne się zmieniło, lecz droga wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem.

Minąłem farmę Carawayów. Kiedy miałem szesnaście lat, całowałem się z rumianą jasnowłosą Callie Anders (która tam mieszkała i której cała rodzina wkrótce przeniosła się na Szetlandy; więcej już jej nie widziałem). Dalej, po obu stronach przez niemal milę ciągnęły się pola: rozległe połacie łąk. Powoli droga zamieniała się w trakt. Zbliżał się jej koniec.

Nim jeszcze skręciłem i ujrzałem ten budynek, przypomniałem go sobie w całej jego wynędzniałej ceglanej okazałości: farmę Hempstocków.

Jej widok mnie zaskoczył, choć przecież tam właśnie zawsze prowadziła droga. Nie mógłbym dojechać dalej. Zaparkowałem samochód w kącie podwórza. Nie kierowałem się żadnym planem. Zastanawiałem się, czy po tych wszystkich latach wciąż jeszcze ktoś tu mieszka, a dokładniej, czy nadal mieszkają tu Hempstockowie. Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, ale też z tego, co pamiętałem z dzieciństwa, trudno ich nazwać prawdopodobnymi ludźmi.

Gdy tylko wysiadłem, uderzył mnie smród krowiego łajna. Ruszyłem ostrożnie przez śmierdzące podwórze w stronę drzwi frontowych. Na próżno szukałem przycisku dzwonka, w końcu zapukałem. Gdy uderzyłem w nie kostkami, drzwi, niedokładnie zamknięte, uchyliły się powoli.

Byłem tu kiedyś, bardzo dawno temu, prawda? Na pewno. Czasem wspomnienia z dzieciństwa kryją się przesłonięte tym, co nastąpiło później, niczym zabawki dziecięce, zapomniane na dnie wypchanej szafy dorosłego, ale nigdy nie giną bez śladu. Stanąłem w sieni.

– Halo?! – zawołałem. – Czy ktoś tu jest?!

Niczego nie usłyszałem. Poczułem za to zapach pieczonego chleba, wosku do mebli i starego drewna. Moje oczy powoli przywykały do mroku: zajrzałem do środka, gotów odwrócić się na pięcie i wyjść, gdy z ciemnego korytarza wyłoniła się starsza kobieta, trzymająca białą ścierkę do kurzu. Długie siwe włosy miała rozpuszczone.

– Pani Hempstock? – spytałem.

Przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie.

– Tak. Faktycznie cię znam, młodzieńcze – rzekła.

– Nie jestem młodzieńcem. Już nie.

– Znam cię, ale kiedy dożywasz mojego wieku, trochę ci się miesza. Kim właściwie jesteś?

– Kiedy tu byłem ostatnio, miałem najwyżej siedem, może osiem lat.

I wtedy się uśmiechnęła.

– Byłeś przyjacielem Lettie? Z drugiego końca drogi?

– Częstowała mnie pani mlekiem. Ciepłym, prosto od krowy. – I wtedy pojąłem, jak wiele lat minęło. – Nie, to nie pani, to musiała być pani matka. Przepraszam.

– Gdy się starzejemy, zamieniamy się we własnych rodziców; wystarczy pożyć dość długo, by ujrzeć twarze powtarzające się w czasie.

Zapamiętałem panią Hempstock, matkę Lettie, jako tęgawą kobietę. Ta była chuda jak patyk, zdawała się krucha. Wyglądała jak jej matka, zwana Starszą Panią Hempstock.

Czasami, kiedy patrzę w lustro, widzę twarz ojca, nie własną, i przypominam sobie, jak uśmiechał się do siebie w zwierciadle przed wyjściem.

– Całkiem nieźle – mówił z aprobatą do swego odbicia. – Całkiem nieźle.

– Przyszedłeś zobaczyć się z Lettie? – spytała pani Hempstock.

– A jest tutaj? – Ta myśl mnie zaskoczyła. Bo przecież wyjechała, prawda? Tylko gdzie? Do Ameryki?

Stara kobieta pokręciła głową.

– Właśnie miałam nastawić czajnik. Wypijesz kropelkę herbaty?

Zawahałem się. Potem odparłem, że jeśli nie ma nic przeciw temu, chciałbym odwiedzić kaczy staw.

– Kaczy staw?

Wiedziałem, że Lettie jakoś śmiesznie go nazywała. Przynajmniej tyle pamiętałem.

– Nazywała go morzem. Czy jakoś podobnie.

Stara kobieta odłożyła ścierkę na toaletkę.

– Ale morska woda nie nadaje się do picia. Za słona. To jakbyś pił krew. Pamiętasz drogę? Wystarczy skręcić w bok od domu. Idź ścieżką.

Gdybyście spytali mnie godzinę wcześniej, odparłbym, że nie, nie pamiętam drogi. Wówczas nie pamiętałbym nawet imienia i nazwiska Lettie Hempstock. Lecz gdy tak stałem w sieni, wszystko powracało. Wspomnienia czekały na skraju świadomości, przyzywając mnie do siebie. Gdybyście wówczas powiedzieli mi, że znów mam siedem lat, może przez chwilę nawet bym wam wierzył.

– Dziękuję.

Wyszedłem na podwórze. Minąłem kurnik, starą stodołę i skraj pola. Pamiętałem gdzie jestem i napawałem się tą wiedzą. W skraj łąki wrastała leszczyna. Zerwałem garść zielonych orzechów i schowałem do kieszeni.

Zaraz będzie staw, pomyślałem. Muszę tylko okrążyć tę szopę i go zobaczę.

Zobaczyłem i poczułem dziwną dumę z siebie, jakby ten jeden wysiłek pamięci pozwolił mi zdmuchnąć część wcześniejszych pajęczyn.

Staw był mniejszy, niż go zapamiętałem. Na drugim brzegu stała mała drewniana szopa, a przy ścieżce staroświecka ciężka ławka z drewna i metalu. Obłażące deszczułki kilka lat wcześniej pomalowano zieloną farbą. Usiadłem na niej i spojrzałem na odbicie nieba w wodzie, zieloną pianę rzęsy przy brzegach i pół tuzina liści nenufarów. Od czasu do czasu ciskałem orzechem do stawu – stawu, który Lettie Hempstock nazywała...

Nie morzem, prawda?

Byłaby starsza niż ja teraz. W tamtych czasach była zaledwie parę lat starsza ode mnie, choć wysławiała się dość zabawnie. Miała jedenaście lat. A ja... Ile właściwie? Działo się to po nieudanym przyjęciu urodzinowym. Tyle wiedziałem. Zatem musiałem mieć siedem lat.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wpadliśmy do wody. Czy wepchnąłem ją do stawu, ową dziwną dziewczynę mieszkającą na farmie na samym końcu drogi? Pamiętałem ją w wodzie. Może to ona mnie wepchnęła.

Dokąd wyjechała? Do Ameryki? Nie, do Australii. Właśnie. Gdzieś bardzo, bardzo daleko.

A staw to nie było morze. To był ocean.

Ocean Lettie Hempstock.

I kiedy to mi się przypomniało, przypomniałem sobie też wszystko inne.

I

Nikt nie przyszedł na moje siódme urodziny.

Na stole czekały desery i galaretki, obok każdego nakrycia leżał kolorowy kapelusz, a na środku stał tort urodzinowy z siedmioma świeczkami. Na torcie narysowano lukrem książkę. Moja matka, która zorganizowała przyjęcie, mówiła, że pani z piekarni stwierdziła, że nigdy wcześniej nie ozdabiali książką tortu urodzinowego i że chłopcy najczęściej wybierali piłkę nożną albo rakietę. Ja byłem ich pierwszą książką.

Gdy stało się oczywiste, że nikt się nie zjawi, matka zapaliła siedem świeczek na torcie, a ja je zdmuchnąłem. Zjadłem kawałek, podobnie moja młodsza siostra i jedna z jej koleżanek (obie uczestniczące w przyjęciu w roli obserwatorów, nie gości), a potem uciekły rozchichotane do ogrodu.

Matka przygotowała też gry i zabawy, lecz ponieważ nikt się nie pojawił, nawet moja siostra, w nic nie zagraliśmy i sam rozwinąłem gazetę, w którą zapakowała prezent-zagadkę, odsłaniając niebieską plastikową figurkę Batmana. Było mi smutno, że nikt nie przyszedł na przyjęcie, ale ucieszyłem się, że dostałem Batmana, a na górze czekał na mnie także mój urodzinowy prezent, ozdobna edycja całej Narnii. Położyłem się na łóżku i pogrążyłem w lekturze.

Lubiłem to. Książki były znacznie bezpieczniejszym towarzystwem od ludzi.

Rodzice podarowali mi także płytę z największymi przebojami Gilberta i Sullivana, dodatek do dwóch, które wcześniej posiadałem. Odkąd skończyłem trzy lata, uwielbiałem Gilberta i Sullivana – wówczas to

młodsza siostra ojca, moja ciotka, zabrała mnie na *Iolanthe*, sztukę pełną rycerzy i wróżek. Prawdę mówiąc, znacznie łatwiej przyszło mi zrozumieć istnienie i naturę wróżek niż rycerzy. Ciotka wkrótce potem zmarła w szpitalu na zapalenie płuc.

Tego wieczoru ojciec wrócił z pracy do domu i przyniósł ze sobą kartonowe pudełko. W środku tkwił czarny kociak o miękkim futerku i nieokreślonej płci. Natychmiast nazwałem go Puszkiem i pokochałem namiętnie, całym sercem.

Puszek w nocy spał na moim łóżku. Rozmawiałem z nim czasem, gdy w pobliżu nie kręciła się młodsza siostra, i niemal oczekiwałem, że odpowie w ludzkim języku. Nigdy nie odpowiedział. Nie przeszkadzało mi to jednak. Kociak był czuły, zainteresowany moją osobą i stanowił świetnego kompana dla kogoś, czyje siódme przyjęcie urodzinowe składało się ze stołu z lukrowanymi ciasteczkami, budyniem, tortem i piętnastu pustych składanych krzeseł.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek spytałem inne dzieciaki z mojej klasy, czemu nie zjawiły się na przyjęciu. Tak naprawdę nie musiałem ich pytać. W końcu nie były moimi przyjaciółmi, tylko ludźmi, z którymi chodziłem do szkoły.

Kiedy się z kimś zaprzyjaźniałem, to powoli.

Miałem książki, a teraz jeszcze kociaka. Wiedziałem, że będziemy jak Dick Whittington i jego kot, a nawet – jeśli Puszek okaże się wyjątkowo inteligentny – jak syn młynarza i Kot w Butach. Kociak sypiał na mojej poduszce, czekał też na mnie, kiedy wracałem ze szkoły, siedząc na podjeździe przed domem, obok ogrodzenia, dopóki miesiąc później nie rozjechała go taksówka, która przywiozła do naszego domu górnika opali.

Nie było mnie tam, kiedy to się stało.

Tego dnia wróciłem do domu ze szkoły, i kociak na mnie nie czekał. W kuchni siedział wysoki rosły mężczyzna o opalonej skórze, ubrany w kraciastą koszulę. Pił kawę przy kuchennym stole, czułem jej zapach. W owych czasach kawa oznaczała zawsze tę rozpuszczalną, gorzki ciemnobrązowy proszek ze słoika.

– Obawiam się, że kiedy tu przyjechałem, doszło do drobnego wypadku – oznajmił wesoło. – Ale nie martw się. – Akcent miał ostry, obcy: był pierwszym Południowym Afrykaninem, z jakim się zetknąłem.

On także położył na stole przed sobą kartonowe pudełko.

– Ten czarny kociak należał do ciebie? – spytał.

– Na imię ma Puszek – odparłem.

– Tak. Jak mówiłem, drobny wypadek. Ale nie martw się. Pozbyłem się trupka. Nie musisz się kłopotać. Załatwiłem sprawę. Otwórz pudełko.

– Co?

Pokazał ręką.

– Otwórz je – polecił.

Górnik opali był wysokim mężczyzną. Za każdym razem, prócz ostatniego, nosił dżinsy i kraciastą koszulę. Wokół jego szyi połyskiwał gruby łańcuch z jasnego złota. Kiedy ostatni raz go widziałem, on także zniknął.

Nie chciałem otwierać pudełka. Chciałem odejść sam i opłakać kociaka, ale nie mogłem tego zrobić, kiedy ktoś się na mnie gapił. Chciałem odprawić żałobę. Chciałem pogrzebać przyjaciela na końcu ogrodu obok zielonego trawiastego kręgu wróżek, w norze wśród krzaków rododendronów za stertą siana, gdzie nikt prócz mnie nie chodził.

Pudełko się poruszyło.

– Kupiłem go dla ciebie – oznajmił mężczyzna. – Zawsze spłacam długi.

Wyciągnąłem rękę i uniosłem płaską przykrywkę pudełka, zastanawiając się, czy to żart i czy w środku nie siedzi mój kociak. Zamiast tego wyjrzała z niego ruda wojownicza mordka.

Górnik opali wyciągnął kota z pudełka.

To był wielki rudy pasiasty kocur, któremu brakowało połowy ucha. Spojrzał na mnie gniewnie. Kotu wyraźnie nie podobało się w pudełku. Nie przywykł do pudełek. Sięgnąłem, by go pogłaskać, czując się, jakbym zdradzał pamięć mojego kociaka, on jednak cofnął się, nie dając się dotknąć, syknął na mnie i odmaszerował w najdalszy kąt, gdzie usiadł, posyłając mi nienawistne spojrzenia.

– No proszę. Kot za kota. – Górnik opali zmierzwił mi włosy skórzastą dłonią, potem wyszedł na korytarz, zostawiając mnie w kuchni z kotem niebędącym moim kociakiem. Po chwili wsunął głowę przez drzwi. – Ma na imię Potwór – dodał.

Wszystko to przypominało kiepski dowcip.

Otworzyłem drzwi kuchenne, żeby kot mógł wyjść. Potem poszedłem do sypialni i padłem na łóżko, opłakując martwego Puszka. Kiedy wieczorem rodzice wrócili do domu, ani słowem nie wspomnieli o kociaku.

Potwór mieszkał z nami jakiś tydzień, może dłużej. Rano wystawiałem mu miseczkę z kocią karmą, tak samo wieczorem, jak dla mojego kociaka. Siedział przy tylnych drzwiach, czekając, aż go wypuszczę, albo zrobi to ktoś inny. Widywaliśmy go w ogrodzie, przemykającego od krzaka do krzaka, między drzewami lub w poszyciu. Mogliśmy śledzić jego ruchy dzięki martwym sikorkom i drozdom, znajdowanym w ogrodzie, ale on sam pojawiał się rzadko.

Tęskniłem za Puszkiem. Wiedziałem, że nie można ot tak zastąpić żywej istoty, ale nie odważyłem się poskarżyć rodzicom. Mój żal by ich zdumiał: ostatecznie, choć kociak zginął, dostałem nowego. Strata została wyrównana.

Wszystko to powróciło i w tym momencie pojąłem, że nie potrwa długo: przypomniałem to sobie, siedząc na zielonej ławce obok niewielkiego stawu, który, jak wmówiła mi kiedyś Lette Hempstock, miał być oceanem.

II

W dzieciństwie nie byłem szczęśliwy, choć od czasu do czasu zdarzały mi się chwile radości. Bardziej niż gdziekolwiek indziej żyłem w książkach.

Nasz dom był wielki, miał wiele pokoi. Świetnie się to sprawdzało, gdy rodzice go kupili i ojciec miał pieniądze, ale później już nie.

Pewnego popołudnia zawołali mnie do swojej sypialni, bardzo oficjalnie. Uznałem, że musiałem zrobić coś złego i że czeka mnie bura, ale nie: oznajmili jedynie, że nie są już tacy zamożni jak kiedyś, że wszyscy musimy poczynić pewne wyrzeczenia, i że ja będę musiał wyrzec się mojego pokoju, niewielkiej sypialni na górze przy schodach. Zrobiło mi się smutno: w sypialni miałem malutką żółtą umywalkę, zamontowaną specjalnie dla mnie, mojego rozmiaru; pokój mieścił się nad kuchnią i tuż nad pokojem telewizyjnym, toteż nocami słyszałem przez uchylone drzwi dodający otuchy pomruk dorosłych rozmów dobiegający z dołu i nie czułem się sam. Poza tym, kiedy byłem u siebie, nikomu nie przeszkadzało, że nie domykam drzwi wejściowych, wpuszczając do środka dość światła, by nie bać się ciemności, i, co równie ważne, mogąc czytać w sekrecie w łóżku w słabym blasku żarówki z korytarza, jeśli zdarzyła się taka potrzeba. A zawsze się zdarzała.

Wygnany do wielkiej sypialni młodszej siostry nie czułem się nieszczęśliwy. Już wcześniej stały tam trzy łóżka, zająłem to pod oknem. Uwielbiałem fakt, że dawało się wyjść przez nie na długi ceglany balkon i że mogłem sypiać przy otwartym oknie, czując na twarzy wiatr i deszcz. Tyle że cały czas kłóciliśmy się z siostrą, dosłownie o wszystko. Lubiła

sypiać z zamkniętymi drzwiami i nasze ciągłe spory o to rozwiązała w końcu matka, przygotowując rozpiskę, którą powiesiła na drzwiach i na której co druga noc należała do mnie bądź do siostry. Każdej nocy zasypiałem zadowolony bądź przerażony, w zależności od tego, czy drzwi pozostawały otwarte, czy zamknięte.

Mój dawny pokój na górze wynajęto i przewinęło się przez niego sporo ludzi. Do wszystkich podchodziłem podejrzliwie: sypiali w mojej sypialni, używali mojej małej żółtej umywalki idealnych rozmiarów dla mnie. Między innymi mieszkała tam gruba Austriaczka, która twierdziła, że potrafi wychodzić z głowy i łazić po suficie, student architektury z Nowej Zelandii, amerykańska para, którą oburzona matka wyrzuciła, odkrywszy, że nie mają ślubu, a teraz górnik opali.

Pochodził z Południowej Afryki, choć pieniądze zarobił, wydobywając opale w Australii. Podarował mnie i siostrze po jednym szorstkim czarnym kamyku, w każdym tkwił zamknięty zielono-niebiesko-czerwony ogień. Siostra polubiła go za to i niezwykle ceniła sobie swój opal. Ja nie potrafiłem mu wybaczyć śmierci kociaka.

Był pierwszy dzień wiosennych wakacji: trzech tygodni wolnego. Obudziłem się wcześnie, zachwycony perspektywą niekończących się dni, które mogłem zapełnić, jak tylko pragnąłem. Będę czytać. Będę zwiedzać.

Włożyłem szorty, koszulkę i sandały. Zszedłem na dół do kuchni. Ojciec gotował, matka jeszcze spała. Miał na sobie szlafrok zarzucony na piżamę. Często przyrządzał śniadanie w sobotę.

– Tato! – zawołałem. – Gdzie mój komiks?

Zawsze kupował mi egzemplarz *Smasha!* przed powrotem do domu w piątek, a ja czytałem go w sobotni ranek.

– Na tylnym siedzeniu samochodu. Chcesz grzankę?

– Tak – odparłem – ale nie przypaloną.

Mój ojciec nie lubił tosterów. Przypiekał chleb na kuchence i zazwyczaj go przypalał.

Wyszedłem na dwór. Rozejrzałem się. Wróciłem do domu, pchnąłem drzwi kuchenne, wszedłem do środka. Lubiłem drzwi kuchenne. Otwierały się w obie strony, tak by służba sześćdziesiąt lat wcześniej mogła wchodzić i wychodzić z pełnymi rękami, dźwigając puste bądź pełne naczynia.

– Tato? Gdzie jest samochód?

– Na podjeździe.

– Nie ma go tam.

– Co?

Zadzwonił telefon, ojciec wyszedł na korytarz, żeby odebrać. Słyszałem, jak z kimś rozmawia.

Grzanka na blasze zaczęła dymić.

Wspiąłem się na krzesło i wyłączyłem kuchenkę.

– Dzwoniła policja – oznajmił ojciec. – Ktoś zgłosił, że widział nasz samochód porzucony na końcu drogi. Powiedziałem, że nawet jeszcze nie zgłosiłem kradzieży. No dobra. Możemy tam pójść teraz i spotkać się z nimi. Grzanka!

Wyciągnął blachę z kuchenki. Grzanka dymiła, z jednej strony całkiem poczerniała.

– Jest tam mój komiks? Czy go ukradli?

– Nie wiem. Policjant nie wspominał o twoim komiksie.

Ojciec posmarował masłem fistaszkowym przypalone strony grzanek, zamienił szlafrok na płaszcz narzucony na piżamę, włożył buty, i razem ruszyliśmy drogą. Po drodze przeżuwał grzankę. Ja ściskałem swoją w ręku, nie jadłem.

Może pięć minut maszerowaliśmy wąską dróżką między polami, gdy z tyłu podjechał do nas radiowóz. Zwolnił, kierowca powitał ojca po nazwisku.

Schowałem za plecami przypaloną grzankę, a tymczasem ojciec rozmawiał z kierowcą. Wolałbym, by rodzice kupowali zwykły krojony biały chleb, taki, który wkłada się w tostery, jak wszystkie inne znane mi rodziny. Ojciec znalazł miejscową piekarnię, w której piekli grube bochny ciężkiego brązowego chleba, i upierał się, by przynosić je do domu. Twierdził, że smakują lepiej. Według mnie była to czysta bzdura. Prawdziwy chleb był biały, pokrojony i nie smakował niczym: o to właśnie chodziło.

Kierowca radiowozu wysiadł, otworzył drzwi pasażera i kazał mi wsiąść. Ojciec zajął miejsce z przodu obok niego.

Radiowóz powoli toczył się drogą. W tamtych czasach jeszcze jej nie wyasfaltowano: była dość szeroka, by pomieścić jeden wóz, pełna kałuż i wybojów, sterczały z niej kamienie, a pośrodku pozostały koleiny wyryte przez sprzęt rolniczy, deszcz i czas.

– Te dzieciaki – rzucił policjant. – Uważają, że to zabawne. Kradną czyjś wóz, trochę pojeżdżą i porzucają. To na pewno miejscowi.

– Po prostu cieszę się, że tak szybko go znaleźliście – odparł ojciec.

Minęliśmy farmę Carawayów; drobna dziewczynka o włosach tak jasnych, że niemal białych, i bardzo czerwonych policzkach odprowadziła nas wzrokiem. Na kolanach trzymałem przypaloną grzankę.

– Dziwne jednak, że zostawili go aż tutaj – dodał policjant – bo stąd wszędzie daleko.

Pokonaliśmy zakręt i ujrzeliśmy stojącego na poboczu białego mini. Parkował tuż przed bramą prowadzącą na pola, koła zapadły się głęboko w brązowe błocko. Wyminęliśmy go i zatrzymaliśmy się na trawiastym poboczu. Policjant mnie wypuścił i we trójkę pomaszerowaliśmy do wozu, tymczasem kierowca opowiadał ojcu o przestępczości w okolicy i dlaczego bez wątpienia to robota miejscowych dzieciaków, a potem ojciec otworzył drzwi od strony pasażera zapasowym kluczykiem.

– Ktoś zostawił coś na tylnym siedzeniu – rzekł.

Sięgnął ręką i odsunął niebieski koc pokrywający to coś na tylnym siedzeniu, choć policjant mówił mu, że nie powinien tego robić, a ja wpatrywałem się w fotel, bo powinien leżeć tam mój komiks i dlatego to zobaczyłem.

Właśnie to, to coś, co widziałem. Nie jego.

Choć byłem bardzo pobudliwym dzieckiem, skłonnym do nocnych koszmarów, kiedy miałem sześć lat, przekonałem rodziców, by zaprowadzili mnie do londyńskiego Gabinetu Figur Woskowych Madame Tussaud, bo chciałem odwiedzić Komnatę Grozy, spodziewając się, że znajdę w niej kinowe potwory, o których czytałem w komiksach. Pragnąłem poczuć dreszczyk na widok woskowego Draculi, potwora Frankensteina i Wilkołaka. Zamiast tego odkryłem, że wędruję pośród niekończącej się serii dioram przedstawiających nieciekawych, ponurych mężczyzn i kobiety, którzy zamordowali innych ludzi – zazwyczaj lokatorów i członków własnych rodzin – i także zostali zamordowani: przez powieszenie, na krzesłach elektrycznych, w komorach gazowych. Większość z nich przedstawiono z ofiarami w niezręcznych sytuacjach towarzyskich: siedzących dokoła zastawionego stołu, przy którym konali zatruci członkowie rodziny. Tabliczki tłumaczące kto jest kim informowały, że większość wymordowała rodziny i sprzedała ich ciała na anatomię. To

wtedy słowo „anatomia” nabrało w moim umyśle posmaku grozy. Nie miałem pojęcia, co oznacza, wiedziałem tylko, że to anatomia sprawia, że ludzie mordują własne dzieci.

Przed wybiegnięciem z krzykiem z Komnaty Grozy podczas zwiedzania powstrzymał mnie jedynie fakt, iż żadna z figur woskowych nie była w pełni przekonująca. Nie wyglądały na naprawdę martwe, bo żadna z nich nie wydawała się żywa.

To coś na tylnym siedzeniu, okryte niebieskim kocem (znałem ten koc. Leżał w mojej starej sypialni na półce, na wypadek gdyby zrobiło się zimno) też nie było przekonujące. Trochę przypominało górnika opali, ale ubranego w czarny garnitur, białą koszulę z falbankami i czarną muszkę. Włosy miało zaczesane do tyłu i sztucznie lśniące. Oczy patrzyły w dal. Wargi posiniały, skórę pokrywał mocny rumieniec. Przypominało to parodię zdrowia. Wokół szyi nie lśnił złoty łańcuch.

Pod spodem widziałem wymiętoszony i pogięty mój egzemplarz *Smasha!* z Batmanem na okładce, wyglądającym zupełnie jak w telewizji.

Nie pamiętam, co wtedy mówiliśmy, tylko tyle, że kazali mi odsunąć się od samochodu. Przeszedłem na drugą stronę i zostałem sam, a tymczasem policjant rozmawiał z ojcem i zapisywał coś w notesie.

Wpatrywałem się w mini. Od rury wydechowej do okna od strony kierowcy ciągnął się zielony ogrodowy szlauch. Rurę wymazano grubą warstwą brązowego błota, która go tam przytrzymała.

Nikt mnie nie pilnował. Ugryzłem grzankę. Była przypalona i zimna.

W domu to ojciec zjadał najbardziej spalone kawałki grzanek.

– Mniam, mniam – mówił. – Węgiel! Bardzo zdrowy! I przypalona grzanka, moja ulubiona. – A potem zjadał wszystko.

Kiedy byłem znacznie starszy, wyznał mi, że tak naprawdę nie lubił spalonych grzanek, zjadał je tylko, by się nie zmarnowały, i przez ułamek sekundy odniosłem wrażenie, że całe moje dzieciństwo stało się kłamstwem: jakby jeden z filarów wiary, na których wspierał się mój świat, nagle runął i rozpadł się w pył.

Policjant rozmawiał przez radio przed radiowozem.

Potem przeszedł przez drogę i zbliżył się do mnie.

– Przepraszam cię za to, synu – rzekł. – Za chwilę podjedzie tu jeszcze kilka wozów. Będziesz musiał gdzieś poczekać, żeby nam nie przeszkadzać. Chciałbyś może posiedzieć w moim samochodzie?

Pokręciłem głową. Nie chciałem znów tam wsiadać.

– Mógłby pójść ze mną na farmę – podsunął obcy dziewczęcy głos. – To żaden kłopot.

Była znacznie starsza ode mnie, wyglądała na co najmniej jedenaście lat. Miała rudobrązowe włosy, dość krótkie jak na dziewczynę, i zadarty nos pokryty piegami. Ubrała się w czerwoną spódnicę – w naszych okolicach dziewczyny rzadko nosiły wtedy dżinsy. Mówiła z miękkim akcentem z Sussex, z jej twarzy spoglądały bystre, niebieskoszare oczy.

Policjant podszedł wraz z nią do ojca, który zgodził się, by mnie zabrała. Po chwili maszerowałem już drogą obok niej.

– W naszym samochodzie jest trup – oznajmiłem.

– Dlatego właśnie tam przyjechał – odparła. – Na koniec drogi. Nikt by go tu nie znalazł i nie powstrzymał o trzeciej nad ranem. A tutejsze błoto jest mokre i łatwo się lepi.

– Myślisz, że się zabił?

– Tak. Lubisz mleko? Babcia właśnie doi Bessie.

Zastanowiłem się. Nigdy nie piłem mleka niepochodzącego z butelki.

– Chętnie się napiję.

Zatrzymaliśmy się w niewielkiej stodole, w której stara kobieta, znacznie starsza od moich rodziców, o długich siwych włosach przypominających pajęczynę i szczupłej twarzy, stała obok krowy. Do każdego wymienia zamontowano długie czarne rurki.

– Kiedyś doiłyśmy ręcznie – oznajmiła. – Ale tak jest łatwiej.

Pokazała mi, jak mleko wypływa z krowy czarnymi rurkami do maszyny, potem chłodziarki i wreszcie do wielkich metalowych baniek. Bańki stały na ciężkiej drewnianej platformie przed stodołą, z której każdego dnia zabierała je ciężarówka.

Starsza pani wręczyła mi kubek kremowego mleka od krowy Bessie, świeżego, nim jeszcze trafiło do chłodziarki. Nic w moim życiu nie smakowało równie dobrze: mocne, ciepłe, płynne szczęście w moich ustach. Pamiętałem to mleko, gdy już zapomniałem o wszystkim innym.

– Na drodze jest ich więcej – oznajmiła nagle staruszka. – Zjeżdżają się różni z migającymi światłami. Strasznie tam dyskutują. Zaprowadź chłopaka do kuchni. Jest głodny, kubek mleka nie wystarczy rosnącemu chłopcu.

– Jadłeś coś? – spytała dziewczyna.

– Tylko grzankę. Była przypalona.

– Nazywam się Lettie – oznajmiła. – Lettie Hempstock. To jest Farma Hempstocków. Chodź. – Poprowadziła mnie drzwiami frontowymi do gigantycznej kuchni, posadziła przy wielkim drewnianym stole, pokrytym tak gęstymi plamami i wzorami, że zdawało mi się, że ze starego blatu spoglądają na mnie czyjeś twarze.

– Tu wcześnie jadamy śniadanie – powiedziała. – Zaczynamy dojenie o świcie. Ale w rondlu masz owsiankę i dżem, żeby ją przyprawić.

Wręczyła mi porcelanowy talerz pełen ciepłej owsianki z kuchni i łychę domowego dżemu jagodowego, mojego ulubionego. Wrzuciła ją na talerz i zalała śmietaną. Przez chwilę mieszałem łyżką, rozmazując dżem w fioletową breję, szczęśliwy jak nigdy, a potem skosztowałem. Smakowało idealnie.

Do środka wmaszerowała przysadzista kobieta. W krótko przystrzyżonych rudobrązowych włosach połyskiwały siwe kosmyki. Miała rumiane policzki, ciemnozieloną spódnicę sięgającą kolan i gumiaki.

– To musi być chłopak z domu przy drodze – rzekła. – Straszne zamieszanie z tym samochodem. Wkrótce ich pięciu zjawi się tu na herbatę.

Lettie napełniła wodą z kranu wielki miedziany czajnik. Zapaliła zapałką gaz i postawiła czajnik na palniku. Potem wyjęła z kredensu pięć poobijanych kubków; zawahała się, patrząc na kobietę.

– Masz rację – rzekła tamta. – Sześciu. Doktor też przyjdzie. – Potem ściągnęła wargi i sapnęła z irytacją. – Przeoczyli list – dodała. – Napisał go tak starannie, złożył i schował do kieszonki na piersi, a oni nawet tam nie zajrzeli.

– Co w nim pisze? – spytała Lettie.

– Sama przeczytaj – rzuciła kobieta. Uznałem, że to matka Lettie. Wyglądała jak czyjaś matka. – Pisze, że zabrał wszystkie pieniądze, które oddali mu przyjaciele, by przemycił je z Afryki Południowej, i złożył dla nich w banku w Anglii, a także wszystko, co zarobił przez lata w kopalni opali, pojechał do kasyna w Brighton i zagrał, ale zamierzał grać wyłącznie za swoje. A potem chciał tylko sięgnąć do pieniędzy przyjaciół, żeby odzyskać to, co stracił. – A potem niczego już nie miał – dodała – i wszystko spowił mrok.

– Wcale tego nie napisał. – Lettie zmrużyła oczy. – Napisał to:

Do wszystkich moich przyjaciół,

Przykro mi, że nie poszło tak, jak miało. Mam nadzieję, że w głębi serc znajdziecie dość sił, by mi wybaczyć, bo ja nie potrafię wybaczyć sobie.

– To to samo – odparła starsza kobieta. Odwróciła się do mnie. – Jestem mamą Lettie – oświadczyła. – Moją matkę poznałeś już w dojarni. Jestem pani Hempstock, ale ona była nią przede mną, więc mówimy jej Starsza Pani Hempstock. Mieszkamy na Farmie Hempstocków, najstarszej w okolicy. Jest w *Księdze Sądu Ostatecznego*.

Zastanawiałem się, czemu te wszystkie kobiety nazywają się Hempstock, ale nie spytałem, tak samo jak nie odważyłem się zapytać, skąd wiedzą o liście samobójcy, ani o tym, o czym myślał przed śmiercią górnik opali. Podchodziły do tego jak gdyby nigdy nic.

– Zachęciłam go, żeby zajrzał do kieszonki na piersi – oznajmiła Lettie. – Uzna, że sam wpadł na ten pomysł.

– Grzeczna dziewczynka – odparła pani Hempstock. – Zjawią się tu, kiedy woda zawrze, żeby spytać, czy widziałyśmy cokolwiek niezwykłego, i napić się herbaty. Może zaprowadzisz chłopaka nad staw?

– To nie staw – poprawiła Lettie. – To mój ocean. – Odwróciła się do mnie. – Chodź – rzekła i wyprowadziła mnie z domu tą samą drogą.

Dzień nadal był szary.

Okrążyliśmy dom krowią ścieżką.

– Czy to prawdziwy ocean? – spytałem.

– O, tak – odparła.

Natknęliśmy się na niego nagle: ujrzałem drewnianą szopę, starą ławkę, a między nimi kaczy staw, ciemną wodę pokrytą rzęsą i liśćmi nenufarów. Przy brzegu, na powierzchni pływała martwa ryba, srebrna jak moneta.

– Niedobrze – mruknęła Lettie.

– Zdawało się, że mówiłaś o oceanie – rzekłem. – Tak naprawdę to tylko staw.

– To jest ocean – upierała się. – Natknęłyśmy się na niego, kiedy byłam malutka, gdy przybyłyśmy ze starego kraju.

Lettie zniknęła w szopie i wyłoniła się z długą bambusową tyczką, na której końcu zamocowano coś przypominającego siatkę na krewetki.

Pochyliła się, ostrożnie wsunęła siatkę pod martwą rybę. Wyłowiła ją.

– Ale farma Hempstocków jest przecież w *Księdze Sądu Ostatecznego* – zaprotestowałem. – Tak mówiła twoja mama. A to było za Wilhelma Zdobywcy.

– Owszem – zgodziła się Lettie Hempstock.

Wyciągnęła z siatki martwą rybę i obejrzała ją. Wciąż była miękka, nie sztywna, i oklapła jej w dłoni. Nigdy w życiu nie widziałem tak wielu kolorów: owszem, łuski miała srebrne, ale pod srebrem kryły się błękit, zieleń i fiolet, a każdą z nich okalała czarna obwódka.

– Co to za ryba? – spytałem.

– To bardzo dziwne – odparła. – No wiesz, większość ryb w tym oceanie nie umiera. – Wyciągnęła scyzoryk w rogowej oprawie, choć nie widziałem skąd, i wbiła go w brzuch ryby, rozcinając ją aż po ogon. – Oto, co ją zabiło – dodała.

Wyciągnęła coś ze środka ryby. Potem wcisnęła, nadal tłuste od wnętrzności, w moją dłoń. Pochyliłem się, zanurzyłem przedmiot w wodzie, potarłem palcami, by oczyścić. Przez chwilę wpatrywałem się w oblicze królowej Wiktorii.

– Sześciopensówka? Ryba zjadła sześciopensówkę?

– To niedobrze, prawda? – rzuciła Lettie Hempstock. Nagle zaświeciło słońce, ukazujące piegi na jej policzkach i nosie; w miejscach, gdzie padały na nie słoneczne promienie, jej włosy mieniły się miedzianą czerwienią. Po chwili dodała: – Twój ojciec zastanawia się, gdzie jesteś. Czas wracać.

Próbowałem oddać jej małą srebrną sześciopensówkę, ale ona pokręciła głową.

– Zatrzymaj ją – powiedziała. – Możesz sobie kupić czekoladki albo galaretki cytrynowe.

– Raczej nie – odparłem. – Jest za mała. Nie wiem, czy w dzisiejszych czasach sklepy przyjmą taką sześciopensówkę.

– No to wrzuć ją do skarbonki. Może przyniesie ci szczęście? – W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie, jakby nie była pewna, jakie szczęście może przynieść podobne znalezisko.

Policjant, mój ojciec i dwóch mężczyzn w brązowych garniturach i krawatach stali w kuchni na farmie. Jeden z mężczyzn oznajmił, że jest policjantem, ale nie miał na sobie munduru, co mnie rozczarowało: byłem pewien, że gdybym sam pracował w policji, przy każdej okazji nosiłbym

mundur. W drugim mężczyźnie w garniturze rozpoznałem doktora Smithsona, naszego lekarza rodzinnego. Właśnie kończyli herbatę.

Mój ojciec podziękował pani Hempstock i Lettie za to, że się mną zajęły; odparły, że to żaden kłopot i że mógłbym je znów odwiedzić. Policjant, który podrzucił nas do samochodu, teraz odwiózł nas do domu i wysadził na końcu podjazdu.

– Najlepiej będzie, jeśli nie wspomnisz o tym wszystkim siostrze – rzekł mój ojciec.

Z nikim nie chciałem o tym rozmawiać. Znalazłem sobie niezwykłe miejsce, zdobyłem nową przyjaciółkę, straciłem komiks, w dłoni mocno ściskałem starą srebrną sześciopensówkę.

– Czym się różni ocean od morza? – spytałem.

– Jest większy – odparł ojciec. – Ocean jest znacznie większy od morza. A czemu pytasz?

– Tak tylko sobie myślałem. Czy ocean mógłby być mały jak staw?

– Nie – odpowiedział ojciec. – Stawy są wielkości stawów, jeziora wielkości jezior, morza to morza, oceany to oceany. Atlantycki, Spokojny, Indyjski, Arktyczny. To chyba wszystkie, jakie istnieją.

Ojciec poszedł na górę do sypialni opowiedzieć o wszystkim mamie i porozmawiać przez telefon. Ja wrzuciłem srebrną sześciopensówkę do skarbonki. Była to świnka z porcelany, z której nie da się nic wydłubać. Pewnego dnia, gdy nie pomieści już więcej monet, będę mógł ją stłuc, ale wiele jej jeszcze brakowało.

III

Nigdy więcej nie widziałem białego minicoopera. Dwa dni później, w poniedziałek, mój ojciec odebrał czarnego rovera o popękanych siedzeniach z czerwonej skóry. Był większy od mini, ale nie tak wygodny. W skórzaną tapicerkę na dobre wsiąkł zapach starych cygar, i po długich przejażdżkach na tylnym siedzeniu rovera zawsze robiło się nam niedobrze.

Nie tylko czarny rover zjawił się w poniedziałek rano. Dostałem także list.

Miałem siedem lat i nigdy nie dostawałem listów. Kartki owszem, urodzinowe, od dziadków i od Ellen Henderson, przyjaciółki matki, której nie znałem. W moje urodziny Ellen Henderson, mieszkająca w przyczepie, przysyłała mi chusteczkę. Nie dostawałem listów. Mimo to, co dzień sprawdzałem pocztę, upewniając się, że niczego dla mnie nie ma.

I tego ranka było.

Otworzyłem kopertę, nie zrozumiałem, na co patrzę, i zaniosłem ją matce.

– Wygrałeś w loterii obligacji Premium – oznajmiła.

– Co to znaczy?

– Kiedy się urodziłeś, ty, a także wszystkie inne wnuki, babcia kupiła ci obligację Premium. Kiedy w losowaniu padnie numer, możesz wygrać tysiące funtów.

– I wygrałem tysiące funtów?

– Nie. – Spojrzała na niewielki druczek. – Wygrałeś trzynaście funtów i jedenaście szylingów.

Żałowałem, że nie mam tysięcy funtów (wiedziałem już, co bym za nie kupił. Kupiłbym sobie własne miejsce, w którym mógłbym być sam, coś jak jaskinię Batmana z ukrytym wejściem), ale zachwyciła mnie wizja majątku wykraczającego poza najśmielsze wyobrażenia. Trzynaście funtów i jedenaście szylingów. Za pensa mogłem kupić cztery galaretki owocowe albo batona: każda kosztowała ćwiartkę, choć nikt już nie posługiwał się ćwiartkami. Trzynaście funtów i jedenaście szylingów przy dwustu czterdziestu pensach za funta i czterech galaretkach za pensa, to... więcej słodyczy, niż potrafiłem sobie wyobrazić.

– Wpłacę je na twoje konto pocztowe – oznajmiła matka, nieodwracalnie niszcząc me marzenia.

Tego ranka nie dostałem więcej słodyczy niż zwykle. Mimo to, byłem bogaty. Bogatszy o trzynaście funtów i jedenaście szylingów niż jeszcze chwilę wcześniej. Nigdy dotąd niczego nie wygrałem.

Poprosiłem, by jeszcze raz pokazała mi druczek z moim imieniem, potem schowała go do torebki.

To się zdarzyło w poniedziałek rano. Po południu starusieńki pan Wollery, który przychodził w poniedziałki i czwartki popracować w ogrodzie (pani Wollery, jego równie stara żona, nosząca kamaszki, wielkie półprzezroczyste nakładki na buty, zjawiała się w środy wieczorem i sprzątała), kopał w ogródku warzywnym i wykopał butelkę pełną pensówek, półpensówek, trójpensówek, a nawet ćwiartek. Wszystkie monety pochodziły sprzed 1937 roku, i całe popołudnie polerowałem je ostrym sosem i octem, żeby rozbłysły.

Matka postawiła butelkę starych monet na kominku w jadalni i oznajmiła, że kolekcjoner mógłby zapłacić za nie kilka funtów.

Tej nocy poszedłem spać radosny i podniecony. Byłem bogaty. Odkryliśmy zakopany skarb. Dobrze się działo na świecie.

Nie pamiętam, od czego zaczęły się sny. Ale przecież tak właśnie bywa ze snami, prawda? Wiedziałem, że jestem w szkole i mam kiepski dzień, chowam się przed dzieciakami, które mnie biły i przezywały, ale one i tak mnie znalazły, głęboko w gąszczu rododendronów za szkołą, i wiedziałem, że to musi być sen (lecz we śnie nie miałem o tym pojęcia, wszystko wydawało się bardzo prawdziwe i rzeczywiste), bo był z nimi mój dziadek i jego koledzy, staruszkowie o szarej skórze wstrząsani atakami ostrego kaszlu. W rękach trzymali ostre ołówki, tak ostre, że po dziabnięciu z rany

leciała krew. Uciekłem przed nimi, okazali się jednak szybsi ode mnie, staruszkowie i duzi chłopcy, i w końcu doścignęli mnie w męskiej toalecie, gdzie schowałem się w kabinie. Przechylili mnie i siłą otworzyli usta.

Mój dziadek (ale to nie był mój dziadek: tak naprawdę to była jego figura woskowa, która chciała sprzedać mnie na anatomię) trzymał coś ostrego i błyszczącego, zaczął wpychać mi to do ust grubymi paluchami. To coś było twarde, ostre i znajome, zacząłem się dławić i dusić. Usta wypełnił mi metaliczny posmak.

Patrzyli na mnie wrednym tryumfalnym wzrokiem, cała grupa zebrana w toalecie, a ja starałem się nie zadławić przedmiotem w gardle, by nie dać im tej satysfakcji.

Obudziłem się i nadal się dusiłem.

Nie mogłem oddychać. W moim gardle tkwiło coś twardego, ostrego, coś, co nie pozwalało mi chwycić powietrza ani krzyknąć. Zacząłem kasłać, po policzkach płynęły mi łzy, śluz ciekł z nosa.

Zdjęty paniką, w desperacji wepchnąłem palce jak najgłębiej do ust. Czubkiem wskazującego poczułem krawędź czegoś twardego. Przycisnąłem środkowy palec do drugiej strony przedmiotu, dławiąc się, chwyciłem go między nie i wyszarpnąłem to coś z gardła.

Złapałem powietrze, a potem na wpół zwymiotowałem na pościel, wyrzucając z siebie czystą ślinę z drobinkami krwi – tajemniczy przedmiot skaleczył mi gardło.

Nie patrzyłem na niego. Ściskałem go mocno w dłoni, śliski od śluzu i śliny. Nie chciałem na niego patrzeć. Nie chciałem, by w ogóle istniał. Był jak most łączący sen i świat jawy.

Wybiegłem na korytarz i do łazienki na samym końcu domu. Wypłukałem usta, pijąc prosto z kranu zimną wodę i wypluwając czerwień do białej umywalki. Dopiero wtedy usiadłem na brzegu białej wanny i rozprostowałem palce. Bałem się.

Przedmiot tkwiący w mojej dłoni – a wcześniej w gardle – nie był wcale straszny. Okazał się zwykłą monetą: srebrnym szylingiem.

Wróciłem do sypialni. Ubrałem się, najlepiej jak umiałem wyczyściłem wymiociny z pościeli wilgotną ściereczką do twarzy. Miałem nadzieję, że wyschną, nim tej nocy znów się położę. Potem zszedłem na dół.

Chciałem opowiedzieć komuś o szylingu, ale nie wiedziałem komu. Dostatecznie dobrze znałem rodziców, by wiedzieć, że gdybym opisał im,

co się zdarzyło, nie uwierzyliby mi. Dorośli zresztą rzadko wierzyli, gdy mówiłem prawdę. Dlaczego mieliby uwierzyć w coś równie nieprawdopodobnego?

Siostra bawiła się w ogrodzie na tyłach z kilkoma koleżankami. Na mój widok podbiegła do mnie rozgniewana.

– Nienawidzę cię – oznajmiła. – Powiem wszystko mamie i tacie, kiedy wrócą.

– Ale co?

– Przecież wiesz – odparła. – Wiem, że to byłeś ty.

– Co ja?

– Rzucałeś we mnie monetami. W nas wszystkie. Z krzaków. To było wredne.

– Wcale tego nie zrobiłem.

– Bolało.

Wróciła do koleżanek, które przygwoździły mnie nienawistnym spojrzeniem. Gardło bolało mnie i piekło.

Ruszyłem podjazdem. Sam nie wiedziałem, dokąd się wybieram. Po prostu nie chciałem zostawać w domu.

Na końcu podjazdu, pod kasztanowcem stała Lettie Hempstock. Wyglądała, jakby czekała od stu lat i mogła czekać jeszcze setkę. Miała na sobie białą sukienkę, lecz światło przenikające przez młode wiosenne liście kasztanu zabarwiało ją zielenią.

– Cześć – rzuciłem.

– Miałeś złe sny, prawda?

Wyjąłem z kieszeni szylinga i pokazałem jej.

– Dławiłem się tym – oznajmiłem. – Po przebudzeniu. Ale nie wiem, jak dostał mi się do ust. Gdyby ktoś mi go tam włożył, obudziłbym się. Kiedy się obudziłem, po prostu tam był.

– Tak – odparła.

– Moja siostra mówi, że rzucałem w nie monetami z krzaków, ale tego nie zrobiłem.

– Nie – zgodziła się. – Nie ty.

– Lettie? Co się dzieje? – spytałem.

– Och – odparła, jakby to było coś oczywistego. – Ktoś próbuje dawać ludziom pieniądze, to wszystko. Ale robi to bardzo źle i budzi okoliczne istoty, które powinny spać. A to niedobrze.

– Czy to ma coś wspólnego z tym gościem, który umarł?

– Coś wspólnego? Owszem.

– Czy to on to robi?

Pokręciła głową.

– Jadłeś śniadanie?

Ja też pokręciłem głową.

– No to – rzuciła – chodź.

Razem pomaszerowaliśmy drogą. W tamtych czasach tu i tam stały przy niej domy; wskazywała je ręką, gdy je mijaliśmy.

– W tym domu – oznajmiła – mężczyzna śnił o tym, że go sprzedają i zamieniają w pieniądze. Teraz zaczął widzieć różne rzeczy w lustrach.

– Jakie rzeczy?

– Siebie samego. Ale z palcami wystającymi z oczodołów. I różnymi rzeczami sterczącymi z ust. Na przykład szczypcami krabów.

Wyobraziłem sobie ludzi z nogami krabów w ustach, odbitych w lustrze.

– Dlaczego znalazłem szylinga w gardle?

– Chciał, żeby ludzie mieli pieniądze.

– Górnik opali? Ten, który się zabił w samochodzie?

– Tak. Coś w tym stylu. Niedokładnie. To on to wszystko zaczął, jakby ktoś zapalił lont fajerwerków. Jego śmierć była jak zapałka. Ale to, co teraz eksploduje, to nie on. To ktoś inny. Coś innego. – Potarła zabrudzoną dłonią piegowaty nos. – W tamtym domu jedna pani oszalała – oznajmiła i nie przyszłoby mi do głowy wątpić w jej słowa. – Trzyma pieniądze w materacu. Teraz nie chce wstać z łóżka, bo się boi, że ktoś jej je odbierze.

– Skąd wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy już trochę żyjesz na tym świecie, zaczynasz wiedzieć różne rzeczy.

Kopnąłem kamień.

– Mówiąc „trochę”, masz na myśli „naprawdę długo”?

Przytaknęła.

– Ile tak naprawdę masz lat? – spytałem.

– Jedenaście.

Zastanawiałem się chwilę.

– Od jak dawna masz jedenaście lat? – zapytałem w końcu.

Uśmiechnęła się do mnie.

Minęliśmy farmę Carawayów. Farmerzy, których pewnego dnia miałem nazywać rodzicami Callie Anders, stali na podwórzu i krzyczeli do siebie. Na nasz widok umilkli.

Kiedy pokonaliśmy zakręt i zniknęliśmy im z oczu, Lettie znów się odezwała.

– To biedni ludzie.

– Dlaczego są biedni?

– Bo mają problemy z pieniędzmi. A dziś rano nawiedził go sen, w którym ona... robiła złe rzeczy. Żeby zarobić pieniądze. Zajrzał więc do jej torebki i znalazł mnóstwo złożonych dziesięcioszylingowych banknotów. Ona twierdzi, że nie wie, skąd się wzięły, a on jej nie wierzy. Sam nie wie, w co wierzyć.

– Wszystkie te kłótnie i bójki w snach. Chodzi o pieniądze, prawda?

– Nie jestem pewna – przyznała Lettie i w tym momencie wydała mi się tak dorosła, że o mało się jej nie przestraszyłem. – Cokolwiek się dzieje – dodała w końcu – można to załatwić. – Dostrzegła niespokojny wyraz mojej twarzy. Może nawet przerażony. – Po naleśnikach – dodała.

Usmażyła nam naleśniki na wielkiej metalowej blasze na kuchence. Były cienkie jak papier, a po skończeniu każdego Lettie wyciskała na niego cytrynę, na środek kładła łyżkę powideł śliwkowych i zwijała cienko jak cygaro. Gdy nasmażyła ich dosyć, usiedliśmy przy kuchennym stole i pochłonęliśmy wszystkie.

W kuchni był też kominek, wciąż żarzyły się w nim węgle z poprzedniego wieczoru. To bardzo przyjazne miejsce, pomyślałem.

– Boję się – powiedziałem do Lettie.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Dopilnuję, żebyś był bezpieczny. Obiecuję. Ja się nie boję.

Wciąż się obawiałem, ale nie aż tak mocno.

– To po prostu straszne.

– Powiedziałam, że obiecuję – przypomniała Lettie Hempstock. – Nie pozwolę, by coś ci się stało.

– Stało? – powtórzył piskliwy, łamiący się głos. – Komu ma się coś stać? Co się dzieje? Czemu komukolwiek miałoby się coś stać?

To była Starsza Pani Hempstock, rękami unosiła fartuch, w którego zagłębieniu ułożyła tak wiele żonkili, że odbijające się od nich światło powlekło jej twarz złotem, a kuchnia zdawała się skąpana w żółtym blasku.

– Coś psoci – oznajmiła Lettie. – Daje ludziom pieniądze. W snach i na jawie. – Pokazała staruszce mojego szylinga. – Mój przyjaciel, kiedy obudził się dziś rano, zaczął się tym dławić.

Starsza Pani Hempstock położyła fartuch na kuchennym stole, szybko zsunęła z niego żonkile na blat. Potem odebrała Lettie szylinga. Przyjrzała mu się, mrużąc oczy, powąchała, potarła, posłuchała (a przynajmniej przyłożyła do ucha), po czym dotknęła koniuszkiem fioletowego języka.

– Jest nowa – oznajmiła w końcu. – Ma wybitą datę tysiąc dziewięćset dwanaście, ale jeszcze wczoraj nie istniała.

– Wiedziałam, że jest w niej coś dziwnego – odparła Lettie.

Spojrzałem na Starszą Panią Hempstock.

– Skąd pani wie?

– Dobre pytanie, złociutki. Głównie przez rozpad elektronów. Musisz bardzo uważnie się przyjrzeć, żeby zobaczyć elektrony. To te malutkie, które wyglądają jak maciupkie uśmieszki. Neutrony są szare, mają skrzywione miny. Elektrony za bardzo się uśmiechały jak na tysiąc dziewięćset dwunasty, więc potem sprawdziłam krawędzie liter i głowę starego króla: wszystko okazało się nieco zbyt świeże i ostre. Nawet miejsca zużycia wyglądają, jakby zrobiono je zużyte.

– Musi pani mieć świetny wzrok – zauważyłem. Zaimponowała mi.

Oddała mi monetę.

– Nie tak dobry jak kiedyś, ale gdy dożyjesz mojego wieku, twój wzrok też się zepsuje – powiedziała i wybuchnęła śmiechem, jakby to było coś bardzo zabawnego.

– To znaczy, jakiego wieku?

Lettie spojrzała na mnie i przestraszyłem się, że powiedziałem coś niegrzecznego. Czasami dorośli nie lubią, gdy pyta się ich o wiek, czasami lubią. W moim doświadczeniu starsi ludzie zazwyczaj należą do tej drugiej grupy. Są dumni z przeżytych lat. Pani Wollery miała siedemdziesiąt siedem, pan Wollery osiemdziesiąt dziewięć, i bardzo lubili powtarzać nam, ile mają lat.

Starsza Pani Hempstock podeszła do kredensu i zabrała z niego kilka barwnych wazonów.

– Dostatecznie dużo – odparła. – Pamiętam, kiedy stworzono księżyc.

– Przecież księżyc istniał chyba zawsze?

– A gdzie tam. Nigdy w życiu. Pamiętam dzień, kiedy zjawił się księżyc. Spojrzeliśmy w niebo, w tamtych czasach było brudnobrązowe i ciemnoszare, nie zielone i niebieskie...

Napełniła wazony do połowy wodą z kranu. Potem wyjęła parę poczerniałych kuchennych nożyczek i odcięła połowę łodyżki każdego żonkila.

– Czy to na pewno nie duch tego górnika to robi? Na pewno nas nie nawiedza?

Obie, dziewczyna i stara kobieta, roześmiały się, a ja poczułem się głupio.

– Przepraszam – dodałem.

– Duchy nie potrafią niczego tworzyć – wyjaśniła Lettie. – Kiepsko sobie radzą nawet z przesuwaniem rzeczy.

– Idź, zawołaj matkę – poleciła Starsza Pani Hempstock. – Robi pranie. – Odwróciła się do mnie. – Ty mi pomożesz z żonkilkami.

Razem ułożyliśmy kwiaty w wazonach, spytała mnie też, gdzie powinna ustawić je w kuchni. Zrobiliśmy to zgodnie z moją sugestią i poczułem się cudownie ważny.

Żonkile lśniły niczym słoneczne plamy, dzięki nim ciemna drewniana kuchnia wydawała się jeszcze przytulniejsza. Podłogę ułożono z czerwonych i szarych kamiennych płyt. Ściany pokrywała biała farba.

Staruszka poczęstowała mnie kawałkiem plastra miodu z własnego ula Hempstocków, ułożonym na obtłuczonym talerzyku i polanym odrobiną śmietany z dzbanka. Zjadłem łyżeczką, przeżuwając wosk jak gumę, pozwalając, by miód spływał mi do ust, słodki i lepki, z posmakiem dzikich kwiatów.

Właśnie zeskrobywałem z talerzyka resztki miodu, gdy do kuchni weszła Lettie z matką. Pani Hempstock wciąż miała na nogach wielkie gumiaki, maszerowała tak, jakby ogromnie się jej śpieszyło.

– Matko! – rzuciła. – Częstujesz chłopaka miodem. Spróchnieją mu od tego zęby.

Stara Pani Hempstock wzruszyła ramionami.

– Zamienię parę słów z wierciołkami w jego ustach – odparła. – Każę, żeby zostawiły zęby w spokoju.

– Nie możesz się tak rządzić bakteriami – stwierdziła młodsza pani Hempstock. – Nie lubią tego.

– Bajdy i bzdury – odparła starsza pani. – Kiedy zostawiasz wierciołki w spokoju, robią co chcą. Ale pokaż im, kto jest szefem, to słuchają jak ta lala. Próbowałaś przecież mojego sera. – Obróciła się do mnie. – Zdobyłam za niego kilka medali. Medali. W czasach dawnego króla ludzie jechali tydzień, by kupić gomółkę mojego sera. Mówili, że nawet król we własnej osobie jadał go z chlebem i jego chłopcy także, książę Dickon i książę Geoffrey, a nawet mały książę John. Wszyscy przysięgali, że to najlepszy ser, jakiego kiedykolwiek próbowali...

– Babciu – upomniała ją Lettie i staruszka umilkła w pół zdania.

– Będziesz potrzebowała leszczynowej różdżki – oznajmiła matka Lettie. – I – dodała z lekkim powątpiewaniem – chyba możesz zabrać chłopaka. To jego moneta, łatwiej ci ją będzie ponieść, jeśli pójdzie z tobą. Coś, co stworzyła.

– Ona? – spytała Lettie.

W dłoni trzymała swój scyzoryk w rogowej oprawie, zamknięty.

– Smakuje jak ona – wyjaśniła matka Lettie. – Ale mogę się mylić.

– Nie bierz chłopca – wtrąciła Starsza Pani Hempstock. – To napraszanie się o kłopoty.

Poczułem zawód.

– Nic nam nie będzie – zaprotestowała Lettie. – Zaopiekuję się nim. On i ja. To będzie przygoda. I dotrzyma mi towarzystwa. Proszę, babciu?

Spojrzałem z nadzieją na Starszą Panią Hempstock i czekałem.

– Jeśli wszystko się posypie, nie mów, że cię nie ostrzegałam – oznajmiła pani Hempstock.

– Dziękuję, babciu. Nie powiem. I będę ostrożna.

Starsza Pani Hempstock pociągnęła nosem.

– Tylko mi nie rób niczego głupiego. Podejdź ostrożnie. Skrępuj to, odetnij mu drogę, z powrotem uśpij.

– Wiem – rzekła Lettie. – Wiem to wszystko. Naprawdę. Nic się nam nie stanie.

Tak właśnie powiedziała. Ale się stało.

IV

Lettie poprowadziła mnie do leszczynowego zagajnika obok starej drogi (wiosenne gałęzie uginały się pod ciężarem kotków). Odłamała cienki pęd, potem kozikiem sprawnie, jakby robiła to już dziesięć tysięcy razy, obrała gałązkę z kory i znów rozcięła, tak że przypominała literę Y. Schowała nóż (nie widziałem gdzie) i chwyciła w dłonie oba rozgałęzienia Y.

– To nie różdżkarstwo – wyjaśniła. – Po prostu posłuży mi za przewodnika. Na początek szukamy czegoś niebieskiego... Niebieskiej butelki. Albo czegoś fioletowoniebieskiego i błyszczącego.

Rozejrzałem się razem z nią.

– Niczego nie widzę.

– Będzie tu – zapewniła mnie.

Rozejrzałem się, chłonąc wzrokiem trawę, rudobrązową kurę grzebiącą w ziemi przy podjeździe, zardzewiały sprzęt rolniczy, drewniany stół na koziołkach obok drogi i ustawione na nim sześć pustych metalowych baniek na mleko. Widziałem czerwony ceglany dom Hempstocków, przycupnięty i wygodny, jak odpoczywające zwierzę. Widziałem wiosenne kwiaty: wszechobecne biało-żółte stokrotki, złote mlecze z ich żółtym pyłkiem, a także jeden spóźniony niebieski dzwonek w cieniu pod stołem z bańkami, wciąż połyskujący od rosy...

– Ten? – spytałem.

– Masz bystry wzrok – stwierdziła z aprobatą.

Razem podeszliśmy do dzwonka. Gdy do niego dotarliśmy, Lettie zamknęła oczy. Zakołysała ciałem w przód i w tył, wyciągając przed siebie

leszczynową różdżkę, jakby ona sama była centralnym punktem zegara bądź kompasu, a różdżka wskazówkami kierującymi się ku dwunastej bądź północy, której nie potrafiłem postrzec.

– Czarne – rzekła nagle, jakby opisywała coś ze snu. – I miękkie.

Odeszliśmy od dzwonka drogą, która, jak wyobrażałem sobie czasami, musiała pochodzić jeszcze z czasów rzymskich. Pokonaliśmy sto metrów i znaleźliśmy się w miejscu nieopodal tego, w którym parkował mini, gdy go zauważyła: strzęp czarnej tkaniny, uczepiony kolczastego drutu ogrodzenia.

Lettie podeszła bliżej. I znów wyciągnęła przed siebie gałązkę, znów zaczęła się powoli obracać.

– Czerwone – rzekła. – Bardzo czerwone. Tędy.

Pomaszerowaliśmy razem we wskazanym kierunku, przez łąkę i między drzewa.

– Tam! – rzuciłem zafascynowany.

W kępie zielonego mchu leżało truchło bardzo małego zwierzęcia – sądząc z wyglądu, nornicy. Nie miało głowy, a futro plamiła jaskrawa krew, ściekająca między mchy. Była bardzo czerwona.

– Teraz – poleciła Lettie – złap mnie za rękę. I już nie puszczaj.

Sięgnąłem prawą dłonią i chwyciłem jej lewą rękę tuż pod łokciem. Poruszyła leszczynową różdżką.

– Tędy – oznajmiła.

– Czego szukamy teraz?

– Zbliżamy się – wyjaśniła. – Następną rzeczą, jakiej szukamy, jest burza.

Przeszliśmy przez kępę drzew i dalej w las, przeciskając się między rosnącymi zbyt blisko drzewami – ich konary tworzyły splątany dach nad naszymi głowami. W końcu znaleźliśmy polanę i ruszyliśmy wzdłuż niej w świecie zieleni.

Z lewej strony dobiegł pomruk odległego grzmotu.

– Burza! – zaśpiewała Lettie.

Znów zakołysała całym ciałem, a ja obróciłem się razem z nią, trzymając ją za rękę. Poczułem, czy może wyobraziłem sobie, że czuję, nagłe pulsowanie, które przebiegło przez me ciało, jak gdybym dotykał potężnego silnika.

Ruszyła w inną stronę. Razem przeprawiliśmy się przez wąski strumyk. Potem przystanęła nagle i potknęła się, ale nie upadła.

– Jesteśmy na miejscu? – spytałem.

– Nie na miejscu – odpowiedziała. – Nie. Ale wie, że się zbliżamy. Czuje nas. I nie chce, żebyśmy przyszli.

Leszczynowa różdżka wirowała w jej rękach niczym magnes odpychany przez niewłaściwy biegun. Lettie uśmiechnęła się szeroko.

Powiew wiatru cisnął nam w twarz tumanem liści i kurzu. W dali usłyszałem huk, jakby pociągu. Widoczność pogarszała się z każdą chwilą, fragmenty nieba, które widziałem pomiędzy gąszczem liści, były ciemne, jakby nad nasze głowy napłynęły ciężkie burzowe chmury, albo jakby poranek zamienił się w zmierzch.

– Padnij! – krzyknęła Lettie i przykucnęła w mchu, ciągnąc mnie ze sobą. Położyła się na ziemi, ja ległem obok. Czułem się nieco głupio. Ziemia była mokra.

– Jak długo będziemy...?

– Cii! – W jej głosie zabrzmiał ton bliski złości.

Nie odpowiedziałem.

Coś zbliżało się lasem nad naszymi głowami. Zerknąłem w górę, zobaczyłem coś brązowego i kudłatego, lecz płaskiego, niczym wielki dywan, łopoczącego i podwijającego się na brzegach. Z przodu dywanu widniała paszcza pełna dziesiątków małych ostrych zębów, skierowana w dół.

Stwór trzepotał i szybował nad nami, a potem zniknął.

– Co to było? – spytałem. Serce waliło mi w piersi tak mocno, że nie miałem pojęcia, czy w ogóle zdołam wstać.

– Mantowilk – odparła Lettie. – Zaszliśmy już nieco dalej niż sądziłam. – Podniosła się i spojrzała w stronę, w którą odleciał kudłaty stwór. Uniosła czubek leszczynowej różdżki i obróciła się powoli. – Niczego nie wyczuwam. – Podrzuciła głową, by pozbyć się włosów z oczu, nie wypuszczając rozwidleń różdżki. – Albo się ukrywa, albo jesteśmy za blisko. – Zagryzła wargę, w końcu powiedziała: – Szyling. Ten z twojego gardła. Wyjmij go.

Wyciągnąłem lewą ręką monetę z kieszeni i podałem jej.

– Nie – rzuciła. – Nie mogę jej dotknąć, nie teraz. Połóż ją na rozwidleniu różdżki.

Nie spytałem dlaczego, po prostu złożyłem srebrnego szylinga na miejscu, w którym krzyżowały się odcinki litery Y. Lettie wyciągnęła ręce i obróciła się bardzo powoli, koniec różdżki wskazywał w dal. Poruszyłem się wraz z nią, ale niczego nie poczułem. Ani śladu pulsujących silników. Wykonaliśmy już ponad połowę obrotu, gdy się zatrzymała.

– Spójrz! – powiedziała.

Popatrzyłem we wskazaną stronę, ale ujrzałem jedynie drzewa i leśne cienie.

– Nie, popatrz. Tam. – Pokazała ręką.

Czubek leszczynowej różdżki zaczął lekko dymić. Lettie obróciła się odrobinę w lewo, odrobinę w prawo, nieco dalej w prawo i koniec patyka zajaśniał jaskrawopomarańczowym blaskiem.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałam – przyznała. – Posługuję się monetą jako wzmacniaczem, ale wygląda to jakby...

Z głośnym trzaskiem koniec różdżki zapłonął. Lettie wepchnęła go w mokry mech.

– Zabierz monetę – poleciła i posłuchałem, podnosząc ją ostrożnie, na wypadek gdyby się rozgrzała, okazała się jednak lodowato zimna.

Lettie zostawiła różdżkę w mchu, zwęglony koniuszek wciąż dymił z irytacją.

Pomaszerowała naprzód, ja szedłem obok niej. Teraz trzymaliśmy się za ręce, moja prawa ściskała jej lewą. Powietrze pachniało dziwnie, fajerwerkami, a świat z każdym krokiem w głąb lasu stawał się coraz ciemniejszy.

– Powiedziałam, że cię ochronię, prawda? – przypomniała Lettie.

– Tak.

– Obiecałam, że nie pozwolę, by cokolwiek cię skrzywdziło.

– Tak.

– Po prostu trzymaj mnie za rękę – poleciła. – I nie puszczaj. Cokolwiek się stanie, nie puszczaj.

Dłoń miała ciepłą, ale nie spoconą. Dodającą otuchy.

– Trzymaj mnie za rękę – powtórzyła. – I niczego nie rób, jeśli ci nie każę. Zrozumiałeś?

– Nie czuję się zbyt bezpiecznie – przyznałem.

Nie protestowała.

– Zaszliśmy dalej, niż sobie wyobrażałam. Dalej, niż oczekiwałam. Nie jestem pewna, jakie stwory żyją tu, na marginesach.

Drzewa skończyły się, wyszliśmy na otwartą przestrzeń.

– Jesteśmy daleko od waszej farmy? – spytałem.

– Nie. Wciąż pozostajemy w granicach farmy. Farma Hempstocków ciągnie się bardzo daleko. Znaczną część z niej przywieźliśmy ze sobą ze starego kraju, gdy tu przybyliśmy. Farma przybyła z nami, i przyniosła ze sobą inne rzeczy. Babcia nazywa je pchłami.

Nie wiedziałem gdzie jesteśmy, ale nie mogłem uwierzyć, że wciąż pozostajemy na ziemiach Hempstocków, tak jak nie wierzyłem, że znajdujemy się nadal w świecie, w którym dorastałem. W tym miejscu niebo miało barwę mętnego pomarańczowego światła ostrzegawczego; rośliny, kolczaste niczym olbrzymie poszarpane aloesy, mieniły się ciemną srebrzystą zielenią i wyglądały jak wykute ze stali.

Moneta, którą ściskałem w lewej dłoni i która wcześniej ogrzała się od ciepła mojej skóry, znów zaczęła stygnąć i wkrótce stała się zimna niczym kostka lodu. Prawą ręką jak najmocniej ściskałem dłoń Lettie Hempstock.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła moja towarzyszka.

Z początku zdawało mi się, że patrzę na budynek: że to jakiś namiot, wysoki jak wiejski kościół, zrobiony z szarego i różowego brezentu łopoczącego w powiewach burzowego wiatru na tle pomarańczowego nieba: przekrzywiona brezentowa budowla postarzała od pogody, postrzępiona ze starości.

A potem namiot się obrócił i ujrzałem twarz, i usłyszałem, jak coś zaskomliło niczym kopnięty pies. Uświadomiłem sobie, że dźwięk ów dobywa się z moich własnych ust.

Twarz była pomarszczona, oczy przypominały głębokie dziury w tkaninie. Za nią nie kryło się nic – tylko szara brezentowa maska, większa niż potrafiłbym sobie wyobrazić, poszarpana i podarta, falująca w powiewach burzowego wiatru.

Coś się poruszyło i poszarpany stwór spojrzał w dół na nas.

– Przedstaw się – rzekła Lettie Hempstock.

Zapadła cisza. Puste oczy patrzyły na nas, a potem usłyszałem głos pozbawiony barwy, jak wiatr.

– Jestem panią tego miejsca. Przebywam tu od tak dawna. Byłam tu już, nim mały lud zaczął oddawać się w ofierze na tych skałach. Moje imię

należy do mnie, dziecko. Nie do ciebie. A teraz zostawcie mnie w spokoju, zanim was stąd zdmuchnę. – Stwór machnął kończyną przypominającą złamany żagiel i poczułem, że dygoczę.

Lettie Hempstock uścisnęła moją dłoń, dodając mi odwagi.

– Prosiłam, żebyś się przedstawiła, prawda? Nigdym jeszcze nie słyszała więcej pustych przechwałek na temat czasu i wieku. Teraz podaj swoje jimię, bo nie zapytam po raz trzeci. – Jej głos brzmiał bardziej jak u wiejskiej dziewczyny niż wcześniej. Może sprawił to gniew: wymawiała słowa inaczej, gdy się rozzłościła.

– Nie – wyszeptał głucho szary stwór. – Dziewczynko, dziewczynko... Kim jest twój przyjaciel?

– Nic nie mów – wyszeptała Lettie.

Pokiwałem głową i zacisnąłem mocno wargi.

– Zaczyna mnie to nudzić – oznajmił szary stwór, z urazą kołysząc rękami z poszarpanego brezentu. – Coś do mnie przyszło, błagając o miłość i pomoc. Powiedziało, jak uszczęśliwić wszystkie podobne mu stwory. To proste istoty, pragną jedynie pieniędzy, tylko pieniędzy, niczego więcej. Małych nagród za pracę. Gdyby poprosił, dałabym im mądrość albo pokój, idealny pokój...

– Nic z tego – rzuciła Lettie Hempstock. – Nie możesz im dać niczego, czego by pragnęli. Zostaw ich.

Wiatr świstał, gigantyczna postać łopotała wraz z nim, wielkie żagle kołysały się, a gdy ucichł, stwór zmienił pozycję. Teraz jakby przycupnął bliżej ziemi i obserwował nas jak olbrzymi brezentowy naukowiec, patrzący na dwie białe myszki.

Dwie przerażone białe myszki, trzymające się za ręce.

Dłoń Lettie zaczęła się pocić. Uścisnęła moją, sam nie wiem, czy po to, by dodać otuchy sobie, czy też mnie, a ja odpowiedziałem tym samym.

Poszarpana twarz, miejsce, w którym powinna mieścić się twarz, wykrzywiła się. Wydało mi się, że się uśmiecha. Może istotnie się uśmiechała. Miałem wrażenie, że przygląda mi się, rozbiera na części. Jak gdyby wiedziała o mnie wszystko – to, o czym nawet ja sam nie miałem pojęcia.

– Jeśli nie zdradzisz mi swego jimienia, skrępuję cię jako bezimienną – rzekła dziewczyna trzymająca mnie za rękę. – I nadal pozostaniesz skrępowana, związana i zapieczętowana, niczym strąk czy małż.

Odczekała chwilę, ale stwór milczał i Lettie Hempstock zaczęła wypowiadać słowa w nieznanym mi języku. Czasami mówiła, czasami bardziej przypominało to śpiew w mowie, której nigdy nie słyszałem i z którą nigdy więcej nie miałem się zetknąć. Znałem jednak melodię. Należała do dziecięcej przyśpiewki, w rytm której wyśpiewujemy wyliczankę „Chłopcy i dziewczęta, chodźmy bawić się”. To była melodia, lecz towarzyszyły jej starsze słowa. Nie wątpiłem w to.

A kiedy Lettie śpiewała, pod pomarańczowym niebem działy się różne rzeczy.

W ziemi zaroiło się od robaków, długich szarych robali, które wyłaziły z ziemi pod naszymi stopami.

Coś pomknęło ku nam z samego środka łopoczącej masy brezentu. Było nieco większe niż piłka do gry w nogę. W szkole, podczas meczów, zazwyczaj upuszczałem to, co miałem złapać, albo chwytałem nieco zbyt późno, pozwalając, by uderzyło mnie w twarz bądź brzuch. Jednakże to coś leciało prosto na mnie i Lettie Hempstock, i nawet się nie zastanawiając, po prostu to zrobiłem.

Uniosłem obie ręce i złapałem to coś, trzepoczącą, zwijającą się masę pajęczyn i sparciałej tkaniny. A gdy chwyciłem ją w dłonie, poczułem nagły ból: przeszywające ukłucie w podeszwę. Ból trwał tylko chwilę, a potem minął, jakbym nadepnął na pinezkę.

Lettie wytrąciła mi z rąk schwytany przedmiot, który runął na ziemię, gdzie zapadł się w sobie. Złapała mnie za prawą rękę i znów ścisnęła mocno. A przez cały ten czas śpiewała.

Śniłem potem o owej piosence, o dziwnych słowach nuconych na prostą dziecięcą melodię i kilka razy w snach zdołałem zrozumieć, co mówiła. W owych snach ja też władałem tym językiem, pierwszym językiem, i rządziłem naturą wszystkiego co rzeczywiste. W moim śnie to był język rzeczywistości i wszystko, co w nim powiedziałem, stawało się rzeczywistością, bo w języku tym nie dało się kłamać. Stanowił najbardziej podstawową cegłę, z której wzniesiono wszystko inne. W moich snach posługiwałem się nim, by uzdrawiać chorych i latać; raz śniło mi się, że prowadziłem idealny mały pensjonat nad morzem i każdemu gościowi, który zatrzymywał się u mnie, mówiłem w owym języku „bądź cały”, a oni stawali się cali, nie byli już złamanymi ludźmi, bo rozkazałem im to w mowie tworzenia.

A ponieważ Lettie przemawiała w języku tworzenia, choć nie rozumiałem, co dokładnie mówi, pojmowałem ogólny sens. Na zawsze więziła w tym miejscu istotę z polany, zamykała ją w pułapce, nie pozwalając, by wywierała wpływ na cokolwiek poza jej krainą.

Lettie Hempstock skończyła śpiewać.

W myślach wydało mi się, że słyszę wrzask istoty, protestującej, buntującej się, lecz pod pomarańczowym niebem panowała cisza. Zakłócał ją tylko trzepot brezentu i grzechot gałązek szarpanych wiatrem.

A potem wiatr ucichł.

Tysiące kawałków podartej szarej tkaniny opadły na czarną ziemię jak martwe, jak sterta porzuconego prania. Nic się nie poruszało.

– To powinno ją utrzymać – oznajmiła Lettie. Uścisnęła moją dłoń, uznałem, że stara się, by zabrzmiało to pogodnie, lecz w istocie przemawiała ponuro. – Zabierzmy cię do domu.

Pomaszerowaliśmy ręka w rękę przez las błękitnawych, wiecznozielonych drzew, przeprawiliśmy się przez lakierowany czerwono-żółty mostek nad ozdobnym stawem, potem ruszyliśmy skrajem pola, na którym wyrastała młoda kukurydza, podobna równym rzędom zielonej trawy, ręka w rękę wdrapaliśmy się na drewniane schodki i przeszliśmy na kolejne pole, na którym rosło coś wyglądającego jak małe pałki sitowia bądź kudłate węże, czarne, białe, brązowe, pomarańczowe, szare i pasiaste; wszystkie falowały łagodnie, zwijając się i rozwijając w słońcu.

– Co to takiego? – spytałem.

– Możesz wyciągnąć jednego, jeśli chcesz – odparła Lettie.

Spojrzałem w dół: włochata macka u mych stóp była idealnie czarna. Schyliłem się, chwyciłem ją mocno u podstawy lewą ręką i pociągnąłem.

Coś wyłoniło się z ziemi i obróciło gniewnie. Poczułem się tak, jakby w rękę wbił mi się tuzin maleńkich igiełek. Otrzepałem stworzonko z ziemi, przeprosiłem, a ono przyjrzało mi się bardziej ze zdumieniem i zaskoczeniem niż z gniewem. Przeskoczyło mi z ręki na koszulę, a ja je pogłaskałem: to był kociak, czarny i smukły, o szpiczastym ciekawskim pyszczku, z białą plamką na jednym uchu i oczami osobliwej soczystej błękitnozielonej barwy.

– Nasze koty z farmy zjawiają się w normalny sposób – oznajmiła Lettie.

– To znaczy?

– Przez wielkiego Olivera. Zamieszkał u nas w czasach pogańskich. To od niego wywodzą się wszystkie koty z farmy.

Spojrzałem na kociaka, uczepionego mojej koszuli małymi kocięcymi pazurkami.

– Mogę go zabrać do domu? – spytałem.

– To nie on, tylko ona. Zabranie czegokolwiek z tych okolic to nie najlepszy pomysł – dodała Lettie.

Posadziłem koteczkę na skraju pola. Pobiegła za motylem, który trzepotał tuż poza jej zasięgiem, a potem zniknęła, nie oglądając się za siebie.

– Mojego kociaka zabił samochód – poinformowałem Lettie. – Był bardzo malutki. Powiedział mi o tym człowiek, który się zabił, choć to nie on prowadził. Mówił, że go nie widział.

– Przykro mi – odparła Lettie. Maszerowaliśmy właśnie pod sklepieniem kwiatów jabłoni, cały świat pachniał miodem. – W tym właśnie problem z żywymi istotami. Nie trwają zbyt długo. Jednego dnia kociak, drugiego stary kot. A potem wyłącznie wspomnienia. A wspomnienia blakną, zlewają się i łączą razem...

Otworzyła furtkę z pięciu prętów i przeszliśmy przez nią. Wypuściła moją dłoń. Znajdowaliśmy się na końcu drogi, niedaleko drewnianej półki, na której stały poobijane srebrne bańki na mleko. Świat pachniał normalnie.

– Naprawdę wróciliśmy? – spytałem.

– Tak – odpowiedziała Lettie Hempstock. – A ona nie będzie już więcej nas kłopotać. – Zawiesiła głos. – Duża była, co nie? I paskudna? Nigdy dotąd podobnej nie widziałam. Gdybym wiedziała, że okaże się taka stara, taka wielka i taka paskudna, nie zabrałabym cię ze sobą.

Cieszyłem się, że wzięła mnie ze sobą.

– Szkoda tylko, że puściłeś moją rękę – dodała. – Ale w sumie nic ci nie jest, prawda? Nie stało się nic złego. Nic nie zaszło.

– Nic mi nie jest – odparłem. – Nie martw się, dzielny ze mnie żołnierz. – Było to ulubione powiedzonko mojego dziadka. A potem powtórzyłem to, co powiedziała. – Nic się nie stało.

Uśmiechnęła się do mnie, promiennie, z ulgą, i miałem nadzieję, że powiedziałem to, co trzeba.

V

Tego wieczoru siostra, siedząc na swym łóżku, szczotkowała włosy. Szczotkowała je co dzień sto razy, odliczając na głos. Nie miałem pojęcia dlaczego.

– Co robisz? – spytała.

– Oglądam swoją stopę – wyjaśniłem.

Wpatrywałem się w podeszwę prawej nogi. Jej środek przecinała różowa linia, biegnąca od poduszeczek palców niemal do pięty, ślad po tym, jak w niemowlęctwie nastąpiłem na kawałek szkła. Pamiętam, jak obudziłem się w łóżeczku następnego ranka, patrząc na czarne szwy ściskające brzegi rany. To było moje najwcześniejsze wspomnienie. Przywykłem do różowej blizny. Natomiast niewielki otwór w podbiciu był czymś nowym. To właśnie tam poczułem nagły ostry ból, choć teraz nie bolało. Pozostała tylko dziura.

Trąciłem ją palcem wskazującym i wydało mi się, że coś w niej się cofnęło. Siostra przestała szczotkować włosy i przyglądała mi się ciekawie. Wstałem, wyszedłem z pokoju i pomaszerowałem do łazienki na końcu korytarza.

Nie wiem, czemu nie poprosiłem o pomoc kogoś z dorosłych. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek ich o nią prosił, chyba że w ostateczności. W tym samym roku scyzorykiem wyciąłem sobie z kolana kurzajkę, odkrywając, jak głęboko mogę się skaleczyć, nim zacznie boleć, i jak wyglądają korzenie kurzajki.

W szafce za lustrem w łazience znalazłem stalową pęsetę, taką z zaostrzonymi końcówkami, służącą do wyciągania drzazg, oraz pudełko plastrów. Usiadłem na metalowym brzegu białej wanny, oglądając dziurę w stopie. To był prosty, mały okrągły otwór o gładkich brzegach. Nie widziałem, jak głęboko sięga, bo coś w nim tkwiło. Coś go blokowało. Coś, co jakby się cofało, kiedy padło na nie światło.

Przez chwilę przyglądałem się dziurze, unosząc pęsetę. Nic się nie działo. Nic się nie zmieniło. Delikatnie zakryłem ją palcem wskazującym lewej dłoni, przesłaniając światło. Potem przysunąłem koniec pęsety do dziurki i zaczekałem. Policzyłem do stu – być może natchnęła mnie siostra i jej włosy. A potem cofnąłem palec i wbiłem do środka pęsetę.Chwyciłem robaka, jeśli tym właśnie był, za głowę, sam czubek metalowymi szczypczykami, ścisnąłem i pociągnąłem.

Próbowaliście kiedyś wyciągnąć robaka z dziury? Wiecie, jak mocno się trzyma? Jak całym ciałem przywiera do jej brzegów? Wyciągnąłem może parę centymetrów robala – różowoszarego, pokrytego smugami ciała przypominającego zarażone mięso – z otworu w stopie, kiedy nagle się zatrzymał. Czułem go w sobie, jak sztywnieje, nie poddaje się. Nie przestraszyło mnie to. Najwyraźniej to jedna ze spraw, jakie spotykają ludzi. Kotka sąsiadów, Mgiełka, miała robaki. Teraz ja miałem robaka w stopie i usuwałem go.

Przekręciłem pęsetę – chyba skojarzyła mi się ze spaghetti na widelcu – nawijając na nią robaka. Usiłował się wycofać, ale ja wciąż obracałem kawałeczek po kawałeczku, aż w końcu nie mogłem ciągnąć dalej.

Czułem, jak próbuje się przytrzymać, lepki, plastyczny niczym włókno mięśnia. Nachyliłem się najmocniej jak mogłem, wyciągnąłem lewą rękę i odkręciłem kran z gorącą wodą, ten z czerwoną kropką pośrodku. Woda leciała trzy, cztery minuty, ściekając do odpływu, w końcu zaczęła parować.

Wówczas wyciągnąłem stopę i prawą rękę, cały czas ściskając pęsetę i stwora, którego wyciągnąłem z ciała. A potem wsunąłem miejsce, w którym tkwiły szczypczyki, pod kran. Woda obryzgała mi stopę, lecz podeszwy miałem stwardniałe od chodzenia na bosaka i prawie niczego nie poczułem. Ta oblewająca palce poparzyła je, byłem jednak przygotowany na gorąco. Robak nie. Poczułem, jak napina się we mnie, próbując cofnąć się przed parzącą wodą, jak traci uchwyt wewnątrz mojej stopy.

Tryumfalnie zakręciłem pęsetą, jakbym odrywał najlepszy strup na świecie, i stwór zaczął wysuwać się ze mnie, stawiając coraz mniejszy opór.

Ciągnąłem go miarowo, a gdy trafił pod gorącą wodę, oklapł, aż do końca. Niemal już go wyciągnąłem – czułem to – byłem jednak zbyt pewny siebie, zbyt niecierpliwy, tryumfujący i szarpnąłem za szybko, za mocno. Robak rozerwał mi się w dłoni. Jego koniec, który wysunął się ze mnie, był przerwany i coś z niego ściekało.

Mimo to, jeśli nawet pozostało coś w mojej stopie, to bardzo mały fragment.

Obejrzałem robaka – był ciemno-jasno-szary w różowe smugi i segmentowaty jak zwykła dżdżownica. Teraz, gdy wyciągnąłem go z gorącej wody, najwyraźniej dochodził do siebie. Zaczął się zwijać, a ciało okręcone wokół pęsety zwisało, kołysząc się. Nadal trzymałem je za głowę (czy to była głowa? Skąd miałem wiedzieć?) w miejscu, gdzie chwyciłem.

Nie chciałem go zabić – jeśli tylko mogłem coś na to poradzić, nie zabijałem zwierząt – ale musiałem się go pozbyć. Był zbyt niebezpieczny. Nie wątpiłem w to.

Uniosłem robaka nad odpływem wanny, gdzie zwijał się pod parzącą wodą. A potem go puściłem i patrzyłem, jak znika w rurze. Jeszcze przez chwilę nie zakręcałem wody, umyłem też pęsetę. W końcu zalepiłem dziurkę w podeszwie plastrem, wsadziłem korek do wanny, by robak nie wypełzł z otwartego odpływu, i zakręciłem kran. Nie wiedziałem, czy zdechł, ale wątpiłem, by zdołał się wydostać z rur.

Odłożyłem pęsetę na miejsce za lustro, zamknąłem szafkę i spojrzałem na siebie.

Zastanawiałem się, jak często w tym wieku, kim właściwie jestem i co dokładnie patrzy na moją twarz w lustrze. Jeśli ta twarz to nie ja, a wiedziałem, że mną nie jest, bo wciąż byłem sobą niezależnie od twarzy, to czym dokładnie jestem? I co na mnie patrzy?

Wróciłem do sypialni. To była moja noc, mogłem otworzyć drzwi, zaczekałem zatem, aż siostra zaśnie, a potem w słabym świetle padającym z korytarza czytałem kryminał *Tajemnicza siódemka*, aż zasnąłem.

VI

Muszę coś wyznać: jako bardzo mały chłopiec – trzy-, czterolatek – bywałem prawdziwym potworem.

– Był z ciebie mały potworek – powtarzało kilka ciotek przy różnych okazjach, gdy osiągnąłem bezpieczny wiek męski i mogły już wspominać moje straszne dziecięce lata z cierpkim rozbawieniem. Ale ja sam nie pamiętam, żebym był potworem. Pamiętam tylko, że zawsze chciałem postawić na swoim.

Małe dzieci uważają się za bogów, przynajmniej niektóre. Zadowala je dopiero to, że reszta świata poddaje się ich kaprysom.

Ale ja nie byłem już taki mały. Miałem siedem lat. Dotąd żyłem bez lęku, teraz jednak czułem przerażenie.

Incydent z robakiem w stopie mnie nie wystraszył. Nie wspominałem o nim. Zastanawiałem się jednak następnego dnia, czy ludzie często miewają robaki w stopach, czy też spotkało to tylko mnie, w miejscu pod pomarańczowym niebem na skraju farmy Hempstocków.

Po przebudzeniu zerwałem plaster z podeszwy i z ulgą odkryłem, że dziura zaczęła się zamykać.

Pozostała tylko różowa plamka, jak pęknięty pęcherz, nic poza tym.

Zszedłem na dół, na śniadanie. Matka wyglądała na uradowaną.

– Mam dobre wieści, skarbie. Dostałam pracę. W salonie optycznym Dicksona potrzebują optyka i chcą, żebym zaczęła jeszcze dziś po południu. Będę pracować cztery dni w tygodniu.

Nie wadziło mi to. Umiałem świetnie radzić sobie sam.

– I mam więcej dobrych wieści. Ktoś tu zamieszka, by opiekować się wami pod moją nieobecność, dzieci. Na imię ma Ursula. Będzie spała w twoim dawnym pokoju na górze. Zostanie czymś w rodzaju gospodyni. Dopilnuje, żebyście mieli co jeść, i posprząta. Pani Wollery ma problemy z biodrem, mówi, że zdoła wrócić dopiero za kilka tygodni. Bardzo mi ulży, że ktoś się wami zajmie, gdy my z tatą będziemy pracować.

– Przecież nie masz pieniędzy – przypomniałem. – Mówiłaś, że nie macie pieniędzy.

– Dlatego właśnie przyjęłam tę pracę – wyjaśniła. – A Ursula zaopiekuje się wami w zamian za pokój. Musi zamieszkać w tej okolicy na kilka miesięcy. Dzwoniła dziś rano. Ma doskonałe referencje.

Miałem nadzieję, że okaże się miła. Poprzednia gospodyni, Gertruda, którą rodzice zatrudnili pół roku wcześniej, nie była miła: uwielbiała robić mojej siostrze i mnie różne dowcipy. Na przykład sprytnie podwijała nam prześcieradła, co kompletnie nas zaskoczyło. W końcu wymaszerowaliśmy z domu z transparentami „Nienawidzimy Gertrudy” i „Nie lubimy kuchni Gertrudy”, a potem wsadzaliśmy jej do łóżka małe żabki, aż wreszcie wyjechała do Szwecji.

Zabrałem książkę i poszedłem do ogrodu.

Był ciepły, słoneczny wiosenny dzień. Wspiąłem się po sznurowej drabince na najniższy konar wielkiego buka, usiadłem na nim i zacząłem czytać. Kiedy czytałem, nie bałem się niczego: znajdowałem się bardzo daleko, w starożytnym Egipcie, i zgłębiałem dzieje Hathor, jak krążyła po kraju pod postacią lwicy i zabiła tak wielu ludzi, że piaski Egiptu poczerwieniały od krwi. Pokonano ją, mieszając miód, piwo i miksturę nasenną, a potem farbując na czerwono, by przypominało krew, a ona wypiła to i zasnęła. Ra, ojciec bogów, uczynił ją potem boginią miłości, by rany zadawane ludziom od tej pory stały się wyłącznie ranami serca.

Zastanawiałem się, dlaczego bogowie to uczynili. Czemu po prostu jej nie zabili, skoro mieli okazję?

Lubiłem mity. Nie były to historie dla dorosłych, ani dla dzieci, tylko coś lepszego. Po prostu były.

Historie dla dorosłych nigdy nie miały sensu i zaczynały się strasznie powoli. Odnosiłem wrażenie, że kryją się w nich tajemnice, masońskie, mityczne tajemnice dorosłości. Dlaczego dorośli nie chcieli czytać o Narnii, o tajemniczych wyspach, przemytnikach i niebezpiecznych wróżkach?

Zrobiłem się głodny. Zszedłem z drzewa i pomaszerowałem na tył domu, mijając pralnię pachnącą mydłem do prania i pleśnią, komórkę na węgiel i drewno, zewnętrzną wygódkę, w której za drzwiami ogrodowej zieleni czekały zawieszone wśród swych nici pająki. Otworzyłem tylne drzwi i korytarzem pomaszerowałem do kuchni.

Była tam matka z kobietą, której nigdy wcześniej nie widziałem. Na jej widok zabolało mnie serce. Dosłownie, nie w przenośni: poczułem przez moment ukłucie w sercu – jedynie przelotne, po chwili minęło.

Siostra siedziała przy kuchennym stole, zajadając płatki.

Kobieta była bardzo ładna. Miała dość krótkie włosy barwy miodu, wielkie niebieskoszare oczy i usta pokryte jasną szminką. Nawet jak na dorosłą wydawała się wysoka.

– Kochanie? To jest pani Ursula Monkton – oznajmiła matka.

Nie odpowiedziałem. Jedynie patrzyłem na nią. Matka szturchnęła mnie łokciem.

– Cześć – rzuciłem.

– Jest nieśmiały – zauważyła Ursula Monkton. – Z pewnością, kiedy się ośmieli, zostaniemy przyjaciółmi.

Wyciągnęła rękę i poklepała mysiobrązowe włosy mojej siostry. Ta uśmiechnęła się szczerbato.

– Tak, bardzo panią lubię – powiedziała, a potem dodała, zwracając się do matki i mnie: – Kiedy dorosnę, chcę zostać Ursulą Monkton.

Moja matka i Ursula roześmiały się.

– Moja kochana – powiedziała Ursula Monkton, a potem obróciła się ku mnie. – A co z nami, hę? Także zostaniemy przyjaciółmi?

Ja jednak tylko przyglądałem się jej, dorosłej i jasnowłosej, w szaroróżowej spódnicy, i czułem strach.

Nie miała wcale obdartej sukienki. Pewnie sprawiła to obowiązująca moda, krój ubrania, ale gdy na nią patrzyłem, wyobrażałem sobie, że jej strój łopocze w bezwietrznej kuchni, niczym żagiel statku na samotnym oceanie, pod pomarańczowym niebem.

Nie wiem, co odpowiedziałem, ani czy w ogóle się odezwałem. Choć byłem bardzo głodny, wyszedłem z kuchni, nie zabierając nawet jabłka.

Zaniosłem książkę do ogrodu na tyłach, pod balkon obok rabaty rosnącej pod oknem pokoju telewizyjnego, i zacząłem czytać. O głodzie

zapomniałem w Egipcie pełnym bogów z głowami zwierząt, którzy rozrąbywali się na kawałki, a potem przywracali sobie nawzajem życie.

W ogrodzie zjawiła się moja siostra.

– Bardzo ją lubię – oznajmiła. – Jest moją przyjaciółką. Chcesz zobaczyć, co mi podarowała? – Wyciągnęła z kieszeni małą szarą portmonetkę, taką, w jakiej matka trzymała w torebce monety, zamykaną na metalowy zatrzask w kształcie motylka. Wyglądała jak zrobiona ze skóry. Zastanawiałem się, czy to skórka myszy. Siostra otworzyła portmonetkę, wsunęła do środka palce i wyciągnęła dużą srebrną monetę: pół korony. – Popatrz! – rzuciła. – Popatrz, co dostałam!

Ja też chciałem pół korony. Nie, pragnąłem tego, co mógłbym kupić za pół korony – magicznych sztuczek, plastikowych zabawek do robienia dowcipów, książek i tak wielu różnych innych rzeczy. Ale nie chciałem małej szarej portmonetki z półkoronówką.

– Nie lubię jej – poinformowałem siostrę.

– To dlatego, że ja pierwsza ją poznałam – odparła. – To moja przyjaciółka.

Nie sądziłem, by Ursula Monkton była czyjąkolwiek przyjaciółką. Chciałem pójść i ostrzec przed nią Lettie Hempstock – ale co miałbym powiedzieć? Że nasza nowa gospodyni i niania nosi szare i różowe ubranie? Że przyglądała mi się dziwnie?

Pożałowałem, że puściłem wtedy dłoń Lettie. Byłem pewien, że Ursula Monkton to moja wina i że nie zdołam się jej pozbyć, spuszczając ją w wannie ani wkładając jej żaby do łóżka.

Powinienem był pójść już wtedy, odbiec, pomknąć drogą, pokonując milę dzielącą mnie od farmy Hempstocków, ale tego nie zrobiłem, a potem taksówka zabrała moją matkę do zakładu optycznego Dicksons, gdzie miała pokazywać ludziom litery przez soczewki i pomagać lepiej widzieć, i zostałem z Ursulą Monkton.

Która wyszła do ogrodu, niosąc talerz pełen kanapek.

– Rozmawiałam z waszą matką – oznajmiła ze słodkim uśmiechem pod jasną szminką. – I dopóki tu jestem, wy, dzieci, musicie ograniczyć swoje wędrówki. Możecie przebywać wszędzie w domu bądź ogrodzie, jeśli trzeba, zaprowadzę was do przyjaciół, ale nie wolno wam opuszczać terenu i włóczyć się po okolicy.

– Oczywiście – odparła moja siostra.

Ja milczałem.

Siostra zjadła kanapkę z masłem orzechowym.

Konałem z głodu. Zastanawiałem się, czy kanapki są niebezpieczne, czy nie. Nie wiedziałem. Bałem się, że zjem którąś, a ona w żołądku zamieni mi się w robaki, które zaczną się we mnie wciskać, podbijając moje ciało i w końcu wyłażąc spod skóry.

Wróciłem do domu. Pchnięciem otworzyłem drzwi kuchni. Ursuli Monkton tam nie było. Napchałem kieszenie owocami – jabłkami, pomarańczami, twardymi brązowymi gruszkami. Zabrałem trzy banany i wsunąłem pod bluzę, a potem uciekłem do laboratorium.

Moje laboratorium – tak je nazywałem – mieściło się w zielonej szopie, stojącej z dala od domu, dobudowanej do ściany wielkiego starego garażu. Obok szopy rosło drzewo figowe, choć nigdy nie udało nam się skosztować jego dojrzałych owoców, widzieliśmy tylko wielkie liście i zielone zalążki. Nazywałem tę szopę laboratorium, bo przechowywałem w niej zestaw małego chemika: zestaw ów, odwieczny prezent urodzinowy, został wyeksmitowany z domu przez mojego ojca po tym, jak przyrządziłem coś w probówce. Zmieszałem w niej przypadkowe składniki, a potem podgrzewałem, dopóki nie wybuchły i nie poczerniały, wydzielając smród amoniaku, który okazał się zdumiewająco trwały. Ojciec oświadczył, że nie ma nic przeciw moim eksperymentom (choć żaden z nas nie wiedział nad czym dokładnie miałbym eksperymentować, nie miało to jednak znaczenia: matka też dostała na urodziny zestaw małego chemika i proszę, jak się to skończyło?), ale nie życzy sobie, by działo się to w zasięgu węchu od domu.

Zjadłem banana i gruszkę, resztę owoców ukryłem pod drewnianym stołem.

Dorośli wędrują ścieżkami. Dzieci badają. Dorośli potrafią chodzić tą samą trasą setki, nawet tysiące razy; może po prostu nigdy nie przychodzi im do głowy, by zboczyć z drogi, zakraść się pod rododendrony, poszukać miejsc między ogrodzeniami. Ja byłem dzieckiem, co oznaczało, że znałem tuzin różnych ścieżek wiodących poza granice naszego terenu, na drogę, i żadna z nich nie wymagała marszu podjazdem. Uznałem, że wykradnę się z szopy-laboratorium wzdłuż ściany na skraj trawnika, dalej między azalie i drzewka laurowe otaczające tamtejszy ogród. Stamtąd zbiegnę ze wzgórza

i wdrapię się na zardzewiałe metalowe ogrodzenie ciągnące się wzdłuż drogi.

Nikt nie patrzył. Pobiegłem, przekradłem się, przecisnąłem wśród drzewek i popędziłem wzdłuż zbocza, przepychając się przez kępy jeżyn i pokrzyw, które zdążyły tam wyrosnąć od czasu mojej ostatniej wizyty.

Ursula Monkton czekała na mnie u stóp wzgórza, tuż przed zardzewiałym metalowym ogrodzeniem. Nie ma mowy, by dostała się tam niepostrzeżenie, a jednak tam była. Splotła ręce na piersi i spojrzała na mnie, jej szaro-różowa sukienka załopotała na wietrze.

– Zdaje się, że mówiłam, że nie wolno ci opuszczać terenu.

– Nie opuściłem – odparłem pewnym siebie tonem, choć wcale nie czułem się pewnie. Bynajmniej. – Nadal jestem na naszym terenie. Po prostu go badam.

– Przekradasz się – oznajmiła.

Milczałem.

– Chyba powinieneś wrócić do siebie, tam będę mieć na ciebie oko. Czas już na drzemkę.

Byłem za duży na drzemki, ale wiedziałem, że jestem za młody, by się spierać i zwyciężyć w tym sporze.

– Dobra – rzekłem.

– Nie mów „dobra” – upomniała. – Mów „tak, panno Monkton” albo „proszę pani”. Powiedz „tak, proszę pani”.

Spojrzała na mnie z góry niebieskoszarymi oczami, które skojarzyły mi się z dziurami przegniłymi w brezencie i w tym momencie zupełnie nie wyglądały ładnie.

– Tak, proszę pani – odparłem, nienawidząc się za to.

Razem wspięliśmy się na wzgórze.

– Twoich rodziców nie stać już na utrzymanie tego domu – oznajmiła Ursula Monkton. – Nie mogą też sobie pozwolić na to, by go zatrzymać. Wkrótce zrozumieją, że aby rozwiązać wszystkie problemy finansowe, wystarczy sprzedać dom i ogrody deweloperom. A wtedy wszystko to – miała na myśli gąszcz jeżyn, nieporządny świat poza trawnikami – zamieni się w tuzin identycznych domów i ogrodów. Jeśli się wam poszczęści, zamieszkacie w jednym z nich. A jeśli nie, będziecie zazdrościć ich właścicielom. Podobałoby ci się to?

Uwielbiałem dom i ogród. Uwielbiałem jego rozmiar i nieporządek. Kochałem to miejsce, jakby stanowiło część mnie, i może w pewnym sensie nią było.

– Kim ty jesteś? – spytałem.

– Ursula Monkton. Jestem waszą gospodynią.

– Kim jesteś tak naprawdę? Dlaczego dajesz ludziom pieniądze?

– Wszyscy pragną pieniędzy – odparła, jakby to było coś oczywistego. – One ich uszczęśliwiają. Jeśli im pozwolisz, uszczęśliwią i ciebie.

Dotarliśmy do sterty skoszonego siana poza pierścieniem zielonej trawy, który nazywaliśmy kręgiem wróżek: czasami po deszczach wypełniały go zjadliwie żółte muchomory.

– A teraz – rzuciła – idź do siebie.

Odbiegłem od niej, pędząc ile sił w nogach przez krąg wróżek i trawnik, mijając krzaki róż, komórkę na węgiel i dalej, w głąb domu.

Ursula Monkton stała tuż za drzwiami i czekała na mnie, choć nie mogła mnie przecież wyminąć. Zobaczyłbym. Włosy miała idealnie ułożone, jej szminka wyglądała świeżo.

– Byłam wewnątrz ciebie – oznajmiła – więc słówko ostrzeżenia. Jeśli cokolwiek komuś powiesz, i tak ci nie uwierzy. A ponieważ byłam wewnątrz ciebie, będę wiedzieć. I jeśli zechcę, mogę sprawić, byś już nic nikomu nie powiedział. Nigdy.

Poszedłem do siebie i położyłem się na łóżku. Miejsce na podeszwie, w którym tkwił robak, pulsowało i bolało, teraz czułem też ból w piersi. W myślach zatem porzuciłem ten świat i zagłębiłem się w książkę. Tam właśnie odchodziłem, gdy życie stawało się zbyt ciężkie lub zbyt nieznośne. Wziąłem kilka starych książek matki z czasów jej dzieciństwa i zacząłem czytać o uczennicach przeżywających przygody w latach trzydziestych i czterdziestych. Zazwyczaj musiały zmierzyć się z przemytnikami, szpiegami bądź członkami piątej kolumny, cokolwiek to oznaczało. Zawsze były odważne i dokładnie wiedziały co robić. Ja nie byłem odważny i nie miałem pojęcia, co począć.

Nigdy w życiu nie czułem się tak samotny.

Zastanawiałem się, czy Hempstockowie mają telefon. Nie wydawało się to prawdopodobne, ale nie niemożliwe – może to właśnie pani Hempstock zgłosiła policji porzucony samochód? Książka telefoniczna została na dole, znałem jednak numer informacji, wystarczyło spytać o kogoś nazwiskiem

Hempstock mieszkającego na farmie Hempstocków. W sypialni rodziców stał telefon.

Wstałem z łóżka, podszedłem do drzwi, wyjrzałem. Korytarz na górze był pusty. Jak najszybciej i najciszej potrafiłem przekradłem się do pokoju obok. Ściany pomalowano jasnoróżową farbą, łóżko rodziców okrywała kapa we wzór wielkich drukowanych róż. Oszklone drzwi prowadziły na balkon biegnący wzdłuż tej ściany domu. Na kremowej złoconej szafce obok łóżka stał kremowy telefon. Podniosłem słuchawkę, usłyszałem sygnał i zacząłem wybierać numer informacji, pociągając kolejno w dół dziurkowaną tarczę: 1, 9, 2. Czekałem, aż zgłosi się operator i poda mi numer na farmę Hempstocków. Miałem ze sobą ołówek, byłem gotów zapisać numer telefonu z tyłu oprawnej w błękitne płótno książki *Pansy ratuje szkołę*.

Operator się nie zgłosił. Wciąż słyszałem sygnał, a ponad nim głos Ursuli Monkton.

– Dobrze wychowanym młodym ludziom nawet nie przychodzi do głowy wykradać się, by skorzystać z telefonu, prawda?

Nie odpowiedziałem, choć nie wątpiłem, że słyszy mój oddech. Odłożyłem słuchawkę na widełki i wróciłem do sypialni, którą dzieliłem z siostrą.

Usiadłem na łóżku, wyglądając przez okno.

Moje łóżko stało przesunięte pod samą ścianę tuż pod oknem. Uwielbiałem sypiać przy otwartym oknie. Najlepsze były deszczowe noce: otwierałem okno, kładłem głowę na poduszce, zamykałem oczy i czułem na twarzy wiatr, słuchając rozkołysanych szeleszczących drzew. Jeśli dopisało mi szczęście, na twarz spadały mi niesione wiatrem krople deszczu, a ja wyobrażałem sobie, że leżę w łodzi na środku oceanu i że łódź kołysze się niesiona falami. Nie marzyłem, że jestem piratem albo dokądkolwiek się wybieram. Po prostu leżałem w łodzi.

Teraz jednak nie padało i noc jeszcze nie nadeszła. Przez okno widziałem tylko drzewa, chmury i odległy fioletowy horyzont.

Pod dużą plastikową figurką Batmana, którą dostałem na urodziny, przechowywałem zapas czekolady na czarną godzinę. Jedząc ją teraz, wspominałem, jak wypuściłem rękę Lettie Hempstock, by chwycić kulę sparciałej tkaniny. To wówczas poczułem ów przeszywający ból w stopie.

Ja ją tu sprowadziłem, pomyślałem, i wiedziałem, że tak jest w istocie.

Ursula Monkton nie była prawdziwa. To tylko kartonowa maska, ukrywająca istotę, która podróżowała wewnątrz mnie pod postacią robaka, która trzepotała i falowała w krainie pod pomarańczowym niebem.

Wróciłem do lektury *Pansy ratuje szkołę*: szpiedzy, udający nauczycieli pracujących na szkolnej działce warzywnej, zamierzali przemycić tajne plany bazy lotniczej w sąsiedztwie i przekazać je wrogowi; ukryli te plany wewnątrz wydrążonych dyń.

– Wielkie nieba! – rzucił inspektor Davidson ze słynnego Pionu Przemytników i Sekretnych Szpiegów (PPSS) Scotland Yardu. – To doprawdy ostatnie miejsce, w jakie byśmy zajrzeli!

– Jesteśmy ci winni przeprosiny, Pansy – dodała surowa dyrektorka z nietypowo ciepłym uśmiechem. Błysk w jej oczach sprawił, iż Pansy pomyślała, że może od początku roku szkolnego źle ją oceniała. – Ocaliłaś reputację naszej szkoły! A teraz, zanim do końca popadniesz w pychę, czy nie powinnaś odmienić kilku francuskich czasowników dla Madame?

Mogłem być szczęśliwy z Pansy zajmującą jakąś część mojej głowy, choć resztę wypełniał strach. Czekałem, aż rodzice wrócą do domu. Powiem im, co się dzieje. Powiem im. A oni mi uwierzą.

W owym czasie ojciec pracował w biurze, godzinę jazdy od domu. Sam nie wiedziałem, czym się zajmuje. Miał bardzo ładną, uroczą sekretarkę, która z kolei miała pudla miniaturkę; kiedy usłyszała, że my, dzieci, mamy odwiedzić ojca, przyprowadzała psa z domu i bawiliśmy się z nim. Czasami mijaliśmy jakieś budynki i ojciec mawiał: „To jeden z naszych”, ale mnie nie interesowały budynki, toteż nigdy nie pytałem, dlaczego to jeden z naszych, ani nawet kim „my” jesteśmy.

Leżałem na łóżku, czytając książkę za książką, aż w końcu w drzwiach zjawiła się Ursula Monkton.

– Możesz już zejść na dół – oznajmiła.

W pokoju telewizyjnym moja siostra oglądała telewizję. Właśnie leciało „Jak”, program popularno-naukowy o tym, jak działają różne rzeczy. Zaczynał się od prowadzącego w indiańskim pióropuszu, powtarzającego „Jak, jak, jak” do wtóru wyjątkowo żałosnych okrzyków bojowych.

Chciałem przełączyć na BBC, ale siostra spojrzała na mnie tryumfalnie.

– Ursula mówi, że telewizor ma zostać na programie, który chcę oglądać, a tobie nie wolno przestawić.

Posiedziałem z nią minutę, patrząc, jak stary wąsaty mężczyzna pokazuje wszystkim dzieciom w Anglii, jak założyć przynętę na haczyk.

– Ona nie jest miła – powiedziałem.

– Ja ją lubię. Jest ładna.

Pięć minut później zjawiła się matka, zawołała „cześć” z korytarza i poszła do kuchni pomówić z Ursulą Monkton.

Po chwili zjawiła się ponownie.

– Obiad będzie gotowy, gdy wróci tatuś. Umyjcie ręce.

Siostra poszła na górę i umyła ręce.

– Nie lubię jej – rzekłem do matki. – Odprawisz ją?

Matka westchnęła.

– Tym razem nie będzie tak jak z Gertrudą, skarbie. Ursula to bardzo miła dziewczyna, z bardzo dobrej rodziny. I dosłownie uwielbia was dwoje.

Wrócił ojciec i podano obiad. Gęstą zupę jarzynową, potem pieczonego kurczaka i młode ziemniaki z zielonym groszkiem. Uwielbiałem to wszystko. Nie zjadłem ani odrobiny.

– Nie jestem głodny – wyjaśniłem.

– Nie chcę plotkować – wtrąciła Ursula Monkton – ale kiedy ktoś zszedł dziś z sypialni, miał na rękach i buzi ślady czekolady.

– Wolałbym, żebyś nie jadł tych śmieciowych słodyczy – zagrzmiał ojciec.

– To tylko przerabiany cukier. W dodatku odbiera apetyt i niszczy zęby – dodała matka.

Bałem się, że zmuszą mnie do jedzenia, ale nie. Siedziałem tam głodny, a tymczasem Ursula Monkton śmiała się ze wszystkich dowcipów mojego ojca. Odniosłem wrażenie, że opowiada je specjalnie dla niej.

Po obiedzie wszyscy obejrzeliśmy *Mission: Impossible*. Zazwyczaj lubiłem ten serial, ale tym razem czułem się nieswojo, patrząc, jak ludzie ściągają swoje twarze, ukazując nowe pod spodem. Nosili gumowe maski, pod którymi zawsze kryli się nasi bohaterowie, zastanawiałem się jednak, co by się stało, gdyby to Ursula Monkton ściągnęła twarz. Co ukazałoby się pod nią?

Poszliśmy do łóżka. Tym razem przypadała noc mojej siostry i drzwi sypialni pozostały zamknięte. Brakowało mi światła z korytarza. Leżałem w łóżku pod otwartym oknem, nie mogąc zasnąć i słuchałem odgłosów, jakie wydaje z siebie stary dom pod koniec długiego dnia. Z całych sił rozpaczliwie powtarzałem w duchu życzenie, marząc, by się spełniło. Życzyłem sobie, by rodzice odprawili Ursulę Monkton, a wówczas poszedłbym na farmę Hempstocków, powiedział Lettie, co zrobiłem, a ona by mi wybaczyła i wszystko znów byłoby dobrze.

Nie mogłem zasnąć. Moja siostra już spała. Potrafiła zasnąć, kiedy tylko chciała, zazdrościłem jej tej umiejętności, mnie samemu bardzo jej brakowało.

Wyszedłem z pokoju.

Przez chwilę stałem na górze, na szczycie schodów, słuchając dobiegającego z dołu dźwięku telewizora. Potem na bosaka zacząłem ostrożnie schodzić po stopniach, usiadłem na trzecim od dołu. Drzwi pokoju telewizyjnego były półotwarte; gdybym zszedł jeszcze niżej, oglądający by mnie zobaczyli. Zatem zaczekałem tam.

Słyszałem dźwięki z telewizora, przerywane ostrymi wybuchami telewizyjnego śmiechu.

A potem dołączyły do nich głosy rozmawiających dorosłych.

– Czyli pana żony nie ma co wieczór? – spytała Ursula Monkton.

– Nie. – Głos mojego ojca. – Wróciła dziś wieczorem, by zorganizować wszystko na jutro. Ale od jutra będzie tak co tydzień. Urządza w ratuszu zbiórkę pieniędzy na rzecz Afryki. Na wiercenie studni i, jeśli dobrze pamiętam, środki antykoncepcyjne.

– Cóż – odparła Ursula – mnie z pewnością ich nie potrzeba. – Roześmiała się wysoko, piskliwie, śmiech ów zabrzmiał przyjaźnie, szczerze i prawdziwie, nie dosłyszałem w nim ani śladu łopoczących szmat. Potem dodała: – Małe łobuziaki. – Po chwili drzwi otwarły się na oścież. Ursula Monkton spojrzała wprost na mnie. Nałożyła świeży makijaż, jasną szminkę i wielkie rzęsy.

– Idź do łóżka – poleciła. – Ale już.

– Chcę porozmawiać z ojcem – rzekłem bez większej nadziei.

Ona nie odpowiedziała, jedynie uśmiechnęła się bez cienia ciepła ani miłości, a ja wspiąłem się po schodach, położyłem do łóżka i leżałem tak

w ciemnej sypialni, aż w końcu zrezygnowałem ze snu. Ogarnął mnie, gdy najmniej się go spodziewałem, i zasnąłem bez cienia otuchy.

VII

Następny dzień był bardzo zły.

Rodzice odjechali, zanim jeszcze wstałem.

Zrobiło się zimno, niebo pokryło się warstwą szarych, nieprzyjaznych chmur. Przez sypialnię rodziców wyszedłem na balkon biegnący wzdłuż ich pokoju i mojego z siostrą. Stałem tam, modląc się do nieba, by Ursula Monkton znudziła się tą zabawą i żebym więcej jej nie zobaczył.

Kiedy zszedłem, czekała na mnie przy schodach.

– Te same zasady co wczoraj, mały łobuziaku – oznajmiła. – Nie możesz opuścić terenu. Jeśli spróbujesz, zamknę cię w pokoju na resztę dnia, a kiedy rodzice wrócą, powiem im, że zrobiłeś coś obrzydliwego.

– Nie uwierzą ci.

Uśmiechnęła się słodko.

– Jesteś pewien? Jeśli powiem im, że wyciągnąłeś swojego małego fiutka i zasikałeś całą kuchenną podłogę, a ja musiałam to umyć i odkazić? Sądzę, że mi uwierzą. Będę bardzo przekonująca.

Wyszedłem z domu i pomaszerowałem do laboratorium. Zjadłem wszystkie owoce, które ukryłem tam poprzedniego dnia. Zacząłem czytać *Sandie widzi wszystko*, kolejną z książek matki. Sandie była dzielną, choć ubogą uczennicą, którą przypadkiem posłano do snobistycznej drogiej szkoły, gdzie wszyscy jej nienawidzili. Pod koniec zdemaskowała nauczycielkę geografii jako Międzynarodowego Bolszewika, który uwięził prawdziwą nauczycielkę geografii. Scena kulminacyjna odbyła się na szkolnym apelu, kiedy Sandie wstała dzielnie i wygłosiła mowę

zaczynającą się od: „Wiem, że nie powinni byli mnie tu przysłać. To tylko błąd w dokumentacji sprawił, że trafiłam tutaj, a Sandy, pisana przez Y na końcu, do miejscowego liceum. Ale dziękuję opatrzności, że tu trafiłam. Bo panna Streebling nie jest tym, za kogo się podaje”.

W końcu Sandie została w pełni zaakceptowana przez ludzi, którzy jej nienawidzili.

Mój ojciec wrócił z pracy wcześnie – wcześniej niż zwykle od lat.

Chciałem z nim porozmawiać, ale ani przez moment nie był sam.

Obserwowałem ich z gałęzi mojego buku.

Najpierw oprowadził Ursulę Monkton po ogrodach, z dumą demonstrując jej krzewy róż i czarnych porzeczek, wiśnie i azalie, jakby miał z nimi cokolwiek wspólnego, jak gdyby nie zostały posadzone i pielęgnowane przez pana Wollery pięćdziesiąt lat przed tym, nim rodzice w ogóle kupili ten dom. Ursula Monkton śmiała się z jego wszystkich dowcipów. Nie słyszałem co mówił, widziałem jednak krzywy uśmieszek, jaki zawsze pojawiał się na jego ustach, kiedy wiedział, że rzekł coś zabawnego.

Stała zbyt blisko niego. Czasami przyjacielskim gestem kładł jej rękę na ramieniu. Martwiło mnie, że stoi tak blisko. Nie wiedział, czym ona była. To potwór, którego uważał za zwykłą osobę i traktował uprzejmie. Dziś miała na sobie inny strój: szarą spódnicę z tych, które nazywają midi, i różową bluzkę.

Każdego innego dnia na widok ojca w ogrodzie podbiegłbym do niego. Ale nie tego dnia. Bałem się, że się rozgniewa, albo że Ursula Monkton powie coś, co wzbudzi jego złość.

Gdy ojciec się gniewał, przerażał mnie. Jego twarz (kanciasta i zwykle życzliwa) czerwieniała i zaczynał krzyczeć, krzyczeć tak głośno i wściekle, że byłem dosłownie sparaliżowany. Wówczas nie mogłem nawet myśleć.

Nigdy mnie nie uderzył. Nie był zwolennikiem bicia. Często powtarzał, że ojciec go bił, matka ganiała z miotłą, ale on jest od nich lepszy. Kiedy rozzłościł się dostatecznie, by na mnie nawrzeszczeć, od czasu do czasu przypominał, że nigdy mnie nie uderzył, jakbym miał być za to wdzięczny. W czytanych przeze mnie szkolnych historiach psoty często kończyły się chłostą bądź laniem kapciem, a potem wszystko wybaczano; zdarzało się, że zazdrościłem owym fikcyjnym dzieciom prostoty ich życia.

Nie chciałem podejść do Ursuli Monkton: wolałem nie ryzykować, że ojciec się rozzłości.

Zastanawiałem się, czy to nie dobry moment, by opuścić nasz teren, pobiec dalej drogą, byłem jednak pewien, że jeśli tak uczynię, ujrzę przed sobą poczerwieniałą z wściekłości twarz ojca, a obok Ursulę Monkton, uroczą i pełną pychy.

Obserwowałem ich zatem jedynie z bukowego konaru. Gdy zniknęli mi z oczu za krzewami azalii, zsunąłem się po drabince linowej, wróciłem do domu, wyszedłem na balkon i patrzyłem dalej stamtąd. Dzień był szary, ale wszędzie rosły żółciutkie jak masło żonkile i narcyzy o jasnych zewnętrznych płatkach i ciemnoczerwonych trąbkach. Ojciec zerwał kilka z nich i wręczył Ursuli Monkton, która roześmiała się, powiedziała coś, a potem dygnęła. Ukłonił się w odpowiedzi i dodał coś, na co znów się zaśmiała. Pomyślałem, że pewnie mianował się rycerzem w lśniącej zbroi czy kimś podobnym.

Chciałem do niego zawołać, ostrzec, że daje kwiaty potworowi, ale tego nie zrobiłem. Stałem jedynie na balkonie i patrzyłem, a oni nie unieśli wzroku i mnie nie dostrzegli.

Z książki o mitach greckich wiedziałem, że narcyzy nazwano imieniem pięknego młodzieńca, tak urodziwego, że zakochał się sam w sobie. Ujrzał swoje odbicie w kałuży i nie chciał się z nim rozstać, w końcu zmarł i bogowie musieli zamienić go w kwiat. Gdy to czytałem, w myślach wyobrażałem sobie, że narcyz musi być najpiękniejszym kwiatem na świecie. Zawiodłem się, odkrywszy, że to tylko mniej ciekawa odmiana żonkila.

Moja siostra wyszła z domu i zbliżyła się do nich. Ojciec podniósł ją i pohuśtał w powietrzu. Wszyscy razem wmaszerowali do środka, ojciec z siostrą uwieszoną na szyi i Ursula Monkton z naręczem żółtych i białych kwiatów. Obserwowałem ich. Patrzyłem, jak wolna ręka ojca, ta nietrzymająca siostry, opadła i spoczęła od niechcenia, władczo, na krzywiźnie okrytych spódniczką midi pośladków Ursuli Monkton.

Teraz zareagowałbym na to inaczej. W owym czasie chyba mnie to nawet nie zastanowiło. Miałem siedem lat.

Przecisnąłem się przez okno naszej sypialni, łatwe do sięgnięcia z balkonu, i padłem na łóżko, gdzie zacząłem czytać książkę o dziewczynie,

która mieszkała na Wyspach Normandzkich i stawiła opór hitlerowcom, bo nie chciała opuścić swojego kucyka.

A podczas lektury myślałem: „Ursula Monkton nie może zatrzymać mnie tu na zawsze. Wkrótce – najpóźniej za kilka dni – ktoś zabierze mnie z domu do miasta, albo gdzie indziej, a wtedy pójdę na farmę na końcu drogi i powiem Lettie Hempstock co się stało”.

A potem pomyślałem: „Przypuśćmy jednak, że Ursula potrzebuje tylko kilku dni?”. I ta myśl mnie przeraziła.

Tego wieczoru Ursula Monkton przyrządziła na kolację klopsa, a ja go nie zjadłem. Byłem zdecydowany nie jeść niczego, co upiekła, ugotowała bądź czego dotknęła. Mojego ojca to nie zachwyciło.

– Ale ja naprawdę nie chcę – oznajmiłem. – Nie jestem głodny.

Była środa, matka uczestniczyła w spotkaniu w sprawie zbiórki pieniędzy, która miała umożliwić potrzebującym wody ludziom w Afryce wykopanie studni. Spotkanie odbywało się w ratuszu w następnej wiosce przy drodze. Miała ze sobą plakaty, które zamierzała rozwiesić, wykresy przedstawiające studnie i zdjęcia uśmiechniętych ludzi. Tego wieczoru przy stole siedziała moja siostra, ojciec, Ursula Monkton i ja.

– Jest smaczny, bardzo zdrowy i pyszny – oznajmił ojciec. – A w tym domu nie marnujemy jedzenia.

– Mówiłem już, nie jestem głodny.

Skłamałem. Byłem tak głodny, że aż bolało.

– W takim razie spróbuj choć kęs – nalegał. – To twoje ulubione danie. Klops i tłuczone ziemniaki z sosem. Uwielbiasz je.

W kuchni stał stół dziecięcy, jadaliśmy przy nim, gdy rodzice zapraszali przyjaciół albo późno zasiadali do posiłku. Jednakże tego wieczoru siedzieliśmy przy stole dorosłych. Wolałem ten dziecięcy. Czułem się tam niewidzialny. Nikt nie patrzył, jak jem.

Ursula Monkton zajęła miejsce obok mego ojca, patrzyła na mnie z lekkim uśmieszkiem w kąciku ust.

Wiedziałem, że powinienem się zamknąć, milczeć, nadąsać. Ale nie potrafiłem się powstrzymać. Musiałem wyjaśnić ojcu, dlaczego nie chcę jeść.

– Nie zjem niczego, co przygotowała – oznajmiłem. – Nie lubię jej.

– Natychmiast zjesz obiad – rzucił ojciec. – A przynajmniej spróbujesz. I przeprosisz pannę Monkton.

– Nie.

– Nie musi – wtrąciła współczująco Ursula Monkton i spojrzała na mnie z uśmiechem.

Wątpię, by pozostałe dwie osoby przy stole zauważyły, że uśmiechała się z rozbawieniem i że jej mina nie miała w sobie cienia sympatii, podobnie jak uśmiech i oczy ze sparciałej tkaniny.

– Obawiam się, że musi – nie zgodził się ojciec, jego głos zabrzmiał nieco donośniej, twarz odrobinę poczerwieniała. – Nie zgadzam się, by zachowywał się tak bezczelnie w stosunku do pani. – Odwrócił się do mnie. – Daj mi choć jeden dobry powód, tylko jeden, dla którego nie chcesz przeprosić i zjeść pysznego obiadu, który przygotowała nam Ursula.

Nie potrafiłem kłamać, więc mu powiedziałem.

– Bo ona nie jest człowiekiem. To potwór, to... – Jak nazwała ją pani Hempstock? – To pchła.

Policzki ojca płonęły, zacisnął mocno usta.

– Wyjdź stąd. Na korytarz. W tej chwili.

Serce uciekło mi w pięty. Zeskoczyłem ze stołka i ruszyłem za nim na korytarz. Było tam ciemno: jedyne światło padało z kuchni, przez szybkę nad drzwiami. Ojciec spojrzał na mnie z góry.

– Wrócisz do kuchni. Przeprosisz pannę Monkton. Zjesz wszystko, co masz na talerzu, a potem cicho i grzecznie pójdziesz prosto na górę do łóżka.

– Nie – odparłem. – Nie zrobię tego.

Śmignąłem naprzód, popędziłem korytarzem, skręciłem i, tupiąc, wbiegłem po schodach. Nie wątpiłem, że ojciec pobiegnie za mną. Był ode mnie dwa razy większy i szybszy, ale nie musiałem biec daleko. W całym domu istniało tylko jedno pomieszczenie, w którym mogłem się zamknąć, i tam właśnie zmierzałem, na szczycie schodów w lewo, na końcu korytarza. Dotarłem do łazienki przed ojcem, zatrzasnąłem drzwi i zasunąłem mały srebrny rygielek.

Ojciec mnie nie gonił. Może uznał, że bieganina za dzieckiem jest poniżej jego godności. Ale po kilku chwilach usłyszałem uderzenie pięścią, a potem jego głos.

– Otwórz te drzwi.

Nie odpowiedziałem. Usiadłem na pluszowym pokrowcu deski, nienawidząc go niemal tak bardzo, jak Ursuli Monkton.

Drzwi zadygotały, tym razem mocniej.

– Jeśli ich nie otworzysz – rzekł dość głośno, by mieć pewność, że go usłyszę – wyłamię je.

Czy naprawdę by to zrobił? Nie wiedziałem. Drzwi były zamknięte. Zamknięte drzwi nie pozwalają ludziom wejść. Zamknięte drzwi oznaczają, że jesteś w środku, a kiedy ludzie pragną wejść do łazienki i szarpią nimi, odkrywając, że się nie otworzą, mówią „przepraszam!” albo krzyczą „długo tam będziesz?” i...

Drzwi eksplodowały do wewnątrz. Mały srebrny rygielek zwisał z framugi wygięty i złamany, w wejściu stał ojciec, wypełniając je całkowicie, oczy miał wielkie i białe, policzki płonęły furią.

– No dobra – rzucił.

Nic więcej nie powiedział, lecz jego dłoń zacisnęła się na moim lewym ramieniu z siłą niepozwalającą się wyrwać. Zastanawiałem się, co teraz zrobi. Czy w końcu mnie uderzy, odeśle do pokoju, a może będzie krzyczał tak głośno, że pożałuję, że nie umarłem?

Nie zrobił niczego takiego.

Pociągnął mnie do wanny. Pochylił się, wcisnął w otwór biały gumowy korek. A potem odkręcił kran z zimną wodą, która bryznęła, ochlapując białą emalię i powoli, miarowo napełniała wannę.

Szumiała bardzo głośno.

Ojciec odwrócił się do otwartych drzwi.

– Sam się tym zajmę – rzekł do Ursuli Monkton.

Stała w drzwiach, trzymając za rękę moją siostrę, sprawiała wrażenie łagodnej i zatroskanej, lecz w jej oczach płonął tryumfalny ogień.

– Zamknijcie drzwi – polecił ojciec.

Siostra zaczęła piszczeć, lecz Ursula Monkton zamknęła drzwi najlepiej jak mogła, bo jeden z zawiasów nie działał jak należy, a złamana zasuwka nie pozwalała domknąć ich do końca.

Zostałem sam z ojcem. Na jego policzkach biel zastąpiła wcześniejszą czerwień. Wciąż zaciskał wargi i nie wiedziałem, co zamierza zrobić ani czemu napełnia wannę, ale bałem się, tak bardzo się bałem!

– Przeproszę – powiedziałem. – Powiem, że bardzo mi przykro, nie mówiłem poważnie. Ona nie jest potworem, jest... jest ładna.

Ojciec nie zareagował. Wanna była pełna. Zakręcił kran.

A potem szybko podniósł mnie. Wcisnął mi wielkie dłonie pod pachy i dźwignął z łatwością, poczułem się, jakbym nic nie ważył.

Spojrzałem na niego, na skupiony wyraz jego twarzy. Przed wejściem na górę zdjął marynarkę. Miał na sobie jasnobłękitną koszulę i ciemnoczerwony krawat w turecki wzór. Zdjął zegarek na elastycznej bransolecie, odłożył na parapet.

Nagle pojąłem, co zamierza zrobić, i kopnąłem, szarpiąc się, nic z tego jednak nie odniosło żadnego skutku. Gwałtownie zanurzył mnie w lodowatej wodzie.

Byłem przerażony, ale z początku sprawił to fakt, że działo się coś, co wykraczało poza ustalony porządek rzeczy. Byłem całkiem ubrany. To nie w porządku. Miałem na nogach sandały. To nie w porządku. Woda w wannie była zimna, bardzo zimna, nie taka jak trzeba. To właśnie pomyślałem najpierw, gdy wepchnął mnie do wanny i pchał dalej, zanurzając mi głowę i ramiona w lodowatej cieczy. Wówczas strach zmienił swą naturę. Zaraz umrę, pomyślałem.

I myśląc to, postanowiłem żyć.

Zamachałem rękami, szukając jakiegokolwiek uchwytu, nie znalazłem jednak niczego, czego mógłbym się złapać, wyłącznie śliskie krawędzie wanny, w której kąpałem się przez ostatnie dwa lata (przeczytałem w niej wiele, wiele książek. To była jedna z moich bezpiecznych kryjówek. A teraz nie wątpiłem, że w niej zginę).

Otworzyłem oczy pod wodą i zobaczyłem, jak dynda mi przed twarzą: szansa przeżycia. Chwyciłem ją oburącz – krawat ojca.

Trzymając go mocno, zacząłem się podciągać, on tymczasem pchał mnie w dół. Rozpaczliwie zaciskałem ręce, dźwigając twarz z przeraźliwie zimnej wody, przytrzymując się jego krawata tak mocno, że nie mógł już wepchnąć mnie z powrotem, nie zanurzając się samemu.

Gdy tylko wynurzyłem się na powierzchnię, chwyciłem zębami krawat tuż pod węzłem.

Zmagaliśmy się. Byłem cały mokry i świadomość, że i on także przemókł, sprawiła mi lekką przyjemność. Błękitna koszula oblepiała jego potężne ramiona.

Znów mnie pchnął, ale strach przed śmiercią dodaje nam sił: moje dłonie i zęby zaciskały się na jego krawacie, a on mógł się uwolnić tylko wtedy, gdyby mnie uderzył.

A ojciec nigdy mnie nie bił.

Wyprostował się i wyciągnął mnie za sobą, plującego, ociekającego wodą, wściekłego, zapłakanego i przerażonego. Wypuściłem z zębów krawat, wciąż przytrzymując go dłońmi.

– Zniszczyłeś mi krawat. Puszczaj – polecił. Węzeł zacisnął się do rozmiarów groszku, końcówka zwisała ciężko od spodu. – Powinieneś się cieszyć, że nie ma tu matki – dodał.

Puściłem, opadając na miękkie łazienkowe linoleum. Cofnąłem się o krok w stronę toalety. Spojrzał na mnie z góry.

– Idź do siebie – polecił. – Nie chcę cię już dziś widzieć.

Poszedłem do siebie.

VIII

Wstrząsały mną dreszcze, byłem przemoknięty i bardzo, bardzo zmarznięty. Miałem wrażenie, że wyssano ze mnie całe ciepło. Mokre ubranie lepiło mi się do skóry, zimna woda kapała z niego na podłogę. Przy każdym kroku moje sandały wydawały z siebie komiczne piszczące mlaski, z niewielkiego kwadratowego otworu na wierzchu wypływała woda.

Ściągnąłem z siebie wszystko i zostawiłem na mokrej kupce na wyłożonej płytkami podłodze przy kominku. Wokół natychmiast zaczęła się zbierać kałuża. Zdjąłem z kominka zapałki, odkręciłem gaz i zapaliłem płomyk.

Wpatruję się w staw, wspominając sprawy, w które trudno uwierzyć. Dlaczego, kiedy tak patrzę w przeszłość, najtrudniej ze wszystkiego jest mi zaakceptować fakt, że pięciolatka i siedmiolatek mieli w sypialni gazowy kominek?

W pokoju nie było ręczników, toteż stałem tam mokry, zastanawiając się, jak się wytrę. W końcu ściągnąłem z łóżka cienką kapę, otarłem się nią i włożyłem piżamę. Uszyto ją z czerwonego nylonu, była błyszcząca, pasiasta, a na lewym rękawie pozostał czarny zwęglony ślad w miejscu, gdzie, kiedy pochyliłem się zbyt blisko płomienia, rękaw się zapalił, choć jakimś cudem nie poparzyłem sobie ręki.

Na drzwiach sypialni wisiał szlafrok, który bardzo rzadko wkładałem, idealnie ustawiony tak, że przy zapalonym świetle w korytarzu i otwartych drzwiach rzucał na ścianę koszmarne cienie. Naciągnąłem go na siebie.

Drzwi sypialni otworzyły się, do środka weszła siostra i zabrała nocną koszulę spod poduszki.

– Byłeś taki niegrzeczny – oznajmiła – że nie wolno mi nawet przebywać z tobą w jednym pokoju. Dziś będę spała w łóżku z mamusią i tatusiem. I tatuś mówi, że mogę oglądać telewizję.

W brązowej drewnianej szafce w kącie sypialni rodziców stał stary telewizor, którego niemal nigdy nie włączali. Rozmazany czarno-biały obraz często rozregulowywał się w pionie i rozpływał, tworząc powolną wstęgę: głowy ludzi znikały pod ekranem, a ich stopy opadały powoli z góry.

– Nie obchodzi mnie to – odparłem.

– Tatuś mówi, że zniszczyłeś mu krawat. I jest cały mokry – dodała siostra z satysfakcją w głosie.

W drzwiach zjawiła się Ursula Monkton.

– Nie rozmawiamy z nim – rzuciła do siostry. – Nie będziemy z nim rozmawiać, póki rodzice nie pozwolą mu dołączyć do reszty rodziny.

Siostra wymknęła się, zmierzając do sąsiedniego pokoju, sypialni rodziców.

– Ty nie należysz do mojej rodziny – poinformowałem Ursulę Monkton. – Kiedy mamusia wróci, powiem jej, co zrobił tato.

– Zjawi się dopiero za dwie godziny – odparła Ursula Monkton. – A poza tym, co możesz jej powiedzieć? To niczego nie zmieni. Przecież i tak we wszystkim zgadza się z ojcem, prawda?

Faktycznie. Zawsze występowali razem, tworząc wspólny front.

– Nie sprzeciwiaj mi się – dodała Ursula Monkton. – Mam tu do załatwienia kilka spraw, a ty mi przeszkadzasz. Następnym razem będzie znacznie gorzej. Następnym razem zamknę cię na strychu.

– Nie boję się ciebie – oznajmiłem. Bałem się jej bardziej niż czegokolwiek w życiu.

– Tam jest gorąco – dodała z uśmiechem.

Podeszła do gazowego kominka, wyciągnęła rękę, zakręciła gaz, zabrała zapałki.

– Nadal jesteś tylko pchłą – dodałem.

Przestała się uśmiechać. Sięgnęła na szczyt framugi nad drzwiami, wyżej niż zdołałoby się wspiąć jakiekolwiek dziecko, i zabrała spoczywający tam klucz. Wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Usłyszałem, jak przekręca go

w zamku, jak ten zaskakuje i szczęka. Słyszałem dobiegające zza ściany głosy z telewizora. Słyszałem, jak drzwi w korytarzu zamykają się, odcinając obie sypialnie od reszty domu, i wiedziałem, że Ursula Monkton schodzi na dół. Podszedłem do zamka i mrużąc oczy, zajrzałem do niego. Z książki dowiedziałem się, że mógłbym ołówkiem wypchnąć klucz na kartkę papieru wsuniętą pod drzwi i w ten sposób się uwolnić... Ale dziurka była pusta.

I wtedy, zmarznięty, wciąż mokry, zamknięty w sypialni, rozpłakałem się, płacząc z bólu, gniewu i przerażenia, bezpiecznie pewien, że nikt się nie zjawi i mnie nie zobaczy, że nikt nie będzie się ze mnie wyśmiewał, tak jak śmiali się z każdego chłopaka w mojej szkole, który okazał się dość nierozsądny, by nie wstrzymać łez.

Nawet łagodne bębnienie deszczu o szybę mnie nie ucieszyło.

Płakałem, aż w końcu wypłakałem się do końca. Potem wciągnąłem w płuca kilka potężnych haustów powietrza i pomyślałem: Ursula Monkton, trzepoczący brezentowy potwór, robak i pchła, dopadnie mnie, jeśli spróbuję opuścić nasz teren. Wiedziałem to.

Ale Ursula Monkton mnie zamknęła. Nie będzie się spodziewała, że teraz wyjdę.

I może, jeśli dopisze mi szczęście, coś odciągnie jej uwagę.

Otworzyłem okno sypialni, nasłuchując nocy. Lekki deszcz uderzał o ziemię z odgłosem podobnym do szelestu. Było zimno, a ja już przemarzłem. Moja siostra w sąsiedniej sypialni oglądała coś w telewizji. Nie usłyszy mnie.

Podszedłem do drzwi i zgasiłem światło.

Ruszyłem przez ciemną sypialnię i położyłem się na łóżku.

Leżę w łóżku, pomyślałem. Leżę w łóżku i myślę o tym, jak bardzo jestem wstrząśnięty. Wkrótce zasnę. Leżę w łóżku, wiem, że wygrała, i jeśli sprawdzi, co porabiam, zobaczy, że leżę w łóżku i śpię.

Leżę w łóżku, już czas, żebym zasnął... Oczy same mi się zamykają. Zasypiam twardo. Śpię w swoim łóżku.

Stanąłem na nim i przecisnąłem się przez okno. Na chwilę zawisłem, potem jak najciszej opadłem na balkon. To było najłatwiejsze.

Dorastając, czerpałem mnóstwo informacji z książek. Nauczyły mnie większości tego, co wiedziałem o ludziach, o tym, jak się zachowywać. Były moimi nauczycielami i doradcami. W książkach chłopcy wspinali się

na drzewa, toteż i ja to robiłem, czasami bardzo wysoko, choć zawsze bałem się, że spadnę. W książkach ludzie włazili i schodzili po rynnach, by dostać się i wydostać z domów, toteż ja także wdrapywałem się po rynnie. Nasze rynny były ciężkie, żelazne, staroświeckie, przymocowane do cegły, nie lekkie, z plastiku, jak dzisiaj.

Nigdy nie zsuwałem się po nich w ciemności ani w deszczu, ale znałem wszystkie uchwyty. Wiedziałem też, że największy problem to nie upadek z wysokości dwadziestu stóp na mokrą rabatę, tylko fakt, że rynna, po której schodziłem, biegła obok pokoju telewizyjnego na dole, w którym bez wątpienia Ursula Monkton i mój ojciec oglądali razem jakiś program.

Starałem się nie myśleć.

Pokonałem ceglany murek okalający balkon i wyciągałem rękę, póki nie namacałem żelaznej rynny, zimnej i śliskiej od deszczu. Przytrzymałem się jej, potem zrobiłem duży krok w jej stronę i moja bosa stopa spoczęła na metalowej obejmie, otaczającej rynnę i mocującej ją solidnie do ceglanej ściany.

Zacząłem schodzić, krok za krokiem, wyobrażając sobie, że jestem Batmanem i setką bohaterów i bohaterek szkolnych powieści, a potem – przypomniawszy sobie o obecnej sytuacji – że jestem kroplą deszczu na murze, cegłą, drzewem. Leżę w łóżku, pomyślałem, nie ma mnie w tym miejscu, gdzie światło z pozbawionego zasłony okna pokoju telewizyjnego wylewa się pode mną, zamieniając padający obok deszcz w serię migotliwych linii i smug.

Nie patrz na mnie, pomyślałem. Nie wyglądaj przez okno.

Zsuwałem się powoli. Zazwyczaj schodziłem z rynny na zewnętrzny parapet pokoju telewizyjnego, ale tym razem nie wchodziło to w rachubę. Ostrożnie opuściłem się kolejne kilka cali, odchyliłem dalej w cień, od światła, i z przerażeniem zerknąłem do środka, spodziewając się, że ujrzę patrzące na mnie twarze ojca i Ursuli Monkton.

Pokój był pusty.

Światło się paliło, telewizor działał, ale nikt nie siedział na sofie, a drzwi stały otworem.

Z łatwością postawiłem stopę na parapecie, licząc wbrew wszystkiemu na to, że żadne z nich nie wróci i mnie nie zobaczy, a potem zeskoczyłem z niego na rabatę. Moje bose stopy zanurzyły się w miękkiej, mokrej ziemi.

Zamierzałem pobiec jak najszybciej przed siebie, ale w salonie, do którego nigdy nie wchodziły dzieci, pokoju wykładanym dębową boazerią, przeznaczonym na najważniejsze, wyjątkowe okazje, paliło się światło.

Zasłony były zaciągnięte. Uszyto je z zielonego aksamitu podbitego bielą, przenikające przez nie światło, gdy nie dociągnięto ich do końca, miało złotą, miękką barwę.

Podszedłem do okna. Nie zasunięto ich do końca. Mogłem zajrzeć do środka, zobaczyć to, co działo się przede moimi oczami.

Sam nie wiedziałem na co patrzę. Mój ojciec przyciskał Ursulę Monkton do boku wielkiego kominka na przeciwległej ścianie. Stał zwrócony plecami do mnie. Ona także, ręce oparła o wysokie ozdobne obramowanie, ojciec obejmował ją od tyłu. Spódniczkę midi podciągnął aż do pasa.

Nie wiedziałem dokładnie, co robią, i przynajmniej w tym momencie zupełnie mnie to nie obchodziło. Liczył się tylko fakt, że Ursula Monkton skupiła się na czymś poza mną, toteż odwróciłem się od szczeliny w zasłonach, światła i domu, i umknąłem na bosaka w deszczową ciemność.

Mrok okazał się nie całkiem nieprzenikniony. Była to pochmurna noc z rodzaju tych, podczas których chmury skupiają światło z odległych latarni ulicznych i domów w dole i odbijają z powrotem ku ziemi. Kiedy wzrok mi przywykł, widziałem całkiem dobrze. Dotarłem na koniec ogrodu, minąłem stertę kompostu i siana, potem zbiegłem ze wzgórza na drogę. Jeżyny i ciernie kłuły i kaleczyły mi nogi, ale biegłem dalej.

Wspiąłem się na niskie metalowe ogrodzenie i zeskoczyłem na drogę. Opuściłem nasz teren i poczułem się tak, jakby nagle minął mi ból głowy, z którego istnienia wcześniej nie zdawałem sobie sprawy.

– Lettie – wyszeptałem nerwowo. – Lettie Hempstock. – I pomyślałem: leżę w łóżku. To wszystko tylko mi się śni. Co za barwny sen! Leżę w łóżku, ale nie wierzę, by Ursula Monkton w tym momencie myślała akurat o mnie.

Biegnąc tak, przypomniałem sobie ojca obejmującego gospodynię niebędącą gospodynią, całującego jej kark, a potem ujrzałem jego twarz przez lodowatą wodę w wannie, gdy przytrzymywał mnie pod nią, i nie bałem się już tego, co się zdarzyło w łazience: teraz bałem się tego, co może oznaczać fakt, że mój ojciec całował kark Ursuli Monkton, że jego dłonie zadarły jej midispódnicę aż do pasa.

Moi rodzice stanowili jedność, nienaruszalną całość. Nagle przyszłość stała się czymś nieznanym: mogło się wydarzyć wszystko, pociąg mojego życia wykoleił się i pędził przez pola wraz ze mną, byle dalej drogą.

Wbite w ziemię kamienie raniły mi stopy, ale nie dbałem o to. Byłem pewien, że wkrótce stwór będący Ursulą Monkton skończy to, co robił z moim ojcem. Może wrócą na górę i razem sprawdzą co u mnie? Wówczas odkryje, że zniknąłem, i ruszy w pościg.

Jeśli zaczną mnie gonić, to samochodem, pomyślałem. Zacząłem szukać szczeliny w żywopłocie po obu stronach drogi. Wypatrzyłem drewniane schodki, wspiąłem się na nie i biegłem dalej łąką, serce waliło mi w piersi niczym największy, najgłośniejszy bęben świata, a ja biegłem bosy, w piżamie i szlafroku, przemoczonych do kolan i lepiących się do skóry. Biegłem, nie przejmując się krowimi plackami. Łąka mniej raniła mi stopy niż kamienista droga. Ogarnęła mnie radość, czułem się lepiej, biegnąc po trawie.

Za moimi plecami zagrzmiało, choć nie dostrzegłem błyskawicy. Wspiąłem się na ogrodzenie i stopy zanurzyły mi się w miękkiej ziemi świeżo zaoranego pola. Biegłem dalej, potykając się, czasami padając, ale nie ustępowałem. Potem schodki i kolejne pole, tym razem niezaorane, przeciąłem je, trzymając się blisko żywopłotu, bojąc się za bardzo oddalić na otwartą przestrzeń.

Nagle na drodze pojawiły się światła samochodu, niespodziewane, oślepiające. Zamarłem i zamknąłem oczy, wyobrażając sobie, że śpię w łóżku. Samochód przejechał obok mnie, zwalniając, dostrzegłem jego czerwone tylne reflektory, gdy się oddalał: biała furgonetka, która chyba należała do rodziny Andersów.

Mimo to, poczułem się nagle mniej bezpiecznie i oddaliłem w głąb łąki. Dotarłem do następnego pola i przekonałem się, że od obecnego oddzielają je tylko cienkie kawałki drutu, pod którymi łatwo się przecisnąć, nawet nie kolczastego, wyciągnąłem zatem rękę i uniosłem drut, by zrobić sobie miejsce, i...

Zupełnie jakby coś uderzyło mnie bardzo mocno w pierś, moją ręką, w miejscu gdzie chwyciła drut ogrodzenia, wstrząsały konwulsje, dłoń zapiekła, zupełnie jakbym plasnął nią o ścianę.

Wypuściłem płot elektryczny i cofnąłem się. Nie mogłem już biec, ale pośpieszyłem dalej, w deszczu, na wietrze i w ciemności wzdłuż

ogrodzenia, uważając, by go nie dotknąć, w końcu dotarłem do bramy. Wdrapałem się na nią i pomaszerowałem przez pole, kierując się w stronę głębszej ciemności na końcu – to drzewa, pomyślałem, i las. Wolałem nie zbliżać się do skraju pola w obawie, że czeka tam na mnie kolejny drut pod prądem.

Zawahałem się, niepewny, gdzie teraz się skierować. Jakby w odpowiedzi, błyskawica na moment oświetliła świat dokoła, ja jednak potrzebowałem jedynie chwili. Ujrzałem drewniane schodki i pobiegłem ku nim.

Zeskoczyłem z nich. Zgodnie z oczekiwaniami, wylądowałem w kępie pokrzyw i poczułem dziesiątki gorąco-zimnych piekących ukłuć na stopach i odsłoniętych łydkach, biegłem jednak dalej jak najszybciej zdołałem. Miałem nadzieję, że wciąż zmierzam w stronę farmy Hempstocków. Na pewno. Przeciąłem jeszcze jedno pole, nim zorientowałem się, że nie wiem już, którędy biegnie droga ani w ogóle, gdzie jestem. Wiedziałem tylko, że farma Hempstocków leży na końcu naszej drogi, ale zabłądziłem na ciemnym polu, niebo zasnuły burzowe chmury, noc zrobiła się bardzo ciemna i wciąż padało, choć jeszcze nie lało, a moja wyobraźnia zaczęła wypełniać mrok wilkami i duchami. Chciałem przestać je sobie wyobrażać, przestać myśleć, ale nie mogłem.

A za plecami wilków, duchów i chodzących drzew zbliżała się Ursula Monkton, mówiąca, że następnym razem, kiedy jej nie posłucham, będzie znacznie gorzej, że zamknie mnie na strychu.

Nie byłem odważny. Uciekałem przed wszystkim przemarznięty, przemoczony i zagubiony.

– Lettie! – krzyknąłem ile sił w płucach. – Lettie Hempstock! Halo?! – Ale nikt nie odpowiedział, zresztą nie oczekiwałem odpowiedzi.

Grzmot znów się odezwał, rycząc nisko bez przerwy, niczym rozdrażniony lew, pioruny błyskały, migocząc jak uszkodzona jarzeniówka. W tym migotliwym blasku widziałem, że ta część pola kończy się narożnikiem z żywopłotami po obu stronach, bez żadnego przejścia. Nie dostrzegłem bramki ani schodków, oprócz tych, którymi na nie wbiegłem, na drugim końcu.

Coś trzasnęło.

Spojrzałem w niebo. W telewizji i na filmach widywałem pioruny, długie zębate zygzaki światła wśród chmur. Lecz do tej pory te, które oglądałem

własnymi oczami, przypominały jedynie białe rozbłyski z góry, niczym flesz aparatu fotograficznego, zalewające świat oślepiającym blaskiem. To, co ujrzałem wówczas na niebie, ich nie przypominało.

Nie było też zygzakowatą błyskawicą.

Pojawiało się i znikało, zwijająca się, płonąca błękitna biel na niebie. Gasło, a potem znów rozbłyskało, a jego błyski i migotania oświetlały łąkę, pozwalając mi widzieć. Deszcz bębnił coraz mocniej, smagając mi twarz, w jednej chwili z mżawki zamienił się w ulewę. Po sekundzie przemókł mi szlafrok. Jednakże w świetle ujrzałem – a może wydało mi się, że widzę – otwór w żywopłocie po prawej i pomaszerowałem, bo nie mogłem już biec, nie miałem sił, jak najszybciej w jego stronę, licząc, że jest prawdziwy. Mokry szlafrok łopotał w powiewach wiatru, a dźwięk łopoczącej tkaniny mnie przerażał.

Nie patrzyłem w niebo. Nie oglądałem się za siebie.

Widziałem jednak przeciwległy koniec pola i rzeczywiście, między żywopłotami ziała luka. Prawie już do niej dotarłem, gdy usłyszałem głos.

– Powiedziałam ci chyba, żebyś został w pokoju. A teraz widzę, że skradasz się jak podtopiony marynarz.

Obróciłem się, obejrzałem za siebie, niczego nie ujrzałem. Nikogo tam nie było.

A potem uniosłem wzrok.

Stwór, który nazywał się Ursulą Monkton, wisiał w powietrzu dwadzieścia stóp nade mną, po niebie za nią pełzały migoczące błyskawice. Nie frunęła. Szybowała nieważka jak balon, choć ostre powiewy wiatru nią nie poruszały.

Wichura zawodziła, chłoszcząc mi twarz, odległy grzmot ryknął, kolejne, cichsze, potrzaskiwały, a ona przemawiała cicho, lecz słyszałem każde słowo równie wyraźnie jakby szeptała mi do ucha.

– Och, mój słodziutki cukiereczku, teraz dopiero napytałeś sobie biedy.

Uśmiechała się najszerszym, najbardziej zębatym uśmiechem, jaki kiedykolwiek oglądałem na ludzkiej twarzy, ale nie sprawiała wrażenia rozbawionej.

Uciekałem od niej w ciemności przez ile to? Pół godziny? Godzinę? Pożałowałem, że nie zostałem na drodze, zamiast próbować przebiec przez pola. Do tej pory dotarłbym już na farmę Hempstocków. A tymczasem zabłądziłem i tkwiłem w pułapce.

Ursula Monkton opadła niżej. Jej różowa bluzka była rozpięta, pod spodem nosiła biały stanik. Spódnica midi łopotała na wietrze, ukazując łydki. Mimo burzy nie sprawiała wrażenia mokrej. Ubranie, twarz, włosy – wszystko pozostało idealnie suche.

Teraz unosiła się tuż nade mną, wyciągnęła ręce.

Każdy jej ruch, wszystko, podkreślał migotliwe światło niewielkich błyskawic, które tańczyły i zwijały się wokół niej. Jej palce otwarły się niczym kwiaty na przyśpieszonym filmie, wiedziałem, że igra ze mną, i dobrze się orientowałem, czego chce. Nienawidziłem siebie za to, że ustąpiłem jej pola, ale i tak zrobiłem to, czego pragnęła: uciekłem.

Byłem małym stworzeniem, które ją bawiło. Igrała ze mną tak, jak Potwór, wielki rudy kocur, igrał z myszą – wypuszczał ją, a potem skakał i przyciskał łapą. Mysz jednak mimo wszystko wciąż odbiegała i ja też nie miałem wyboru: uciekłem.

Popędziłem w stronę szczeliny w żywopłocie ile sił w nogach, potykając się, obolały, mokry. Biegnąc, słyszałem jej głos.

– Powiedziałam, że zamknę cię na strychu, prawda? I tak właśnie zrobię. Twój tatuś teraz mnie lubi, uczyni wszystko, o co go poproszę. Może od tej pory każdej nocy będzie się wspinał po drabinie i wypuszczał cię ze strychu. Każe ci zejść ze strychu. Po drabinie. I każdej nocy podtopi cię w wannie, zanurzy w zimnej, lodowatej wodzie. Pozwolę mu to robić co noc, póki mnie to nie znudzi, a wtedy powiem, żeby cię nie wyciągał, jedynie przytrzymał pod wodą, aż przestaniesz się poruszać i pozostanie tylko ciemność i woda w twych płucach. Każę mu zostawić cię w zimnej wannie i nigdy już się nie ruszysz. I każdej nocy będę go całować i całować...

Przecisnąłem się przez szczelinę, teraz biegłem po miękkiej trawie.

Trzask błyskawicy i osobliwy, ostry metaliczny zapach dobiegły z tak bliska, że po skórze przeszedł mi dreszcz. Wszystko wokół stawało się jaśniejsze i jaśniejsze, oświetlone migotliwym błękitnobiałym blaskiem.

– A kiedy tatuś w końcu zostawi cię na dobre w wannie, będziesz szczęśliwy – wyszeptała Ursula Monkton i wyobraziłem sobie jej wargi muskające moje uszy. – Bo nie spodoba ci się na strychu. Nie tylko dlatego, że jest tam ciemno, pełno pająków i duchów. Również dlatego, że sprowadzę tam swoich przyjaciół. Za dnia ich nie widzisz, lecz będą z tobą na strychu i wcale ci się nie spodobają. Nie lubią małych chłopców,

przyjacielu. Będą udawać pająki wielkie jak psy. Stare, puste ubrania, które łapią cię i nie puszczają. Wnętrze twojej głowy. A kiedy znajdziesz się na strychu, nie dostaniesz książek ani opowieści. Już nigdy.

Nie wyobraziłem sobie tego. Jej wargi naprawdę musnęły mi ucho. Unosiła się w powietrzu obok mnie bardzo blisko, a gdy dostrzegła, że ją zobaczyłem, wygięła usta w udawanym uśmiechu i nie mogłem już dłużej biec. Ledwie dałem radę się ruszać. Kłuło mnie w boku, brakowało mi powietrza. Przestałem uciekać.

Nogi ugięły się pode mną, potknąłem się i upadłem. Tym razem już nie wstałem.

Poczułem coś ciepłego na nogach. Kiedy spojrzałem w dół, dostrzegłem żółty strumień tryskający z przodu spodni piżamy. Miałem siedem lat, nie byłem już małym dzieckiem, ale zmoczyłem się ze strachu jak maluch i nic nie mogłem na to poradzić, a tymczasem Ursula Monkton wisiała w powietrzu parę stóp nade mną, obserwując wszystko obojętnie.

Łowy dobiegły końca.

Stanęła w powietrzu trzy stopy nad ziemią. Ja leżałem pod nią na wznak pośród mokrej trawy. Zaczęła opadać powoli, nieubłaganie, jak obraz w uszkodzonym telewizorze.

Coś dotknęło mojej lewej dłoni. Coś miękkiego. Trąciło mi rękę, a ja zerknąłem, obawiając się pająka wielkiego jak pies. W blasku błyskawic otaczających wieńcem Ursulę Monkton ujrzałem obok mojej ręki skrawek ciemności z białą plamką na jednym uchu. Chwyciłem kociaka, przytuliłem do serca i pogładziłem.

– Nie pójdę z tobą – oznajmiłem. – Nie zmusisz mnie.

Usiadłem, bo siedząc, czułem się mniej bezbronny. Kociak zwinął się w kłębek i ułożył wygodnie na mej dłoni.

– Słodziutki chłopczyku – odparła Ursula Monkton. Jej stopy dotknęły ziemi, oświetlały ją własne błyskawice, wyglądała jak obraz kobiety oddany w szarościach, zieleniach i błękitach, zupełnie nie jak prawdziwa. – Jesteś tylko małym chłopcem. A ja dorosłą. Już dawno dorosłam, gdy twój świat był jeszcze tylko kulą stopionych skał. Mogę robić co tylko zechcę. A teraz wstawaj. Zabieram cię do domu.

Kociak, który wtulał się pyszczkiem w moją pierś, wydał z siebie piskliwy odgłos, nie miauknięcie. Obróciłem się, odrywając wzrok od Ursuli Monkton, spojrzałem za siebie.

Dziewczyna idąca ku nam przez pole miała na sobie lśniącą czerwoną kurtkę przeciwdeszczową z kapturem i parę czarnych kaloszy, które wydawały się na nią za duże. Bez lęku wyłoniła się z ciemności. Spojrzała na Ursulę Monkton.

– Wynoś się z mojej ziemi – rzekła Lettie Hempstock.

Ursula Monkton cofnęła się o krok i jednocześnie wzleciała, zawisając w powietrzu nad nami. Lettie Hempstock sięgnęła ku mnie, nie patrząc w dół, i chwyciła moją rękę, mocno oplatając palcami.

– Nie dotykam twojej ziemi – odrzekła Ursula Monkton. – Odejdź stąd, dziewczynko.

– Jesteś na mojej ziemi – powiedziała Lettie Hempstock.

Ursula Monkton uśmiechnęła się, błyskawice wokół niej wiły się i tańczyły. Była ucieleśnieniem mocy, stała w trzeszczącym powietrzu jak burza, błyskawica, świat dorosłych z całą swą potęgą, tajemnicami i niemądrym codziennym okrucieństwem. Mrugnęła do mnie.

Byłem tylko siedmiolatkiem, stopy miałem podrapane i zakrwawione. Właśnie zsikałem się w majtki. A stwór szybujący nade mną, wielki i łakomy, chciał mnie zabrać na strych, a kiedy się mną znudzi, każe mojemu tacie mnie zabić.

Dotyk dłoni Lettie Hempstock dodał mi odwagi. Ale Lettie, choć większa ode mnie, wciąż była tylko dziewczynką, chociaż miała jedenaście lat, i to od bardzo dawna. Ursula Monkton była dorosła. W tej chwili nie miało znaczenia, że pozostawała też ucieleśnieniem każdego potwora, czarownicy, każdego nocnego koszmaru. Była dorosła, a kiedy dorośli walczą z dziećmi, zawsze wygrywają.

– Powinnaś w ogóle wrócić tam skąd przyszłaś – dodała Lettie. – Pobyt tutaj nie jest dla ciebie zdrowy. Dla własnego dobra, wracaj.

W powietrzu rozległ się dźwięk, straszliwy, pokręcony, chrapliwy dźwięk pełen bólu i złości, dźwięk, od którego zabolały mnie zęby, a kociak opierający przednie łapki o moją pierś zesztywniał i najeżył się cały. Stworzonko przekręciło się i wdrapało mi na ramię, sycząc i parskając. Spojrzałem na Ursulę Monkton. Dopiero gdy ujrzałem jej twarz, pojąłem, co to za dźwięk.

Ursula Monkton się śmiała.

– Miałabym wrócić? Kiedy wy wydarliście dziurę w Wieczności, wykorzystałam szansę. Mogłam władać światami, ale podążyłam za wami

i czekałam cierpliwie. Wiedziałam, że wcześniej czy później więzy osłabną, że będę krążyć po prawdziwej Ziemi, pod Słońcem Niebios. – Już się nie śmiała. – Wszystko tu jest takie słabe, dziewczynko, wszystko tak łatwo się niszczy. Pragnę takich prostych rzeczy. Wezmę z tego świata wszystko czego zapragnę, jak dziecko napychające swoją gębę jagodami z krzaka.

Nie wypuściłem dłoni Lettie, nie tym razem. Pogłaskałem kociaka, którego ostre jak szpilki pazurki wbijały mi się w ramię, i kociak odpłacił mi się, gryząc mnie, ale niezbyt mocno – po prostu się bał.

Jej głos rozbrzmiewał wszędzie dookoła nas pośród powiewów burzowego wiatru.

– Bardzo długo nie dopuszczaliście mnie tutaj. Ale potem sprowadziłaś mi drzwi, a ja użyłam ich, by wydostać się z celi. Co możesz zrobić teraz, kiedy się uwolniłam?

Lettie nie sprawiała wrażenia rozgniewanej. Zastanowiła się.

– Mogę ci zrobić nowe drzwi. Albo, co jeszcze lepsze, mogę poprosić babcię, by cię wysłała za ocean, tam skąd pierwotnie przybyłaś.

Ursula Monkton splunęła na trawę. Na ziemi, w miejscu gdzie spadła ślina, zasyczała mała kulka ognia.

– Oddaj mi chłopca – rzekła tylko. – Należy do mnie. Przybyłam tu wewnątrz niego. Jest moją własnością.

– Nic do ciebie nie należy – odparła z gniewem Lettie Hempstock. – A już na pewno nie on.

Pomogła mi wstać, a potem stanęła za mną i objęła mnie ramionami. Byliśmy dwójką dzieci na polu w nocy. Lettie obejmowała mnie, ja tuliłem kociaka, a tymczasem nad nami i dokoła przemawiał głos.

– Co niby zrobisz? Zabierzesz go do domu? Ten świat to świat zasad, dziewczynko. Chłopak należy do rodziców. Zabierz go, a rodzice przybędą, by wziąć go do domu, jego rodzice należą do mnie.

– Już mnie znudziłaś – oznajmiła Lettie Hempstock. – Dałam ci szansę. Jesteś na mojej ziemi. Odejdź.

Gdy to rzekła, poczułem się jak kiedyś, gdy potarłem balonik o sweter, a potem dotknąłem do twarzy i włosów. Wszystko mnie kłuło i łaskotało. Włosy miałem przemoczone, ale nawet mokre, teraz jakby się zjeżyły.

Lettie Hempstock trzymała mnie mocno.

– Nie martw się – wyszeptała i miałem już coś powiedzieć, spytać, dlaczego nie powinienem się martwić, czego powinienem się bać, gdy pole,

na którym staliśmy, zajaśniało.

Rozjarzyło się złocistym blaskiem. Każde źdźbło trawy lśniło i migotało, każdy liść na każdym drzewie. Nawet żywopłot świecił ciepłym blaskiem. I zdawało mi się, że sama ziemia pod trawą zmieniła się ze zwykłej gliny w czyste światło, a w złotym blasku łąki błękitnobiałe błyskawice, wciąż trzaskające wokół Ursuli Monkton, wydały się nagle znacznie mniej imponujące.

Ursula Monkton wzniosła się chwiejnie, jakby powietrze właśnie się rozgrzało i porwało ją w górę. A potem Lettie Hempstock wyszeptała światu stare słowa i łąka eksplodowała złotym blaskiem. Widziałem, jak Ursula Monkton odlatuje, choć nie czułem wiatru, musiał jednak wiać jakiś wiatr, bo szarpała się i kołysała jak suchy liść porwany huraganem. Patrzyłem, jak wiruje w powietrzu, a potem zniknęła wraz ze swymi błyskawicami.

– Chodź – poleciła Lettie Hempstock. – Musimy cię posadzić przed kominkiem w kuchni. I potrzebujesz gorącej kąpieli. Inaczej zaziębisz się na śmierć.

Wypuściła moją dłoń, przestała mnie obejmować, cofnęła się. Złocisty blask przygasał bardzo powoli, a potem zniknął, pozostawiając tylko migotania i iskierki w krzakach, jak ostatnie chwile po fajerwerkach piątego listopada.

– Czy ona nie żyje? – spytałem.

– Nie.

– W takim razie wróci. A ty będziesz miała kłopoty.

– Może i tak – odparła Lettie. – Głodny?

Zorientowałem się, że owszem. W jakiś sposób zapomniałem, ale teraz mi się przypomniało. Byłem tak głodny, że aż mnie bolało.

– Pomyślmy... – mówiła Lettie, prowadząc mnie przez pola. – Cały przemokłeś. Musimy ci znaleźć coś do ubrania. Poszukam w komodzie w zielonej sypialni. Chyba kuzyn Japeth zostawił tam ubrania, kiedy wyruszył walczyć w Mysiej Wojnie. Nie był dużo większy od ciebie.

Kociak lizał mi palce małym szorstkim języczkiem.

– Znalazłem kotka – oznajmiłem.

– Widzę. Musiała przyjść za tobą z pól, na których ją zerwałeś.

– To ta sama kotka? Ta, którą wyciągnąłem z ziemi?

– Tak. Czy podała ci już swoje imię?

– Nie. A robią to?

– Czasami. Jeśli uważnie posłuchasz.

Ujrzałem przed nami światła farmy Hempstocków, gościnne, zapraszające, i ogarnęła mnie otucha, choć nie rozumiałem, jakim cudem tak szybko dotarliśmy z pola na miejsce.

– Miałeś szczęście – oznajmiła Lettie. – Piętnaście stóp dalej i byłbyś na polu Colina Andersa.

– Ale i tak byś przyszła – odparłem. – Uratowałabyś mnie.

Uścisnęła moje ramię, ale nie odpowiedziała.

– Lettie – dodałem. – Nie chcę wracać do domu.

To nie była prawda. Najbardziej ze wszystkiego pragnąłem wrócić do domu, tyle że nie w to miejsce, z którego umknąłem owej nocy. Chciałem wrócić do domu, w którym mieszkałem, nim górnik opali zabił się w naszym małym białym mini i zanim przejechał mojego kotka.

Kulka ciemnego futra przywarła mi do piersi. Tak bardzo chciałem, żeby była moja, ale wiedziałem, że nie jest. Deszcz znów zamienił się w mżawkę.

Szliśmy naprzód, chlapiąc wodą z głębokich kałuż, Lettie w kaloszach, ja na bosych piekących stopach. Gdy dotarliśmy na podwórko, poczułem w nozdrzach ostry smród łajna, a potem otworzyliśmy boczne drzwi i znaleźliśmy się w wielkiej kuchni.

IX

Matka Lettie trącała ogień na palenisku pogrzebaczem, przysuwając do siebie płonące szczapy.

Starsza Pani Hempstock mieszała coś wielką drewnianą łyżką w okrągłym rondlu na kuchni. Uniosła łyżkę do ust, podmuchała na nią teatralnie, pociągnęła łyk, zacisnęła wargi i dodała szczyptę czegoś i garść czegoś jeszcze. Przykręciła ogień. Potem zmierzyła mnie wzrokiem, od mokrych włosów po bose stopy, posiniałe z zimna. Gdy tam stałem, na kamiennej posadzce wokół mnie zaczęła się zbierać kałuża, do której skapywała woda ze szlafroka.

– Gorąca kąpiel – rzuciła Starsza Pani Hempstock. – Inaczej zaziębi się na śmierć.

– Tak właśnie powiedziałam – odparła Lettie.

Jej matka zdążyła już wyciągnąć spod kuchennego stołu cynową wannę i napełnić parującą wodą z olbrzymiego czarnego kotła wiszącego nad kominkiem. Potem dolała zimnej wody, aż w końcu uznała, że ma idealną temperaturę.

– No dobra. Wskakuj – poleciła Starsza Pani Hempstock. – Już, już.

Spojrzałem na nią przerażony. Czy będę musiał rozebrać się przed ludźmi, których nie znałem?

– Upierzemy ci ubranie i wysuszymy, i zszyjemy ten szlafrok – oznajmiła matka Lettie i odebrała mi go. Zabrała też kociaka, nawet się nie zorientowałem, że nadal tulę go do siebie. Potem odeszła.

Jak najszybciej ściągnąłem czerwoną nylonową piżamę – spodnie były całkiem mokre, nogawki poszarpane i podarte, wiedziałem, że nie da się ich naprawić. Zanurzyłem palce w wodzie, potem wszedłem do środka i usiadłem na cynowym dnie wanny w przyjaznej kuchni, przed wielkim paleniskiem. Wyciągnąłem się w gorącej wodzie. Poczułem mrowienie i pulsowanie w stopach, do których powracała krew. Wiedziałem, że nagość to coś złego, ale panie Hempstock nie zwracały na nią najmniejszej uwagi: Lettie zniknęła, zabierając ze sobą moją piżamę i szlafrok, jej matka wyciągała z szuflad noże, widelce, łyżki, małe i większe dzbanki, noże do krojenia i drewniane półmiski i ustawiała na stole.

Starsza Pani Hempstock wręczyła mi kubek pełen zupy z czarnego rondla.

– Wypij to szybko. Najpierw musimy rozgrzać cię od środka.

Zupa była mocna i rozgrzewająca. Nigdy wcześniej nie piłem zupy w wannie. Okazało się to wspaniałym nowym doświadczeniem. Kiedy opróżniłem kubek, oddałem go jej, a w zamian wręczyła mi duży kawał białego mydła i flanelkę.

– A teraz szoruj. Wetrzyj z powrotem w kości życie i ciepło.

Usiadła w bujanym fotelu po drugiej stronie paleniska, kołysząc się łagodnie i nie patrząc na mnie.

Czułem się bezpieczny. Zupełnie jakby w tym jednym miejscu i chwili znalazła się cała skondensowana esencja babciowatości. Ani trochę nie bałem się Ursuli Monkton, czymkolwiek była. Nie w tym momencie. Nie tam.

Młodsza pani Hempstock otworzyła piekarnik i wyciągnęła ciasto o brązowej połyskującej skórce. Postawiła je na parapecie, żeby ostygło.

Wytarłem się ręcznikiem, który mi przyniosły, ciepło promieniujące z paleniska osuszało wodę równie szybko jak on, a potem Lettie Hempstock wróciła i wręczyła mi obszerny biały strój, przypominający dziewczęcą nocną koszulę, tyle że uszyty z białej bawełny, o długich rękawach i spódnicy opadającej aż do ziemi, oraz białą czapkę.

Zawahałem się przed włożeniem, a potem pojąłem co to: męska nocna koszula. Widywałem takie na obrazkach w książkach. Mały Willie Winkie biegał po mieście w podobnej w każdym znanym mi zbiorze wierszyków dla dzieci.

Wśliznąłem się w koszulę. Szlafmyca okazała się na mnie za duża i opadła mi na twarz. Lettie zabrała ją szybko.

Obiad był przepyszny. Podano pieczeń wieprzową z pieczonymi ziemniakami, złocistymi i chrupkimi na zewnątrz, miękkimi i białymi w środku, omaszczoną masłem jarzyną, której nie poznałem, choć teraz myślę, że mogły to być pokrzywy, pieczone marchewki, poczerniałe i słodkie (zdawało mi się, że nie lubię gotowanej marchewki, i o mało z nich nie zrezygnowałem, ale postanowiłem być dzielny, skosztowałem jedną, posmakowała mi i przez resztę dzieciństwa z zawodem przyjmowałem zwykłą marchewkę). Na deser dostaliśmy ciasto nadziane jabłkami, napęczniałymi rodzynkami i gniecionymi orzechami, polane gęstym żółtym sosem, słodszym i bardziej kremowym niż wszystko, czego zdarzyło mi się kosztować w szkole.

Kociczka spała na poduszce przy ogniu aż do końca obiadu, potem dołączyła do domowego kota barwy mgły, cztery razy większego od niej, zajadając okrawki mięsa.

W czasie posiłku nie wspominaliśmy ani słowem o tym, co mnie spotkało ani dlaczego się tam znalazłem. Panie Hempstock rozmawiały o farmie – drzwi do obórki wymagały malowania, krowa imieniem Rhiannon wyglądała jakby miała okuleć na lewą tylną nogę, trzeba uprzątnąć ścieżkę wiodącą do glinianki.

– Czy mieszkacie tu tylko we trzy? – spytałem. – Nie ma żadnych mężczyzn?

– Mężczyzn! – zagrzmiała Starsza Pani Hempstock. – Nie wiem, po jakie licho nam mężczyzna! Potrafię zrobić na farmie wszystko, co robią mężczyźni, tyle że dwa razy szybciej i pięć razy lepiej.

– Czasami mieszkali tu mężczyźni – dodała Lettie. – Przychodzą i odchodzą. W tej chwili jesteśmy tylko my.

Jej matka przytaknęła.

– Mężczyźni Hempstocków wyruszyli na poszukiwanie swego losu i fortuny. Nie da się ich zatrzymać, gdy poczują zew. Ich oczy zaczynają patrzeć w dal, a potem tracimy ich na zawsze. Gdy tylko nadarzy się okazja, ruszają do miasteczek, nawet miast, i czasem tylko kartki pocztowe przypominają nam, że w ogóle tu byli.

– Jego rodzice wkrótce się tu zjawią – oznajmiła Starsza Pani Hempstock. – Jadą samochodem. Właśnie minęli wiąz Parsona. Borsuki ich

widziały.

– Czy ona jest z nimi? – spytałem. – Ursula Monkton?

– Ona? – powtórzyła z rozbawieniem Starsza Pani Hempstock. – Ten stwór? Ależ nie.

Zastanawiałem się chwilę.

– Każą mi wrócić ze sobą, a potem ona zamknie mnie na strychu, a kiedy się znudzi, pozwoli, by tatuś mnie zabił. Tak powiedziała.

– Może i powiedziała, mój kaczorku – rzekła matka Lettie – ale tego nie zrobi, ani niczego podobnego, albo nie nazywam się Ginnie Hempstock.

Lubiłem imię Ginnie, ale jej nie uwierzyłem i nie dodała mi otuchy. Wkrótce drzwi kuchenne się otworzą, ojciec zacznie na mnie krzyczeć, albo zaczeka, aż wsiądziemy do samochodu, i wtedy na mnie nakrzyczy, potem zabiorą mnie do domu i zginę.

– Pomyślmy – rzekła Ginnie Hempstock. – Kiedy tu dotrą, może nas nie być. Mogliby przybyć tu w zeszły wtorek, kiedy nikogo nie było w domu.

– Nie ma mowy – odparła staruszka. – Igranie z czasem tylko wszystko komplikuje. Mogłybyśmy zamienić chłopaka w coś innego, wtedy nigdy by go nie znaleźli, choćby szukali całą noc.

Zamrugałem. Czy to w ogóle możliwe? Bardzo chciałem, żeby mnie w coś zamieniły. Kociak skończył swą porcję okrawków (w istocie wyglądało na to, że zjadł więcej niż domowy kot), teraz wskoczył mi na kolana i zaczął się myć.

Ginnie Hempstock wstała i wyszła z kuchni. Zastanawiałem się, gdzie się podziała.

– Nie możemy go w nic zamienić. – Lettie uprzątnęła ze stołu ostatnie talerze i sztućce. – Jego rodzice umarliby ze strachu. A jeśli pchła nad nimi panuje, będzie podsycać ten strach. Nim się obejrzymy, policja zacznie opróżniać gliniankę i go szukać. Albo jeszcze gorzej. Ocean.

Kociak ułożył mi się na kolanach, zwinął w kłębek, wyginając się tak, że pozostała tylko spłaszczona kulka puchatego białego futerka. Zamknął jaskrawobłękitne oczy barwy oceanu i zasnął, mrucząc.

– No to co? – spytała Starsza Pani Hempstock. – Co proponujesz?

Lettie zastanowiła się, wydymając usta, wykrzywiając je. Pochyliła głowę i pomyślałem, że rozważa w duchu różne wyjścia. W końcu jej twarz pojaśniała.

– Rach-ciach – podsunęła.

Starsza Pani Hempstock pociągnęła nosem.

– Dobra z ciebie dziewczyna. Nie twierdzę, że nie. Ale ciachanie... Nie dałabyś rady. Jeszcze nie. Trzeba dokładnie naciąć krawędzie, zszyć je tak, by nie został szew. A co chciałabyś wyciąć? Pchła nie pozwoli się usunąć. Nie tkwi w materii. Jest poza nią.

Ginnie Hempstock wróciła. W rękach niosła mój stary szlafrok.

– Przepuściłam go przez magiel – oznajmiła. – Ale wciąż jest wilgotny. Trudniej będzie spasować brzegi. Lepiej nie szyć, póki jest mokry.

Odłożyła szlafrok na stół przed Starszą Panią Hempstock. Potem wyciągnęła z przedniej kieszeni fartucha parę nożyczek, poczerniałych i starych, długą igłę i szpulkę czerwonej nici.

– Jarzębina, nić czerwona, niechaj czarownica skona – wyrecytowałem. Przeczytałem ten wierszyk w jednej z książek.

– To by zadziałało, i to całkiem nieźle – odparła Lettie – gdyby brały w tym udział jakieś czarownice. Ale nie biorą.

Starsza Pani Hempstock oglądała mój szlafrok. Był brązowy i wyblakły, pokryty wzorem z sepiowej kraty. Dostałem go w prezencie od rodziców ojca, moich dziadków, kilka urodzin wcześniej, wówczas był na mnie komicznie za duży.

– Najpewniej – rzekła, jakby mówiła do siebie – byłoby najlepiej, gdyby twój ojciec ucieszył się, że u nas nocujesz. Ale w takim razie nie mógłby się na ciebie gniewać ani nawet martwić...

Trzymała w dłoni czarne nożyczki i już nimi cięła, gdy usłyszałem stukanie do frontowych drzwi. Ginnie Hempstock wstała, by otworzyć. Wyszła na korytarz, zamykając drzwi za sobą.

– Nie pozwól, żeby mnie zabrali – poprosiłem Lettie.

– Cii – odparła. – Ja pracuję, a babcia wycina. Ty po prostu bądź spokojny i senny. Szczęśliwy.

Wcale nie byłem szczęśliwy i w ogóle nie czułem senności. Lettie pochyliła się nad stołem i uścisnęła mi dłoń.

– Nie martw się – dodała.

W tym momencie drzwi się otwarły, do kuchni wkroczyli matka i ojciec. Chciałem się schować, ale kociak poruszył się ciepło na moich kolanach, a Lettie uśmiechnęła się do mnie, dodając otuchy.

– Szukamy naszego syna – mówił właśnie mój ojciec – i mamy powody wierzyć...

Tymczasem matka ruszyła ku mnie.

– Jest tutaj! Kochanie, tak bardzo się martwiliśmy!

– Poważnie nabroiłeś, młody człowieku – oznajmił mój ojciec.

Ciach, ciach, ciach, szczęknęły czarne nożyczki, nieregularny kawałek tkaniny, który kroiła Starsza Pani Hempstock, spadł na stół.

Moi rodzice zamarli. Przestali mówić i się poruszać. Ojciec wciąż miał otwarte usta, mama stała na jednej nodze, nieruchomo jak manekin na wystawie.

– Co... co im zrobiłyście?

Nie byłem pewien, czy powinienem się zmartwić.

– Nic im nie jest – odparła Ginnie Hempstock. – To tylko drobne cięcie, a potem zszycie i wszystko będzie jak złoto. – Wskazała ręką kawałek wyblakłego kraciastego szlafroka, leżący na stole. – To twój tato i ty na korytarzu, a to wanna. Wycięła to. Bez tego wszystkiego nie ma powodu, by tato gniewał się na ciebie.

Nie powiedziałem im o wannie. Nie zastanawiałem się, skąd wiedziała.

Teraz stara kobieta nawlekała igłę czerwoną nitką. Westchnęła dramatycznie.

– Stare oczy – rzekła. – Stare oczy.

Mimo to, polizała koniec nitki i bez żadnych problemów przecisnęła przez ucho.

– Lettie. Musisz wiedzieć, jak wygląda jego szczoteczka do zębów – dodała.

Zaczęła zszywać krawędzie szlafroka drobnym starannym ściegiem.

– Jak wygląda twoja szczoteczka do zębów? – spytała Lettie. – Szybko.

– Jest zielona – odparłem. – Jaskrawozielona. Coś jak jabłko. Niezbyt duża. Zwykła zielona szczoteczka dla dziecka.

Wiedziałem, że nie opisuję jej zbyt dobrze. Wyobraziłem ją sobie, próbując znaleźć coś jeszcze, co mógłbym dodać, coś, co odróżniałoby ją od innych szczoteczek. Na próżno. Ujrzałem ją oczami duszy wraz z innymi szczoteczkami w czerwono-białym nakrapianym kubku nad umywalką.

– Mam – rzuciła Lettie. – Dobra robota.

– Już prawie skończyłam – dodała Starsza Pani Hempstock.

Ginnie Hempstock uśmiechnęła się szeroko i uśmiech ten rozjaśnił jej krągłą, rumianą twarz. Starsza Pani Hempstock podniosła nożyczki i cięła

po raz ostatni, kawałek czerwonej nitki spadł na stół.

Stopa matki opadła. Postąpiła krok naprzód, a potem zamarła.

– Uhm – powiedział mój ojciec.

– ...i nasza Lettie bardzo się ucieszyła, że wasz chłopak dziś u nas zanocuje – mówiła Ginnie. – Obawiam się, że trochę tu staroświecko.

– Ale mamy w domu ubikację – powiedziała staruszka. – Nie wiem, czy można być bardziej nowoczesnym. Mnie wystarczały sławojki i nocniki.

– Zjadł sporą kolację – dodała Ginnie, zwracając się do mnie. – Prawda?

– Było nawet ciasto – poinformowałem rodziców. – Na deser.

Ojciec marszczył czoło. Wydawał się oszołomiony. Potem wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wyciągnął coś długiego i zielonego, owiniętego na końcu papierem toaletowym.

– Zapomniałeś szczoteczki do zębów – oznajmił. – Pomyślałem, że ci się przyda.

– Oczywiście, jeśli chce wrócić do domu, to może – mówiła do Ginnie Hempstock moja matka. – Parę miesięcy temu miał nocować w domu Kovaksów, lecz już o dziewiątej zadzwonił, żebyśmy po niego przyjechali.

Christopher Kovaks był dwa lata starszy i o głowę wyższy ode mnie, mieszkał z matką w dużym domku naprzeciwko naszej drogi, przy starej wieży ciśnień. Jego matka była rozwiedziona. Lubiłem ją. Uwielbiała żarty i jeździła volkswagenem garbusem, pierwszym, jakiego kiedykolwiek oglądałem. Christopher miał wiele książek, których nie znałem, był członkiem Klubu Pingwinka. Mogłem czytać jego książki, ale tylko u niego w domu. Nigdy mi ich nie pożyczał.

W sypialni Christophera stało piętrowe łóżko, choć był jedynakiem. Tamtej nocy posłali mi na dolnym łóżku. Kiedy już się położyłem, a matka Christophera Kovaksa powiedziała nam dobranoc, zgasiła światło i zamknęła drzwi, Christopher wychylił się i zaczął psikać na mnie wodą z pistoletu, który ukrył pod poduszką. Nie wiedziałem, co zrobić.

– Tu nie jest tak, jak wtedy u Christophera Kovaksa – oznajmiłem zakłopotany. – Podoba mi się tutaj.

– Co ty masz na sobie?

Zdumiona wpatrywała się w moją staroświecką koszulę.

– Miał drobny wypadek – wyjaśniła Ginnie. – Włożył to na czas, aż jego piżama wyschnie.

– Ach, rozumiem – mruknęła matka. – No cóż, dobranoc, skarbie. Baw się dobrze ze swoją nową przyjaciółką. – Zerknęła na Lettie. – Jak masz na imię, kochanie?

– Lettie – wyjaśniła Lettie Hempstock.

– Czy to skrót od Letitia? – spytała matka. – Na uniwersytecie znałam pewną Letitię. Oczywiście, wszyscy mówili jej Lettuce.

Lettie jedynie uśmiechnęła się i nie odpowiedziała.

Ojciec położył na stole przede mną szczoteczkę. Odwinąłem główkę z papieru toaletowego. Była to niewątpliwie moja zielona szczoteczka do zębów. Pod płaszczem ojciec miał na sobie czystą białą koszulę bez krawata.

– Dziękuję – powiedziałem.

– A zatem – rzekła matka. – O której godzinie mamy go rano odebrać?

Ginnie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Och, Lettie go odprowadzi. Powinniśmy dać im trochę czasu rano na zabawę. Zanim państwo pojadą, upiekłam dziś bułeczki...

Włożyła kilka do papierowej torby, którą matka zabrała uprzejmie, a potem Ginnie wyprowadziła ją z ojcem za drzwi. Wstrzymywałem oddech do chwili, aż usłyszałem odgłos odjeżdżającego drogą rovera.

– Co im zrobiłyście? – spytałem. A potem. – Czy to naprawdę moja szczoteczka?

– To – odparła pełnym satysfakcji głosem Starsza Pani Hempstock – jeśli chcecie znać moje zdanie, doskonały przykład cięcia i zszywania. – Uniosła szlafrok: nie dostrzegłem miejsca, w którym usunęła fragment ani gdzie go zaszyła. Był zupełnie gładki, bez śladu naprawy. Podsunęła mi leżący na stole kawał wyciętego materiału. – Oto twój wieczór – dodała. – Jeśli chcesz, możesz go zatrzymać. Ale na twoim miejscu bym go spaliła.

Deszcz zabębnił w okno, wiatr zagrzechotał szybami.

Uniosłem kanciasty strzęp tkaniny. Był wilgotny. Wstałem, budząc kociaka, który zeskoczył mi z kolan i zniknął pośród cieni. Podszedłem do kominka.

– Jeśli to spalę – spytałem – czy wszystko pozostanie prawdziwe? Czy ojciec naprawdę wepchnął mnie do wanny? Czy zapomnę, że to się wydarzyło?

Ginnie Hempstock już się nie uśmiechała. Teraz wydawała się zatroskana.

– A czego ty chcesz? – spytała.

– Chcę pamiętać – odparłem. – Bo to mnie spotkało. A nadal jestem sobą. – Cisnąłem w ogień strzęp materiału.

Usłyszałem trzask, tkanina zadymiła i zaczęła płonąć.

Byłem pod wodą. Trzymałem się krawata ojca. Myślałem o tym, że mnie zabije...

Krzyknąłem.

Leżałem na kamiennej posadzce kuchni Hempstocków, zwijając się i wrzeszcząc. Czułem się tak, jakbym nastąpił boso na płonący węgiel. Ból był przeszywający. Czułem też inny ból, głęboko w piersi, bardziej odległy, nie tak ostry: nie pieczenie, dyskomfort.

– Co się dzieje? – Ginnie kucnęła obok mnie.

– Moja stopa. Płonie. Tak bardzo boli.

Obejrzała ją, potem polizała palec, dotknęła dziury w podeszwie, z której dwa dni wcześniej wyciągnąłem robaka. Rozległ się syk i ból w stopie zaczął słabnąć.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam – mruknęła Ginnie Hempstock. – Skąd wziął się ten ślad?

– Miałem w środku robaka – wyjaśniłem. – Tak właśnie przybył z miejsca pod pomarańczowym niebem. W mojej stopie. – A potem spojrzałem na Lettie, która kucała obok i trzymała mnie za rękę. – To ja go sprowadziłem. To moja wina. Przepraszam.

Starsza Pani Hempstock dotarła do mnie jako ostatnia. Pochyliła się, uniosła moją stopę i pociągnęła do światła.

– Paskudne – rzekła – i bardzo sprytne. Zostawiła dziurę, by móc znów z niej skorzystać. W razie potrzeby mogła się ukryć w tobie, użyć cię jako drzwi, żeby wrócić do domu. Nic dziwnego, że chciała cię zatrzymać na strychu. No dobra. Kujmy żelazo póki gorące, jak powiedział żołnierz, wchodząc do pralni.

Trąciła palcem dziurę w mojej stopie. Wciąż piekła, choć nieco słabiej. Teraz przypominało to pulsujący ból głowy w stopie.

Coś zatrzepotało mi w piersi jak maleńka ćma, a potem umilkło.

– Potrafisz być odważny? – spytała pani Hempstock.

Nie wiedziałem. Nie wydawało mi się. Jak dotąd, odnosiłem wrażenie, że przez całą noc jedynie przed czymś uciekałem. Stara kobieta trzymała

w palcach igłę, którą zszyła mój szlafrok, teraz ścisnęła ją mocniej, nie jakby zamierzała nią szyć, lecz jakby planowała wbić ją we mnie.

Cofnąłem stopę.

– Co pani chce zrobić?

Lettie uścisnęła mi dłoń.

– Babcia usunie tę dziurę – rzekła. – Ja potrzymam cię za rękę. Nie będziesz musiał patrzeć, jeżeli nie chcesz.

– Będzie bolało – mruknąłem.

– Bajdy i bzdury – rzuciła staruszka.

Pociągnęła ku sobie moją stopę, podeszwą do przodu i wbiła igłę... nagle pojąłem, że nie w moją nogę, lecz w samą dziurę.

Nie bolało.

Potem przekręciła igłę i szarpnęła ku sobie. Patrzyłem zdumiony, jak coś połyskującego – z początku wydawało się czarne, potem przejrzyste, potem odbijające światło jak rtęć – wysuwa się z podeszwy mojej stopy, nawijając się na koniec igły.

Czułem, jak opuszcza moją nogę – wrażenie to jakby wędrowało wewnątrz mnie, w górę, poprzez udo, podbrzusze, brzuch aż do piersi. Ogarnęła mnie ulga: piekące palenie ustąpiło, podobnie przerażenie.

Serce zabiło mi dziwnie.

Patrzyłem, jak Starsza Pani Hempstock nawija to coś, lecz nadal w jakiś sposób nie mogłem do końca pojąć, co właściwie widzę. To była dziura, niczym nieotoczona, długa na ponad dwie stopy, cieńsza niż dżdżownica, przypominała odrzuconą skórkę przejrzystego węża.

Nagle Starsza Pani Hempstock przestała ją wyciągać.

– Nie chce wyjść – mruknęła. – Stawia opór.

Moje serce ogarnął chłód, jakby wbiła się w nie lodowa drzazga. Stara kobieta fachowo szarpnęła ręką w przegubie i lśniące coś zawisło na jej igle (teraz nie kojarzyło mi się już z rtęcią, lecz ze srebrzystym śluzowym śladem pozostawianym w ogrodzie przez ślimaki) i nie tkwiło już dłużej w mojej stopie.

Wypuściła mnie, a ja cofnąłem nogę. Mała okrągła dziurka zniknęła bez śladu, jakby nigdy jej tam nie było.

Starsza Pani Hempstock zachichotała złośliwie.

– Myśli, że jest taka cwana – rzuciła. – Ukryła drogę do domu wewnątrz chłopca. Czy to cwane? Nie uważam. Nawet grosza nie dałabym za nie

wszystkie.

Ginnie Hempstock uniosła pusty słoik po dżemie i stara kobieta wsunęła do niego końcówkę dyndającej dziury, a potem uniosła powoli słoik. W końcu zrzuciła lśniący niewidoczny ślad z igły i zdecydowanym gestem kościstej ręki nałożyła nakrętkę.

– Ha! – rzuciła. – Ha!

– Mogę zobaczyć? – poprosiła Lettie.

Wzięła słoik i uniosła do światła. Wewnątrz coś zaczęło się powoli rozwijać. Unosiło się, jakby słoik wypełniała woda. Zmieniało też kolor, odbijając z różnych stron światło – czasami wydawało się czarne, czasami srebrne.

W pewnej książce doświadczeń, które mogą przeprowadzić chłopcy i które oczywiście sam też przeprowadziłem, znalazłem eksperyment: jeśli weźmie się jajko i wysmaruje na całkiem czarno sadzą z płomyka świecy, a potem włoży do czystego pojemnika ze słoną wodą, jajko zawiśnie w wodzie i wyda się srebrne: osobliwie sztucznie srebrne, bo to tylko złudzenie optyczne. W tym momencie przypomniało mi się owo jajko.

Lettie sprawiała wrażenie zafascynowanej.

– Macie rację. Zostawiła sobie w nim drogę do domu. Nic dziwnego, że nie chciała, by odszedł.

– Przepraszam, że puściłem twoją rękę, Lettie, żałuję – wtrąciłem.

– Och, cicho – rzekła. – Na żale zawsze jest za późno, ale doceniam przeprosiny. A następnym razem trzymaj mnie za rękę, nieważne czym w nas rzucą.

Skinąłem głową. Lodowa drzazga w moim sercu nagle jakby się ogrzała i roztopiła, i znów poczułem się cały i bezpieczny.

– A zatem – powiedziała Ginnie – mamy jej drogę do domu. I ochroniłyśmy chłopca. Muszę rzec, że świetnie się spisałyśmy jak na jeden wieczór.

– Ale ona ma rodziców chłopaka – przypomniała Starsza Pani Hempstock. – I jego siostrę. I nie możemy pozwolić, by pałętała się na swobodzie. Pamiętacie, co się stało za czasów Cromwella? I wcześniej? Kiedy włóczył się Czerwony Rufus? Pchły przyciągają warminty – dodała, jakby to było naturalne prawo.

– To może zaczekać do jutra – odparła Ginnie. – A teraz, Lettie, weź chłopaka i poszukaj dla niego jakiegoś pokoju. Ma za sobą długi dzień.

Czarna koteczka zwinęła się w kłębek w fotelu na biegunach obok kominka.

– Mogę wziąć ze sobą kotka?

– Nawet jeśli tego nie zrobisz – odparła Lettie – i tak cię znajdzie.

Ginnie wyciągnęła skądś dwa świeczniki, takie z dużymi okrągłymi uchwytami, w obu tkwiły bezkształtne bryłki białego wosku. Od kuchennego paleniska zapaliła długą drzazgę, a potem przeniosła płomyk, najpierw na jeden knot, potem na drugi. Jeden lichtarz wręczyła mnie, drugi Lettie.

– Nie macie elektryczności? – spytałem.

W kuchni świeciły przecież lampy elektryczne, wielkie staroświeckie żarówki o rozżarzonych włóknach, zwisające z sufitu.

– Nie w tej części domu – wyjaśniła Lettie. – Kuchnia jest nowa. Mniej więcej. Idąc, osłoń dłonią świecę, żeby nie zgasła.

Sama otoczyła palcami płomyk, a ja naśladowałem ją wiernie, drepcząc za nią. Czarny kociak podążył za nami, wychodząc z kuchni przez białe drewniane drzwi i idąc po schodku do budynku.

Było ciemno, nasze świece rzucały wielkie cienie, toteż, idąc, miałem wrażenie, że wszystko wokół się porusza, popychane i kształtowane tańcem cieni – stojący zegar szafkowy, wypchane zwierzęta i ptaki (czy jednak naprawdę były wypchane? Czy sowa się poruszyła, czy też to tylko migotliwy płomyk świecy sprawił, że wydało mi się, że, gdy przechodziliśmy, obróciła głowę?), stół w sieni, krzesła. Wszystko poruszało się w blasku świecy, a jednocześnie tkwiło bez ruchu. Wspięliśmy się po schodach, potem po kolejnych, mijając otwarte okno.

Stopnie zalał blask księżyca, jaśniejszy niż płomyki naszych świec. Zerknąłem przez okno i ujrzałem księżyc w pełni. Bezchmurne niebo pokrywały niezliczone plamki gwiazd.

– To księżyc – zauważyłem.

– Babcia lubi taki – odparła Lettie Hempstock.

– Ale wczoraj był bliski nowiu. A teraz jest w pełni. I padał deszcz. Wciąż padał deszcz. Ale teraz nie.

– Babcia lubi, jak księżyc w pełni oświeca tę stronę domu. Mówi, że to daje spokojny nastrój i przypomina jej czasy, gdy była dziewczynką. A poza tym, dzięki temu nie potkniesz się na schodach.

Kociak wbiegł za nami, wskakując na kolejne stopnie. Uśmiechnąłem się na ten widok.

Pod dachem mieścił się pokój Lettie, a obok niego kolejny, i właśnie tam weszliśmy. Na kominku płonął ogień, oświetlając pomieszczenie pomarańczowożółtym blaskiem. Wnętrze było ciepłe i przytulne. Łóżko ze słupkami w narożnikach otaczała dodatkowa zasłona. Widziałem coś takiego w kreskówkach, ale nigdy na własne oczy.

– Przygotowałyśmy ci ubranie na rano – oznajmiła Lettie. – Ja będę spać obok, gdybyś mnie potrzebował: w razie czego wystarczy krzyknąć albo zapukać i przyjdę. Babcia mówiła, żebyś korzystał z ubikacji w domu, ale to bardzo daleko, po drugiej stronie i mógłbyś zabłądzić, gdybyś zatem potrzebował się załatwić, pod łóżkiem stoi nocnik, tak jak zawsze.

Zdmuchnąłem świecę, tak że pokój oświetlał tylko blask kominka, przecisnąłem się przez zasłony i wdrapałem na łóżko.

W sypialni było ciepło, pościel jednak okazała się zimna. Łóżko zadrżało, jakby coś na nie wskoczyło, a potem drobne stópki podreptały po kołdrze, do twarzy przycisnęło mi się coś ciepłego i futrzastego, i kociak zaczął cicho mruczeć.

W moim domu nadal mieszkał potwór, a w kawałku czasu, który być może został usunięty z rzeczywistości, ojciec wepchnął mnie do wody w wannie i może nawet próbował utopić. Przebiegłem wiele mil w ciemności. Widziałem, jak ojciec całuje i dotyka stwora, który nazywał się Ursulą Monkton. Groza nie opuściła mojej duszy.

Ale na poduszce leżał kociak, mruczał mi w twarz, wibrując lekko z każdym pomrukiem, toteż wkrótce zasnąłem.

X

Tej nocy w owym domu nawiedziły mnie niezwykłe sny. Obudziłem się w ciemności, wiedząc tylko, że sen przeraził mnie tak bardzo, że musiałem się ocknąć albo umrzeć, jednak, choć bardzo się starałem, w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, o czym śniłem. Sen mnie prześladował: stał za mną, obecny lecz niewidoczny, niczym tył głowy, jednocześnie wyczuwalny i nie.

Tęskniłem za ojcem i za matką, za własnym łóżkiem w domu zaledwie milę dalej. Tęskniłem za wczoraj, nim zjawiła się Ursula Monkton, nim ojciec wybuchnął gniewem, nim trafiłem do wanny. Chciałem odzyskać tamto wczoraj, i to bardzo.

Starałem się wywabić sen, który mnie przeraził, z głębi umysłu, ale nie posłuchał. Wiedziałem, że kryły się w nim zdrada, strata i czas. Wystraszył mnie tak bardzo, że bałem się znów zasnąć: kominek niemal już wygasł, pozostał tylko ciemnoczerwony, słaby blask żaru, pamiątka po dawnym ogniu i świetle.

Zsunąłem się z łoża z baldachimem i zacząłem macać pod nim, póki nie znalazłem ciężkiego, porcelanowego nocnika. Podwinąłem koszulę i skorzystałem z niego. Potem podszedłem do okna i wyjrzałem. Księżyc, nadal w pełni, wisiał nisko na niebie, miał ciemnopomarańczową barwę, matka nazywała taki księżyc żniwnym. Wiedziałem jednak, że żniwa odbywają się na jesieni, nie wiosną.

W pomarańczowym księżycowym blasku ujrzałem starą kobietę – byłem niemal pewien, że to Starsza Pani Hempstock, choć nie zdołałem dojrzeć jej

twarzy – wędrującą tam i z powrotem. W dłoni trzymała wielki, długi patyk, opierała się na nim jak na lasce. Skojarzyła mi się z defilującymi żołnierzami, których oglądałem podczas wycieczki do Londynu, przed Pałacem Buckingham, maszerujących tam i z powrotem.

Jej widok dodał mi otuchy.

W ciemności wróciłem do łóżka, położyłem głowę na pustej poduszce i pomyślałem: w życiu nie zdołam zasnąć, nie teraz, a potem otworzyłem oczy i przekonałem się, że jest ranek.

Na krześle obok łóżka leżało ubranie, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Dostrzegłem też dwa porcelanowe dzbanki wody – znad jednego wznosiła się para, drugi był zimny – stojące przy wpuszczonej w blat niewielkiego drewnianego stolika białej porcelanowej misce, która, jak sobie uświadomiłem, miała służyć za umywalkę. Puchaty czarny kociak wrócił i leżał w nogach łóżka. Kiedy wstałem, otworzył oczy: miały barwę mocnej błękitnej zieleni, nienaturalnej i dziwnej, jak morze latem. Kotek miauknął piskliwie, pytająco. Pogłaskałem go, po czym wstałem z łóżka.

Zmieszałem w misce gorącą i zimną wodę i umyłem twarz i ręce. Przepłukałem zęby zimną wodą. Nie znalazłem pasty do zębów, tylko małe okrągłe blaszane pudełko, na którym staroświeckimi literami napisano: „Niewiarygodnie Wydajny Proszek do Zębów Maxa Meltona”. Nasypałem trochę białego proszku na zieloną szczoteczkę do zębów i umyłem zęby. Usta wypełnił mi smak mięty i cytryny.

Obejrzałem przygotowany dla mnie strój. Nie przypominał niczego, co nosiłem wcześniej, nie znalazłem majtek, był tam biały podkoszulek bez guzików, z długim ogonem, brązowe spodnie sięgające kolan, para długich białych pończoch i kasztanowa kurtka z wycięciem na plecach w kształcie litery V, przypominającym ogon jaskółki. Jasnobrązowe skarpetki też bardziej przypominały pończochy. Ubrałem się, żałując, że strój nie ma zamków ani zatrzasków, tylko haczyki, guziki i sztywne, nieustępliwe dziurki.

Buty, ozdobione srebrnymi sprzączkami z przodu, okazały się za duże, toteż wyszedłem z pokoju w skarpetkach, a kociak podreptał za mną.

Wieczorem, by tam dotrzeć, musiałem wspiąć się na schody i na górze skręcić w lewo. Teraz skręciłem w prawo i minąłem sypialnię Lettie (drzwi stały uchylone, pokój był pusty), kierując się w stronę schodów. Nie było

ich jednak tam, gdzie zapamiętałem. Korytarz kończył się ścianą i oknem wychodzącym na lasy i pola.

Czarny kociak o błękitnozielonych oczach zamiauczał głośno, jakby chciał zwrócić moją uwagę i, stąpając z niezwykłą powagą i wysoko uniesionym ogonem, zawrócił. Poprowadził mnie korytarzem za róg i przejściem, którego wcześniej nie widziałem, do schodów, po czym zbiegł po stopniach, a ja podążyłem za nim.

Na dole czekała Ginnie Hempstock.

– Spałeś długo i smacznie – oznajmiła. – Zdążyłyśmy już wydoić krowy. Śniadanie czeka na stole, a przy kominku znajdziesz talerzyk śmietanki dla twojej przyjaciółki.

– Gdzie jest Lettie, pani Hempstock?

– Poszła coś załatwić, pozbierać rzeczy, których może potrzebować. Ten stwór z twojego domu musi zniknąć, inaczej zaczną się kłopoty i coś jeszcze gorszego. Raz już go uwięziła, a on wyśliznął się z więzów, toteż musi wysłać go do domu.

– Chcę tylko, żeby Ursula Monkton sobie poszła – oznajmiłem. – Nienawidzę jej.

Ginnie Hempstock wyciągnęła palec i przesunęła po mojej kurtce.

– W dzisiejszych czasach ludzie nie noszą podobnych – zauważyła. – Ale moja mama rzuciła na nią drobny urok, więc nikt nie zauważy. Możesz w niej chodzić, jeśli chcesz, i nikt nie pomyśli sobie, że wyglądasz dziwnie. Nie masz butów?

– Nie pasowały.

– Zostawię ci przy drzwiach coś lepszego.

– Dziękuję.

– Ja jej nie nienawidzę – oznajmiła. – Robi to, co robi, zgodnie ze swoją naturą. Spała, obudziła się, próbuje dać wszystkim to, czego pragną.

– Mnie nie dała niczego, czego bym pragnął. Mówi, że chce zamknąć mnie na strychu.

– To całkiem możliwe. Byłeś jej drogą tutaj, a niebezpiecznie jest być drzwiami. – Palcem wskazującym postukała mnie po piersi tuż nad sercem. – A jej lepiej było tam, gdzie wcześniej. Odesłałybyśmy ją bezpiecznie do domu, już z tuzin razy robiłyśmy podobnie z takimi jak ona. Ale ta jest uparta. Nie da się jej nauczyć. No dobrze. Śniadanie czeka na stole. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę na dziewięcioakrowym polu.

Na stole znalazłem miskę owsianki, a obok spodeczek z kawałkiem złocistego plastra i dzbanek żółtej śmietany.

Zgarnąłem kawałek plastra i zmieszałem z gęstą owsianką, po czym dolałem śmietany.

Była tam też grzanka upieczona na kuchni, tak jak to robił mój ojciec, z domowym dżemem jagodowym, a także najlepsza herbata, jaką zdarzyło mi się pić. Przy kominku kociak chłeptał ze spodka tłuste mleko, mrucząc tak głośno, że słyszałem go po drugiej stronie kuchni.

Pożałowałem, że ja też nie umiem mruczeć. Bo mruczałbym.

Po chwili zjawiła się Lettie dźwigająca torbę na zakupy, z rodzaju tych staroświeckich, których już się nie widuje: starsze kobiety zabierały je do sklepów, wielkie tkane torby, niemal przypominające kosze, wyplatane z rafii, wyścielane tkaniną, ze sznurkowymi uchwytami. Ta była niemal pełna. Na policzku Lettie dostrzegłem zadrapanie, choć krew zdążyła już wyschnąć. Wyglądała mizernie.

– Cześć – rzuciłem.

– No cóż – odparła – muszę rzec, że jeśli sądzisz, że świetnie się bawiłam, to tak naprawdę ani odrobinę. Mandragory strasznie głośno krzyczą, kiedy się je wyrywa, a ja nie miałam zatyczek do uszu, a potem musiałam ją wymienić na butelkę cieni, staroświecką, pełną cieni rozpuszczonych w occie... – Posmarowała masłem grzankę, potem rozgniotła na niej kawałek złocistego plastra miodu i zaczęła jeść. – A to dopiero droga na bazar, który w ogóle nie powinien się jeszcze otwierać. Niemniej zdobyłam większość tego, czego potrzebowałam.

– Mogę popatrzeć?

– Jeśli chcesz.

Zajrzałem do koszyka. Wypełniały go zniszczone zabawki: oczy, głowy i ręce lalek, autka bez kół, poobijane szklane kulki. Lettie wyciągnęła rękę, zdjęła z parapetu słoik na dżem. Wewnątrz srebrzysto-przejrzysta dziura zwijała się, skręcała i obracała jak spirala. Lettie wrzuciła słoik do torby obok zabawek. Kociak spał, zupełnie nie zwracając na nas uwagi.

– Na tę część nie musisz ze mną iść – oznajmiła Lettie. – Możesz zostać tutaj, ja pójdę z nią porozmawiać.

Zastanowiłem się.

– Z tobą będę się czuł bezpieczniej – odparłem.

Nie zachwyciła jej moja odpowiedź.

– Chodźmy nad ocean – rzuciła.

Kociak otworzył swe zbyt zielonobłękitne oczy i spojrzał na nas obojętnie, gdy wychodziliśmy.

Przy tylnych drzwiach czekała na mnie para czarnych skórzanych butów, przypominających te do konnej jazdy. Wydawały się stare, ale zadbane i miały akurat mój rozmiar. Naciągnąłem je, choć wygodniej czułem się w sandałach. A potem razem z Lettie ruszyliśmy nad jej ocean, to znaczy staw.

Usiedliśmy na starej ławce, wpatrując się w spokojną brązową taflę wody, liście lilii wodnych i pianę rzęsy przy brzegu.

– Wy, Hempstockowie, nie jesteście ludźmi – oświadczyłem.

– A właśnie, że jesteśmy.

Pokręciłem głową.

– Założę się, że w ogóle tak nie wyglądacie. Nie naprawdę.

Lettie wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę nikt nie wygląda tak, jakim jest wewnątrz. Ty nie wyglądasz. Ja nie wyglądam. Ludzie są znacznie bardziej skomplikowani. To dotyczy wszystkich.

– Czy jesteś potworem? – spytałem. – Tak jak Ursula Monkton?

Cisnęła kamyczkiem w głąb stawu.

– Nie sądzę – odrzekła. – Potwory miewają najróżniejsze kształty i rozmiary. Niektórych boją się ludzie. Inne wyglądają jak istoty, których ludzie bali się bardzo dawno temu. Czasami potwory to stworzenia, których ludzie powinni się bać, ale się nie boją.

– Ludzie powinni się bać Ursuli Monkton – wtrąciłem.

– Możliwe. Jak myślisz, czego obawia się Ursula Monkton?

– No, nie wiem. Dlaczego sądzisz, że w ogóle czegoś się lęka? Jest przecież dorosła, prawda? Dorośli i potwory niczego się nie boją.

– Och, potwory się boją – nie zgodziła się Lettie. – Dlatego właśnie są potworami. A co do dorosłych... – Umilkła i potarła palcem piegowaty nos. – Powiem ci coś ważnego. Wewnątrz dorośli też nie wyglądają jak dorośli. Na zewnątrz są wielcy, bezmyślni i zawsze wiedzą, co robią. W środku wyglądają tak jak zawsze. Jak wtedy, gdy byli w twoim wieku. Tak po prawdzie dorośli nie istnieją. Nie ma żadnego na całym wielkim świecie. – Zastanawiała się chwilę, po czym dodała z uśmiechem: – Oczywiście, oprócz babci.

Siedzieliśmy tak w milczeniu obok siebie na starej drewnianej ławce. Rozmyślałem o dorosłych. Zastanawiałem się, czy to prawda: czy istotnie są jedynie dziećmi spowitymi w dorosłe ciała, jak dziecięce książki ukryte w środku nudnych długich powieści dla dorosłych, pozbawionych obrazków i rozmów.

– Uwielbiam mój ocean – oznajmiła Lettie i wiedziałem, że nasz czas nad stawem minął.

– Ale przecież tylko udajesz – odparłem i poczułem się, jakbym zawiódł własne dzieciństwo, przyznając to głośno. – To przecież staw. Nie ocean. To niemożliwe. Oceany są większe niż morza. Twój staw to tylko staw.

– Jest taki wielki jak trzeba – odparła najeżona Lettie Hempstock. Potem westchnęła. – Lepiej bierzmy się za odesłanie Ursuli, jak jej tam, skąd przybyła. Ja wiem, czego ona się boi – dodała. – I wiesz co? Ja też się ich boję.

Kiedy wróciliśmy do kuchni, nie dostrzegłem kociaka, choć kot barwy mgły siedział na parapecie, wyglądając na świat. Ktoś zdążył już umyć i uprzątnąć naczynia po śniadaniu, moja czerwona piżama i szlafrok, starannie złożone, czekały na mnie na stole w dużej brązowej papierowej torbie, obok zielonej szczoteczki do zębów.

– Nie pozwolisz jej mnie dopaść, prawda? – spytałem Lettie.

Pokręciła głową i razem ruszyliśmy krętą kamienistą drogą, wiodącą do mego domu i stwora nazywającego się Ursulą Monkton. Ja dźwigałem brązową papierową torbę z nocnym strojem, Lettie zbyt wielki kosz na zakupy z rafii, pełen zniszczonych zabawek, które dostała w zamian za krzyczącą mandragorę i cienie rozpuszczone w occie.

Jak już mówiłem, dzieci posługują się bocznymi ukrytymi ścieżkami, dorośli maszerują drogami i oficjalnymi dróżkami. Zboczyliśmy z jezdni, wędrując skrótem znanym Lettie, który poprowadził nas przez pola, do rozległych opuszczonych ogrodów w walącej się rezydencji bogacza i znów na drogę. Znaleźliśmy się na niej tuż przed miejscem, gdzie wdrapałem się na metalowe ogrodzenie.

Lettie powęszyła w powietrzu.

– Ani śladu warmintów – oznajmiła. – To dobrze.

– Czym są warminty?

– Kiedy je zobaczysz, zrozumiesz – powiedziała tylko. – A mam nadzieję, że nigdy ich nie ujrzysz.

– Zakradniemy się?

– Po co mielibyśmy to robić? Pójdziemy podjazdem i frontowymi drzwiami, jak szlachta.

Ruszyliśmy przed siebie.

– Czy teraz rzucisz zaklęcie i odeślesz ją?

– My nie rzucamy zaklęć. – W głosie Lettie zabrzmiała lekka nutka zawodu, gdy to przyznała. – Czasami przyrządzamy przepisy. Ale żadnych zaklęć ani uroków. Babcia tym gardzi. Mówi, że to pospolite.

– To po co ci te rzeczy w torbie?

– Mają powstrzymać ją przed odejściem tam, gdzie nie chcesz, żeby poszła. Zaznaczyć granicę.

W porannym słońcu mój dom wyglądał przyjaźnie i zachęcająco, lśniąc ciepłą czerwienią cegieł i łupkowego dachu. Lettie sięgnęła do kosza. Wyciągnęła z niego szklaną kulkę, wcisnęła w nadal wilgotną ziemię. A potem, zamiast wejść do domu, skręciła w lewo, wędrując wzdłuż granicy naszej posiadłości. Przystanęliśmy przy grządkach warzywnych pana Wollery. Lettie wyjęła z torby kolejny przedmiot: bezgłowe i beznogie różowe ciało lalki z paskudnie poobgryzanymi rękami. Zakopała je obok groszków.

Zerwaliśmy kilka strączków, otworzyliśmy i zjedliśmy tkwiące wewnątrz groszki. Zawsze mnie zdumiewały. Nie mogłem pojąć, czemu dorośli zrywają coś, co smakuje tak pysznie świeże i na surowo i wsadzają do puszek, gdzie robi się obrzydliwe.

Lettie umieściła w komórce na węgiel pod dużą bryłą węgla małą żyrafę z plastiku, z rodzaju tych, które znajduje się w dziecięcych zoo bądź na arkach Noego. Komórka cuchnęła wilgocią, czernią i starymi zdeptanymi lasami.

– Czy te przedmioty sprawią, że sobie pójdzie?

– Nie.

– To do czego są?

– Mają powstrzymać ją przed odejściem.

– Przecież chcemy, żeby odeszła.

– Nie. Chcemy, żeby wróciła do domu.

Wbiłem w nią wzrok – w krótkie brązoworude włosy, zadarty nos, piegi. Wydawała się trzy, cztery lata starsza ode mnie. Mogła być starsza o trzy,

cztery tysiące lat albo tysiąc razy bardziej. Zaufałbym jej nawet wędrując do bram piekła i z powrotem. Ale jednak...

– Wolałbym, żebyś porządnie to wyjaśniła – oznajmiłem. – Cały czas gadasz zagadkami.

Nie bałem się jednak i nie potrafiłbym wyjaśnić dlaczego. Ufałem Lettie, tak jak wtedy, gdy wyruszyliśmy na poszukiwania trzepoczącego stworu pod pomarańczowym niebem. Wierzyłem w nią, a to oznaczało, że w jej obecności nic mi się nie stanie. Wiedziałem to, tak jak wiedziałem, że trawa jest zielona, róże mają ostre drewniane ciernie, a płatki śniadaniowe smakują słodko.

Weszliśmy do domu frontowymi drzwiami. Nie zamykaliśmy ich na klucz – robiliśmy to tylko wyjeżdżając na wakacje – toteż wmaszerowaliśmy do środka.

Moja siostra ćwiczyła na pianinie w pokoju od frontu. Weszliśmy do środka. Usłyszała nas, przestała grać „Chińskie pałeczki” i odwróciła się.

Spojrzała na mnie ciekawie.

– Co się stało wczoraj w nocy? – spytała. – Myślałam, że nabroiłeś, ale potem mama i tatuś wrócili i powiedzieli, że nocujesz u przyjaciół. Czemu tak powiedzieli? Ty przecież nie masz przyjaciół. – I wtedy zauważyła Lettie Hempstock. – Kto to?

– Moja przyjaciółka – wyjaśniłem. – Gdzie ten straszny potwór?

– Nie nazywaj jej tak – upomniała siostra. – Ona jest miła. Poszła się położyć.

Siostra ani słowem nie wspomniała o moim dziwnym stroju.

Lettie Hempstock wyjęła z torby na zakupy połamane cymbałki i upuściła na łachę zabawek, która zgromadziła się pomiędzy pianinem i niebieską skrzynką z odczepianym wieczkiem.

– Już – rzekła. – Teraz czas iść się przywitać.

Poczułem pierwsze drgnienie strachu w piersi, w głowie.

– Chcesz iść do jej pokoju?

– Właśnie.

– Co ona tam robi?

– Wpływa na życia ludzi – oznajmiła Lettie. – Na razie tylko miejscowych. Dowiaduje się czego, jak sądzą, potrzebują, i próbuje im to dać. Robi tak, by zmienić świat w coś, w czym będzie szczęśliwsza. Coś

wygodniejszego. Czystszego. Nie obchodzi jej już dawanie pieniędzy. Już nie. Teraz bardziej interesuje ją cierpienie ludzi.

Gdy wspinaliśmy się po schodach, Lettie układała coś na każdym stopniu: przejrzystą szklaną kulkę z zielonym wirem w środku; jeden z metalowych przedmiotów, które nazywaliśmy „kostkami”, koralik; parę jaskrawobłękitnych oczu lalki, połączonych z tyłu białym plastikiem, tak by otwierały się i zamykały. Mały czerwono-biały magnes w kształcie podkowy; czarny kamyk; odznakę z tych, które kupuje się razem z kartami urodzinowymi, z napisem „Mam siedem lat”; pudełko zapałek; plastikową biedronkę z czarnym magnesem u podstawy; na wpół zgnieciony samochodzik bez kółek, i w końcu ołowianego żołnierzyka. Brakowało mu nogi.

Znaleźliśmy się na szczycie schodów. Drzwi sypialni były zamknięte.

– Nie uwięzi cię na strychu – obiecała Lettie.

A potem bez pukania otworzyła drzwi i przekroczyła próg pokoju, który kiedyś należał do mnie. Niechętnie podążyłem za nią.

Ursula Monkton leżała na łóżku z zamkniętymi oczami. Była pierwszą dorosłą kobietą oprócz mojej matki, którą ujrzałem nagą, toteż zerknąłem na nią ciekawie. Jednakże pokój okazał się znacznie bardziej interesujący.

To była moja stara sypialnia, ale jednocześnie nie. Już nie. Wciąż wisiała w niej mała żółta umywalka, dokładnie moich rozmiarów, ściany nadal miały ciepłą błękitną barwę, jak wtedy, gdy należała do mnie. Teraz jednak z sufitu zwisały pasma tkaniny, szarej, postrzępionej tkaniny podobnej do bandaży, niektóre długie jedynie na stopę, inne dyndające tuż na podłogą. Okno stało otworem, wiatr szeleścił wśród pasm materiału i kołysał nimi, tak że falowały szaro i odnosiło się niemal wrażenie, że pokój się porusza, niczym namiot bądź statek na morzu.

– Teraz musisz odejść – oznajmiła Lettie.

Ursula Monkton usiadła na łóżku i otworzyła oczy; miały tę samą szarą barwę, co wiszące pasma tkaniny.

– Zastanawiałam się, co będę musiała zrobić, by sprowadzić tu was oboje – rzekła sennym głosem. – I proszę, oto przyszliście.

– Nie sprowadziłaś nas tutaj – rzekła Lettie. – Przyszliśmy, bo sami tego chcieliśmy. Przybyłam dać ci ostatnią szansę.

– Nigdzie się nie wybieram. – Ursula Monkton sprawiała wrażenie nadąsanej, jak bardzo małe dziecko, które czegoś pragnie. – Dopiero co tu

dotarłam. Teraz mam dom. Mam zabawki, jego ojciec to najsłodsze stworzenie pod słońcem. Uszczęśliwiam ludzi. W całym tym świecie nie ma niczego podobnego do mnie. Kiedy tu weszliście, szukałam. Jestem jedyna. Nie mogą się bronić. Nie wiedzą jak. To dla mnie najlepsze miejsce w całym stworzeniu.

Uśmiechnęła się do nas promiennie. Naprawdę była ładna jak na dorosłą, ale kiedy ma się siedem lat, uroda to coś abstrakcyjnego, nie imperatyw. Zastanawiam się, co teraz bym zrobił, gdyby uśmiechnęła się tak do mnie: czy oddałbym jej swój umysł, serce bądź tożsamość, tak jak uczynił to mój ojciec?

– Uważasz, że ten świat tak wygląda – powiedziała Lettie. – Myślisz, że jest łatwy. Ale nie.

– Oczywiście, że tak. Co chcesz powiedzieć? Że ty i twoja rodzina będziecie bronić go przede mną? Tylko ty opuszczasz granice waszej farmy, i próbowałaś mnie skrępować, nie znając mojego imienia. Twoja matka nie byłaby taka głupia. Nie boję się ciebie, dziewczynko.

Lettie sięgnęła głęboko do torby. Wyciągnęła słoik po dżemie z tkwiącą wewnątrz przejrzystą dziurą i uniosła go.

– Oto twoja droga powrotna – oznajmiła. – Jestem miła i uprzejma. Zaufaj mi. Weź ją. Nie sądzę, byś zdołała dotrzeć dalej niż w miejsce, w którym cię spotkaliśmy, pod pomarańczowym niebem, ale to dość daleko. Nie mogę odesłać cię tam, skąd pierwotnie przybyłaś, pytałam babcię i twierdzi, że tamto miejsce już nie istnieje, ale, kiedy wrócisz, znajdziemy ci coś podobnego. Coś, gdzie będziesz szczęśliwa. I bezpieczna.

Ursula Monkton wstała z łóżka. Spojrzała na nas z góry. Nie spowijał jej już wieniec błyskawic, lecz gdy tak stała naga w sypialni, wyglądała groźniej niż kiedy szybowała na niebie podczas burzy. Była dorosła – więcej niż dorosła. Była stara. A ja nigdy nie czułem się bardziej jak dziecko.

– Jestem tu szczęśliwa – oświadczyła. – Tak bardzo, bardzo szczęśliwa. – A potem dodała niemal z żalem: – A ty nie.

Usłyszałem dźwięk – miękki, łopoczący, poszarpany dźwięk. Szare tkaniny zaczęły odpadać kolejno od sufitu. Spadały, lecz nie prosto. Leciały ku nam z całego pokoju, jak ku magnesom przyciągającym je do naszych ciał. Pierwszy pas szarej tkaniny wylądował na grzbiecie mojej lewej dłoni

i przywarł tam. Sięgnąłem prawą ręką, chwyciłem go i szarpnąłem: przez moment tkwił tam uczepiony, a potem oderwał się z głośnym mlaśnięciem. Na skórze pozostała odbarwiona plama, w miejscu gdzie tkwił materiał, czerwona, jakbym ssał ją bardzo długo, dłużej i mocniej niż kiedykolwiek w życiu, pokryta drobinkami krwi. Gdy jej dotknąłem, krew rozmazała się, a potem długi kawał bandaża uczepił się moich nóg i odsunąłem się w chwili, gdy kolejny wylądował mi na twarzy i czole, następny owinął się wokół oczu, oślepiając mnie, toteż zerwałem go. W tym momencie kolejny kawałek otoczył mi przeguby i związał razem, i przywiązał ręce do ciała, a ja potknąłem się i runąłem na ziemię.

Gdy próbowałem zrywać tkaniny, zadawały mi ból.

Mój świat poszarzał. I wtedy się poddałem. Leżałem tam bez ruchu, skupiony jedynie na oddychaniu w szczelinie między pasmami tkaniny wokół nosa. Ale one trzymały mnie i wydawały się żywe.

Leżałem na dywanie i słuchałem. Nic innego nie mogłem zrobić.

– Muszę zatrzymać chłopaka w bezpiecznym miejscu. Przyrzekłam, że zamknę go na strychu, zatem tam właśnie trafi. Ale ty, dziewczynko z farmy, co mam z tobą począć? Coś stosownego. Może powinnam wywrócić cię na nice, odsłaniając twoje serce, mózg i ciało, gołe, nagie, i ukrywając skórę w środku. Wówczas zachowam cię, zapakowaną, w moim pokoju, a twoje oczy będą przez wieczność spoglądać w mrok wewnątrz siebie. Mogę to zrobić.

– Nie. – Wydało mi się, że w głosie Lettie dźwięczy smutek. – Tak naprawdę nie możesz. A ja dałam ci szansę.

– Groziłaś mi. To były puste groźby.

– Ja nie grożę – oświadczyła Lettie. – Naprawdę chciałam dać ci szansę. – A potem dodała: – Gdy rozglądałaś się po świecie, szukając podobnych sobie stworzeń, czy nie zastanowiło cię, czemu nie ma tu mnóstwa starych istot? Nie, ani przez moment o tym nie pomyślałaś. Tak bardzo ucieszyłaś się, że jesteś sama, że nawet cię to nie zdziwiło. Babcia zawsze nazywa tobie podobne pchłami, Skarthach z Twierdzy. No wiesz, mogłaby was nazwać dowolnie. Ale chyba uważa, że pchły są zabawne. Nie wadzicie jej. Twierdzi, że jesteście nieszkodliwe. Tylko trochę głupie. To dlatego, że w tej części stworzenia istnieją też istoty, które pożerają pchły. Babcia zwie je warmintami. Nie lubi ich. Twierdzi, że są wredne i trudno się ich pozbyć. I zawsze są głodne.

– Nie boję się – oznajmiła Ursula Monkton. Sprawiała wrażenie przerażonej. A potem dodała: – Skąd znasz moje imię?

– Poszłam go poszukać dziś rano. Znalazłam też inne rzeczy. Znaczniki granic, żebyś nie uciekła zbyt daleko i nie napytała jeszcze większej biedy. I ślad okruszków, wiodący prosto tu, do tego pokoju. A teraz otwórz słoik po dżemie, wyciągnij przejście i odeślemy cię do domu.

Czekałem na odpowiedź Ursuli Monkton, ta jednak milczała. Nic nie rzekła. Usłyszałem tylko trzaśnięcie drzwi, a potem szybki tupot stóp, zbiegających na dół po schodach.

Głos Lettie rozległ się blisko mnie.

– Lepiej dla niej, gdyby została tutaj i skorzystała z mojej propozycji.

Poczułem jej dłonie zdzierające tkaninę z mojej twarzy. Materiał oderwał się z wilgotnym mlaśnięciem, jednak nie wydawał się już żywy, a gdy odpadał, zsuwał się na ziemię i leżał tam bez ruchu. Tym razem mojej skóry nie pokryły kropelki krwi. Najgorsze było to, że ręce i nogi mi zdrętwiały.

Lettie pomogła mi wstać. Nie wydawała się zadowolona.

– Dokąd ona poszła? – spytałem.

– Podążyła szlakiem i opuściła dom. Boi się. Biedactwo. Tak bardzo się boi.

– Ty też się boisz.

– Owszem, odrobinę. W tej chwili odkrywa pewnie właśnie, że jest uwięziona wewnątrz nakreślonych przeze mnie granic.

Wyszliśmy z pokoju. Na najwyższym stopniu, w miejscu gdzie wcześniej leżał ołowiany żołnierzyk, teraz pozostało rozdarcie. To najlepsze słowo, jakim mogę to opisać: wyglądało, jakby ktoś zrobił zdjęcie schodów, a potem wydarł z niego żołnierzyka. W miejscu, gdzie wcześniej leżał, pozostała jedynie mętna szarość, która raniła mi oczy, gdy przyglądałem jej się zbyt długo.

– Czego ona się boi?

– Słyszałeś przecież. Warmintów.

– Czy ty też boisz się warmintów, Lettie?

Wahała się odrobinę za długo, a potem rzekła z prostotą:

– Tak.

– Ale jej się nie boisz. Ursuli.

– Nie mogę się jej bać. Tak jak mówi babcia: ona jest jak pchła, rozdęta dumą, mocą i żądzą, niczym pchła krwią. Ale nie mogłaby mnie

skrzywdzić. Widziałam już tuziny jej podobnych. Jeden przybył tu w czasach Cromwella, to ci dopiero historia! On sprawiał, że ludzie czuli się samotni. Ranili się tylko po to, by zwalczyć tę samotność, wyłupiali sobie oczy, wskakiwali do studni, a tymczasem wielki, durnowaty stwór tkwił w piwnicy „Pod Książęcą Głową” i wyglądał jak tłusta ropucha wielkości buldoga.

Dotarliśmy na dół, przecinając hol.

– Skąd wiesz dokąd poszła?

– Och, nie mogła odejść nigdzie poza trasę, którą jej wytyczyłam.

W pokoju od frontu moja siostra nadal grała „Chińskie pałeczki” na pianinie.

Da da DUM da da
da da DUM da da
da da DUM da DUM da DUM da da...

Wyszliśmy frontowymi drzwiami.

– Ten z czasów Cromwella był naprawdę paskudny. Ale odprawiłyśmy go stąd tuż przed tym, nim zjawiły się ptaki głodu.

– Ptaki głodu?

– Te, które babcia nazywa warmintami. Sprzątacze.

To nie brzmiało tak źle. Wiedziałem, że Ursula się ich boi, ale ja się nie bałem. Co niby strasznego może być w sprzątaczach?

XI

Ursulę Monkton dogoniliśmy na trawniku, obok krzewów róż. Trzymała w dłoni słoik po dżemie z unoszącą się w środku dziurą. Wyglądała dziwnie. Szarpnęła pokrywkę, potem zamarła i spojrzała w niebo. Następnie znów wbiła wzrok w słoik.

Podbiegła do mojego buku, tego ze sznurową drabinką, i cisnęła słoikiem z całych sił o pień. Jeśli próbowała go stłuc, to jej się nie udało. Słój po prostu odbił się i wylądował w mchu na wpół porastającym plątaninę korzeni. Leżał tam nietknięty.

Ursula Monkton posłała gniewne spojrzenie Lettie.

– Dlaczego? – spytała.

– Wiesz dlaczego – odparła Lettie.

– Czemu chcesz je tu wpuścić?

Rozpłakała się i poczułem się niezręcznie. Nie wiedziałem co robić, kiedy dorośli płaczą. To coś, co widziałem tylko dwa razy wcześniej: kiedy moja ciotka umarła w szpitalu, dziadkowie płakali i widziałem też, jak płacze moja matka. Wiedziałem, że dorośli nie powinni płakać. Nie mieli matek, które ich pocieszą.

Zastanawiałem się, czy Ursula Monkton kiedykolwiek miała matkę. Jej twarz i kolana pokrywało błoto. Zawodziła głośno.

W dali usłyszałem jakiś dźwięk, dziwny i nieziemski: ciche wibracje, jakby ktoś szarpnął napiętym kawałkiem sznurka.

– To nie ja je wpuszczę – odparła Lettie Hempstock. – Przybywają, gdzie tylko zechcą. Zazwyczaj nie odwiedzają tych stron, bo nie ma tu niczego,

co mogłyby zjeść. Ale teraz jest.

– Odeślij mnie – poprosiła Ursula Monkton.

Uznałem, że teraz nie wygląda nawet odrobinę ludzko. Jej twarz miała w sobie coś niewłaściwego: przypominała przypadkowy zestaw rysów, który kojarzył się z ludzką twarzą, tak jak węzłaste szare sęki na boku mojego buku bądź wzory na drewnianym zagłówku łóżka w domu babci, które, kiedy spojrzało się na nie z ukosa, w świetle księżyca ukazywały starca o szeroko otwartych ustach.

Lettie podniosła z zielonego mchu słoik po dżemie i przekręciła pokrywkę.

– Tylko mocniej ją dokręciłaś – rzekła.

Podeszła do skalnej ścieżki, obróciła słoik do góry nogami, trzymając go za denko i raz jeden, pewnym siebie gestem rąbnęła wieczkiem o ziemię. Potem znów go obróciła i przekręciła. Tym razem pokrywka puściła i została jej w dłoni.

Lettie podała słoik Ursuli Monkton, która sięgnęła do środka i wyciągnęła przejrzyste przejście, niegdyś będące dziurą w mojej stopie. Teraz zwijało się, skręcało i falowało, najwyraźniej radując się jej dotykiem.

Upuściła je. Upadło na trawę i urosło. Nie urosło. Zmieniło się: zupełnie jakby znalazło się bliżej mnie, widziałem przez nie z końca do końca. Mogłem nim pobiec, gdyby nie to, że po drugiej stronie długiego tunelu ujrzałem gorzkie, pomarańczowe niebo.

I gdy tak patrzyłem, znów poczułem ukłucie w sercu: coś lodowatego, jakbym zjadł zbyt wiele lodów mrożących mnie od wewnątrz.

Ursula Monkton ruszyła w stronę wylotu tunelu. (Jakim cudem maleńka dziura zmieniła się w tunel? Nie mogłem tego pojąć. Wciąż była lśniącą, przejrzystą, srebrzysto-czarną dziurą na trawie, długą najwyżej na stopę. Zupełnie jakbym powiększył coś bardzo małego. Ale była też tunelem, przez który dałoby się przeciągnąć dom).

A potem zatrzymała się i zawyła.

– Droga powrotna – rzekła. Tylko tyle. – Niepełna – dodała. – Jest urwana. Nie ma końca, bramy...

Rozejrzała się dokoła, niespokojna i zaskoczona. Skupiła wzrok na mnie – nie mojej twarzy, ale piersi. I uśmiechnęła się.

A potem zadrżała. W jednej chwili była dorosłą kobietą, nagą i ubłoconą, w następnej rozwinęła się niczym parasolka barwy ciała.

I gdy to uczyniła, wyciągnęła rękę, chwyciła mnie i pociągnęła wysoko w górę, a ja sięgnąłem ku niej w strachu i także przytrzymałem.

Ściskałem w dłoniach ciało. Wisiałem ponad piętnaście stóp nad ziemią, wysoko jak drzewa.

Nie ściskałem ciała.

Trzymałem starą tkaninę, przegniły, zetlały brezent, pod nim czułem drewno – ale nie porządne, solidne drewno, lecz stare i spróchniałe, które znajduje się na zwalonych drzewach, tych, które zawsze wydają się wilgotne, które mogłem rozdzierać palcami, miękkie drewno rojące się od maleńkich żuków i prosionków, przerośnięte nićmi grzybów.

Trzymając mnie, zakołysało się i zatrzeszczało.

ZABLOKOWAŁAŚ PRZEJŚCIA – rzekło do Lettie Hempstock.

– Niczego nie zablokowałam – odparła Lettie. – Masz mojego przyjaciela. Odstaw go.

Stała daleko pode mną, a ja bałem się wysokości i istoty, która mnie trzymała.

DROGA JEST NIEKOMPLETNA. PRZEJŚCIA ZABLOKOWANE.

– Odstaw go. Ale już. Bezpiecznie.

ON DOPEŁNIA ŚCIEŻKĘ. ŚCIEŻKA JEST W NIM.

W tym momencie byłem pewien, że zaraz zginę.

Nie chciałem umierać. Rodzice mówili mi, że tak naprawdę nigdy nie umrę, nie prawdziwy ja: że po śmierci nikt nie umiera, że mój kociak i górnik metali po prostu znajdą nowe ciało i wkrótce znów powrócą. Nie miałem pojęcia, czy to prawda, czy nie. Wiedziałem tylko, że przywykłem do bycia sobą, lubiłem swoje książki, dziadków i Lettie Hempstock, a śmierć odebrałaby mi to wszystko.

OTWORZĘ GO. DROGA JEST ZERWANA. POZOSTAJE WEWNĄTRZ NIEGO.

Kopnąłbym, ale nie miałem czego. Szarpnąłem palcami trzymającą mnie kończynę, lecz moje paznokcie wbiły się w sparciały materiał i miękkie drewno, a pod nim w coś twardego jak kość, a stwór ścisnął mnie mocniej.

– Puszczaj! – krzyknąłem. – Wypuść mnie! Wypuść mnie!

NIE.

– Mamusiu! – wrzasnąłem. – Tatusiu! – A potem: – Lettie, zmuś ją, żeby mnie puściła.

Moich rodziców tam nie było, Lettie owszem.

– Skarthach – rzekła. – Wypuść go. Wcześniej dałam ci wybór. Skoro koniec tunelu pozostał w nim, odesłanie cię do domu będzie trudniejsze, ale możemy to zrobić, a jeśli nie poradzimy sobie z mamą, babci uda się z pewnością. Odstaw go.

JEST W NIM. TO NIE TUNEL. JUŻ NIE. NIE KOŃCZY SIĘ. KIEDY STWORZYŁAM ŚCIEŻKĘ, ZA DOBRZE ZAMOCOWAŁAM JĄ WEWNĄTRZ NIEGO I RESZTA JEJ WCIĄŻ TAM TKWI. NIEWAŻNE. ŻEBY SIĘ STĄD WYDOSTAĆ, MUSZĘ TYLKO SIĘGNĄĆ DO JEGO PIERSI, WYRWAĆ BIJĄCE SERCE, DOKOŃCZYĆ ŚCIEŻKĘ I OTWORZYĆ DRZWI.

Ów trzepoczący, pozbawiony twarzy stwór przemawiał bezdźwięcznie, wprost w mojej głowie, a jednak coś w jego słowach przypominało mi uroczy, melodyjny głos Ursuli Monkton. Wiedziałem, że mówi poważnie.

– Zużyłaś wszystkie swoje szanse – oznajmiła Lettie, jakby mówiła, że niebo jest niebieskie.

A potem uniosła dwa palce do ust i zagwizdała – słodko, ostro, przenikliwie.

Przybyły, jakby czekały na jej wezwanie.

Zjawiły się wysoko na niebie, czarne, czarne jak węgiel, tak czarne, że z początku zdawało mi się, że to jedynie widmowe kropki przed moimi oczami, nie coś prawdziwego. Miały skrzydła, ale nie były ptakami, lecz czymś starszym od ptaków i latały w kółko, krążąc, wirując, dziesiątki, może setki. Każdy roztrzepotany nieptak opadał bardzo powoli.

Nagle odkryłem, że wyobrażam sobie dolinę pełną dinozaurów, miliony lat temu, dinozaurów, które zginęły w walce bądź od chorób; najpierw ujrzałem truchła gnijących olbrzymich jaszczurów, większych od autobusów, a potem sępy z tamtych czasów: szaroczarne, nagie, skrzydlate, lecz bezpióre, o pyskach rodem z sennego koszmaru – dziobach niczym ryje pełne ostrych jak szpilki zębów, stworzonych do rozdzierania, rozszarpywania i pożerania, oraz głodnych czerwonych oczach. Te stwory opadłyby na trupy wielkich jaszczurów i zostawiły jedynie kości.

Były wielkie, smukłe i pradawne, ich widok ranił mi oczy.

– Teraz – rzuciła Lettie Hempstock, zwracając się do Ursuli Monkton. – Odstaw go.

Więżący mnie stwór nawet nie próbował zwolnić uścisku. Nie odpowiedział, jedynie poruszył się szybko jak obszarpany żaglowiec, mknąc po trawie w stronę tunelu.

Widziałem gniew na twarzy Lettie Hempstock, zacisnęła pięści tak mocno, że zbielały jej kostki. Nad nami ptaki głodu krążyły coraz niżej, niżej...

A potem jeden z nich runął z nieba, szybciej niż potrafiłem ogarnąć to wyobraźnią. Poczułem pęd powietrza na twarzy, ujrzałem czarne, jakże czarne szczęki, pełne szpilek, i oczy płonące niczym wyrzutnie gazu. Usłyszałem dźwięk rozdzieranej tkaniny, jakby coś rozszarpało zasłonę.

Skrzydlaty stwór pomknął w niebo, ściskając w szczękach kawał szarego materiału.

W głowie i poza nią usłyszałem zawodzący głos. Należał do Ursuli Monkton.

I wtedy opadły, jakby czekały, aż uczyni to pierwszy z nich. Runęły z nieba na istotę, która mnie trzymała, koszmary atakujące koszmar, oddzierające pasma tkaniny, a przez cały czas słyszałem krzyki Ursuli Monkton.

DAWAŁAM IM TYLKO TO, CZEGO POTRZEBOWALI! – wołała nadąsana i przerażona. – USZCZĘŚLIWIAŁAM ICH!

– Sprawiłaś, że mój tato mnie skrzywdził – odparłem, gdy trzymający mnie stwór próbował odgonić szarpiące go koszmary.

Ptaki głodu rozdzierały ją, każdy odrywał bezdźwięcznie pasma tkaniny i frunął z powrotem w niebo, łopocząc ciężko skrzydłami, by zatoczyć krąg i znów opaść.

NIGDY ŻADNEGO Z NICH DO NICZEGO NIE ZMUSIŁAM – odparła.

Przez chwilę wydawało mi się, że śmieje się ze mnie, a potem śmiech zamienił się w krzyk tak głośny, że zabolały mnie uszy i głowa.

I wtedy odniosłem wrażenie, jakby z poszarpanych żagli uszło powietrze. Ściskający mnie stwór powoli osunął się na ziemię.

Uderzyłem mocno w trawę, obcierając do krwi kolana i dłonie. Lettie podniosła mnie, pomogła mi się odsunąć od pomarszczonych, pomiętych szczątków tego, co kiedyś nazywało się Ursulą Monkton.

Nadal wyglądała jak szara tkanina, ale nią nie była: zwijała się i turlała po ziemi wokół mnie, nieporuszana żadnym wyczuwalnym wiatrem, niczym rój skręcających się robaków.

Ptaki głodu wylądowały na niej jak mewy na wyrzuconej na plaży rybie, szarpiąc, jakby nie jadły od tysiąca lat i musiały się nażreć natychmiast, bo minie kolejny tysiąc, nim znów nadarzy się okazja. Darły szarą materię, a w głowie cały czas słyszałem krzyki, gdy wpychały parciejący brezent w swe ostre zębate paszcze.

Lettie trzymała mnie za przedramię. Nie odzywała się.

Czekaliśmy.

A kiedy krzyki umilkły, pojąłem, że Ursula Monkton odeszła na zawsze.

Gdy czarne stwory skończyły pożerać istotę w trawie i nic już nie pozostało, nawet najmniejszy strzęp szarej tkaniny, skupiły uwagę na przejrzystym tunelu, który zwijał się, falował i skręcał niczym żywa istota. Kilka z nich chwyciło go w szpony i wzleciały z nim, ciągnąc w niebo, podczas gdy reszta szarpała go, niszcząc wygłodniałymi dziobami.

Sądziłem, że kiedy skończą, odlecą, wrócą tam, skąd przybyły, ale nie. Znów opadły. Spróbowałem je policzyć, gdy lądowały – na próżno. Zdawało mi się, że są ich setki, ale mogłem się mylić. Mogło ich być dwadzieścia albo tysiąc. Nie potrafiłem tego wyjaśnić: być może pochodziły z miejsca, w którym coś takiego jak liczenie nie miało zastosowania, miejsca poza czasem i liczbami.

Wylądowały, a ja patrzyłem na nie, lecz widziałem wyłącznie cienie.

Wiele cieni.

I wszystkie wpatrywały się w nas.

– Zrobiłyście to, po co tu przybyłyście – powiedziała Lettie. – Dostałyście swoją ofiarę. Posprzątałyście. Możecie wrócić do domu.

Cienie ani drgnęły.

– Idźcie! – rzuciła.

Cienie w trawie pozostały tam, gdzie były. Więcej, wydały się jeszcze ciemniejsze, bardziej rzeczywiste niż wcześniej.

– *Nie masz nad nami władzy.*

– Może i nie – odparła Lettie. – Ale to ja was tu wezwałam, a teraz mówię wam, żebyście wróciły do domu. Pożarłyście Skarthach z Twierdzy. Zrobiłyście co wasze. A teraz wynocha.

– *Jesteśmy sprzątaczami. Przybyliśmy sprzątnąć.*

– Tak, i sprzątnęłyście stwora, po którego przyszłyście. Wracajcie.

– *Nie całego* – westchnął wiatr wśród rododendronów i szelest pośród trawy.

Lettie obróciła się do mnie i objęła mnie ramionami.

– Chodź – rzuciła. – Szybko.

Ruszyliśmy razem przez trawnik.

– Zaprowadzę cię do kręgu wróżek – oznajmiła. – Będziesz tam musiał zaczekać, póki po ciebie nie przyjdę. Nie wychodź z niego. Pod żadnym pozorem.

– Czemu nie?

– Bo mogłoby cię spotkać coś złego. Nie sądzę, bym zdołała bezpiecznie odprowadzić cię na farmę, a sama tego nie naprawię. Ale w kręgu jesteś bezpieczny. Cokolwiek zobaczysz, cokolwiek usłyszysz, nie wychodź. Zostań tam, gdzie jesteś, a nic ci się nie stanie.

– To nie jest prawdziwy krąg wróżek – zaprotestowałem. – To tylko zabawa. Zielony krąg w trawie.

– Jest tym, czym jest – odparła. – Nic, co pragnie cię skrzywdzić, nie może go przekroczyć. Pamiętaj, zostań w środku.

Uścisnęła moją dłoń i zaprowadziła mnie do zielonego trawiastego kręgu.

A potem odbiegła między rododendrony i zniknęła.

XII

Wokół kręgu zaczęły się gromadzić cienie, bezkształtne plamy, które tak naprawdę dostrzegałem jedynie patrząc kątem oka. To wtedy przypominały ptaki. To wtedy wydawały się głodne.

Nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo jak wówczas, owego popołudnia w trawiastym kręgu z suchym drzewem pośrodku. Nie śpiewał żaden ptak, żaden owad nie brzęczał dokoła. Nic się nie zmieniało. Słyszałem szelest liści i szmer muskanej wiatrem trawy, lecz Lettie Hempstock nie było i wiatr nie niósł ze sobą głosów. Nie miałem się czego bać oprócz cieni, a kiedy patrzyłem na nie wprost, nawet dokładnie ich nie widziałem.

Słońce zniżyło się na niebie, cienie rozpłynęły się w mroku i stały jeszcze bardziej niewyraźne; teraz w ogóle nie miałem pewności, że cokolwiek tam jest. Ale nie opuściłem kręgu.

– Hej! Chłopcze!

Odwróciłem się. Szedł ku mnie przez trawnik. Był ubrany jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni: w smoking, białą koszulę z żabotem, czarną muszkę. Jego twarz nadal miała niepokojąco wiśniowy kolor, jakby zbyt długo leżał na plaży, lecz ręce jaśniały bielą. Przypominał woskową figurę, nie człowieka, coś, co można spotkać w Komnacie Grozy. Widząc, że na niego patrzę, uśmiechnął się szeroko, teraz wyglądał jak wyszczerzona w uśmiechu woskowa figura, a ja przełknąłem ślinę, marząc, by słońce znów zaszło.

– Chodź, chłopcze – powiedział górnik opali. – Tylko odwlekasz nieuniknione.

Nie odezwałem się ani słowem, obserwowałem go. Jego lśniące czarne buty zbliżyły się do kręgu, ale go nie przekroczyły.

Serce waliło mi w piersi tak mocno, że byłem pewien, iż je słyszy. Czułem mrowienie skóry na głowie i karku.

– Chłopcze – dodał z ostrym, południowoafrykańskim akcentem. – One muszą to skończyć. To właśnie robią: to padlinożercy, sępy z otchłani. To ich praca. Muszą uprzątnąć ostatnie resztki. Ładnie i elegancko. Wyrwą cię z tego świata i będzie tak, jakbyś nigdy nie istniał. Po prostu zgódź się. To nie będzie bolało.

Patrzyłem na niego. Dorośli mówili tak tylko wtedy, gdy, cokolwiek mieli na myśli, miało bardzo boleć.

Martwy mężczyzna w smokingu powoli obrócił głowę, zwracając twarz ku mnie. Jego oczy wywróciły się, teraz patrzyły ślepo w niebo nad nami, jak u lunatyka.

– Twoja przyjaciółeczka cię nie uratuje – dodał. – Twój los został rozstrzygnięty kilka dni temu, gdy ich ofiara wykorzystała cię jako przejście ze swojej siedziby do tego miejsca i umocowała ścieżkę w twoim sercu.

– Ja tego nie zacząłem! – powiedziałem do nieboszczyka. – To niesprawiedliwe. Ty to zapoczątkowałeś.

– Tak – odparł nieboszczyk. – Idziesz?

Usiadłem oparty plecami o uschnięte drzewo pośrodku kręgu wróżek i zamknąłem oczy. Ani drgnąłem. By oderwać od niego myśli, zacząłem przypominać sobie wiersze, recytować je bezdźwięcznie pod nosem, wymawiając słowa, ale nie wydając najlżejszego dźwięku.

Kiedyś raz Myszka mała Kota Złego spotkała. „W sądzie chcę cię oskarżyć!” – rzekł Kot Zły, widząc Mysz[*].

Tego wierszyka nauczyłem się na pamięć w szkole. Recytuje go mysz w *Alicji w Krainie Czarów*, mysz, którą Alicja spotkała, pływając w stawie własnych łez. W moim egzemplarzu słowa wiersza zawijały się i malały, niczym mysi ogon.

Potrafiłem wyrecytować cały jednym tchem i zrobiłem tak, aż do nieuniknionego końca.

Na to Kot: „Adwokatem, sędzią, woźnym i katem ja sam będę. Ja sam też skażę ciebie na śmierć”.

Gdy otworzyłem oczy i spojrzałem w górę, górnika opali już nie było. Niebo szarzało, mroczniejący świat tracił głębię. Jeśli cienie wciąż tam były, to już ich nie postrzegałem – czy raczej to cały świat stał się jednym wielkim skupiskiem cieni.

Siostra wybiegła z domu, wykrzykując moje imię. Zatrzymała się, nim do mnie dotarła.

– Co robisz? – spytała.

– Nic.

– Tatuś dzwoni. Mówi, że masz przyjść z nim porozmawiać.

– Nie. Nie mówi.

– Co takiego?

– Nie powiedział tego.

– Jeśli zaraz nie przyjdziesz, będziesz miał kłopoty.

Nie wiedziałem, czy to faktycznie moja siostra, czy nie, ale znajdowałem się wewnątrz trawiastego kręgu, a ona poza nim.

Pożałowałem, że nie zabrałem ze sobą książki, choć było już niemal za ciemno na czytanie. Ponownie powtórzyłem w głowie mysi wiersz ze stawu łez.

Radzę ci, nie uciekaj i na proces tu czekaj! Nudzę się już od rana, więc uczynię to dziś...

– Gdzie jest Ursula? – spytała moja siostra. – Poszła do siebie do pokoju, ale już jej tam nie ma. Nie ma jej też w kuchni ani w kibelku. Chcę dostać podwieczorek. Jestem głodna.

– Możesz coś sobie przyrządzić – odparłem. – Nie jesteś małym dzieckiem.

– Gdzie jest Ursula?

Została rozdarta na strzępy przez obce sępy-potwory i, szczerze mówiąc myślę, że ty też jesteś jednym z nich albo któryś panuje nad tobą czy coś podobnego.

– Nie wiem.

– Kiedy mamusia i tatuś wrócą do domu, powiem im, że dzisiaj byłeś dla mnie okropny. Będziesz miał straszne kłopoty.

Zastanawiałem się, czy to naprawdę siostra, czy nie. Brzmiała jak ona. Ale nie przestąpiła zielonego kręgu trawy, pokazała mi język i wróciła biegiem do domu.

Rzekła Mysz: „Hej, kolego! Cóż to, sąd bez sędziego, bez przysięgłych, obrońcy i woźnego chcesz mieć?”...

Głęboki zmrok, bezbarwny, pełen napięcia. Wokół moich uszu, zawodząc, przelatywały komary i lądowały kolejno na moich policzkach i rękach. Wówczas ucieszyłem się, że mam na sobie dziwne staroświeckie ubranie kuzyna Lettie Hempstock, bo odsłaniało mniej skóry. Klepałem dłońmi lądujące owady, niektóre odfruwały spłoszone. Jeden, który nie odleciał, przyssany do wnętrza mojego przegubu eksplodował, gdy go trafiłem, pozostawiając na ręce rozmazaną ściekającą kroplę krwi.

W górze przelatywały nietoperze. Od zawsze lubiłem nietoperze, lecz tej nocy było ich zbyt wiele i skojarzyły mi się z ptakami głodu. Zadrżałem.

Zmierzch niepostrzeżenie przekształcił się w noc. Teraz siedziałem w kręgu, którego już nie widziałem, na końcu ogrodu. W domu zapłonęły światła, przyjazne elektryczne lampy.

Nie chciałem bać się ciemności. Nie bałem się niczego rzeczywistego, po prostu nie chciałem już tam być, czekać w ciemności na przyjaciółkę, która uciekła ode mnie i najwyraźniej nie wracała.

„...sędzią, woźnym i katem ja sam będę. Ja sam też skażę ciebie na śmierć”.

Zostałem tam gdzie byłem. Widziałem Ursulę Monkton rozszarpaną na strzępy, a strzępy pożarte przez drapieżców spoza zrozumiałego wszechświata. Byłem pewien, że gdybym wyszedł z kręgu, zrobiłyby ze mną to samo.

Od Lewisa Carrolla przeszedłem do Gilberta i Sullivana.

W łóżku kręcisz się, ach, głowa boli, aż strach, w palpitacjach wciąż zasnąć nie możesz,

zdaniem mym możesz rzec wówczas każdą tam rzecz, choćby nawet w wulgarnym tenorze.

Uwielbiałem brzmienie tych słów, choć nie byłem dokładnie pewien, co wszystkie znaczą.

Musiałem zrobić siusiu. Odwróciłem się plecami do domu, odstąpiłem kilka kroków od drzewa, przerażony, że zrobię jeden za dużo i znajdę się poza kręgiem. Wysikałem się w ciemność. Właśnie skończyłem i obróciłem się z powrotem twarzą do domu, gdy oślepił mnie blask latarki.

– Co ty tu robisz, do licha? – usłyszałem głos mojego ojca.

– Ja... po prostu tu siedzę – odparłem.

– Tak. Twoja siostra mi powiedziała. Cóż, czas wracać do domu. Obiad czeka na stole.

Zostałem tam, gdzie byłem.

– Nie – rzekłem i pokręciłem głową.

– Nie bądź niemądry.

– Nie jestem niemądry. Zostaję tutaj.

– No chodź. – A potem pogodniej: – Chodź, śliczny George’u.

Tak mnie nazywał czasami, kiedy byłem mały. Miał nawet piosenkę, którą podśpiewywał, podrzucając mnie na kolanie. To była najlepsza piosenka świata.

Nie odpowiedziałem.

– Nie zamierzam zanosić cię do domu – oznajmił mój ojciec, a w jego głosie pojawił się ton napięcia. – Jesteś już na to za duży.

Tak, pomyślałem, a poza tym musiałbyś przekroczyć krąg, by mnie podnieść.

Teraz jednak krąg wydawał mi się głupi. To przecież mój ojciec, nie jakaś woskowa figura, którą przywołały ptaki głodu, by mnie wywabić. Zapadła noc. Ojciec wrócił z pracy. Już czas.

– Ursula Monkton odeszła – oznajmiłem. – I już nigdy nie wróci.

Wówczas w jego głosie zabrzmiała irytacja.

– Co takiego zrobiłeś? Powiedziałeś jej coś okropnego. Byłeś niegrzeczny?

– Nie.

Zaświecił mi latarką prosto w twarz. Światło niemal mnie oślepiło. Najwyraźniej walczył ze sobą, by opanować gniew.

– Powtórz mi, co jej powiedziałeś.

– Niczego jej nie powiedziałem. Po prostu odeszła.

To była prawda. No, prawie.

– Natychmiast wracaj do domu.

– Proszę, tato. Muszę tu zostać.

– Wracaj w tej chwili! – krzyknął mój ojciec ile sił w płucach.

Nie zdołałem się powstrzymać: dolna warga mi zadrżała, z nosa pociekło, do oczu napłynęły łzy. Sprawiły, że świat rozpłynął się przed piekącymi oczami, ale nie pociekły i przegnałem je, mrugając.

Nie wiedziałem, czy mówię do ojca, czy nie.

– Nie lubię, kiedy na mnie krzyczysz – oznajmiłem.

– A ja nie lubię, kiedy zachowujesz się jak niesforne zwierzę! – wrzasnął i teraz naprawdę się rozpłakałem, łzy spływały mi po policzkach i marzyłem, by tej nocy znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj.

Jednakże przez ostatnie kilka godzin stawiałem czoło gorszym rzeczom niż on. I nagle przestałem się przejmować. Spojrzałem na ciemną sylwetkę poza i ponad promieniem latarki.

– Czujesz się taki duży, kiedy przez ciebie płacze mały chłopiec? – spytałem i już mówiąc to, wiedziałem, że nigdy nie powinienem był tego powiedzieć.

Jego twarz, a przynajmniej ta część, którą widziałem w odbitym świetle latarki, wykrzywiła się wstrząśnięta. Otworzył usta, by coś powiedzieć, a potem je zamknął. Nigdy wcześniej ani potem nie widziałem, by ojcu zabrakło słów. Tylko wtedy. Poczułem się okropnie. Pomyślałem: wkrótce tu umrę. Nie chcę umrzeć z tymi słowami na ustach.

Ale promień odwrócił się ode mnie.

– Będziemy w domu – oznajmił tylko ojciec. – Schowam obiad do piecyka.

Patrzyłem, jak światło przesuwa się po trawniku, mijając krzaki róż, i dalej, ku domowi, a potem zgasło i zniknęło mi z oczu. Usłyszałem dźwięk otwieranych i zamykanych tylnych drzwi.

W końcu sen zmorzy cię, lecz w tej drzemce wciąż źle, oczy pieką, i boli znów głowa,

mary kłębią się w łbie, straszne tak, że kto wie, chyba wolałbyś jawę zachować.

Ktoś się roześmiał. Przestałem śpiewać i rozejrzałem się, ale nikogo nie dostrzegłem.

– „Pieśń o sennym koszmarze” – rzekł głos. – Jakże stosownie.

Podeszła bliżej i w końcu ujrzałem jej twarz. Ursula Monkton wciąż była naga. Uśmiechała się. Widziałem, jak zaledwie kilka godzin wcześniej ptaki głodu rozdarły ją na strzępy, teraz jednak była cała. Mimo to, wydawała się mniej materialna niż inni ludzie, których oglądałem tej nocy: widziałem poprzez nią migoczące światła domu. Jej uśmiech się nie zmienił.

– Ty nie żyjesz – oznajmiłem.

– Owszem. Zostałam pożarta – odparła Ursula.

– Nie żyjesz. Nie jesteś prawdziwa.

– Zostałam pożarta – powtórzyła. – Jestem niczym. A one mnie wypuściły, tylko na chwilę, z miejsca wewnątrz nich. Tam jest zimno i bardzo pusto. Ale przyrzekły mi ciebie, bym miała się czym bawić: coś, co dotrzyma mi towarzystwa w mroku. A kiedy zostaniesz pożarty, ty też będziesz niczym. Lecz cokolwiek pozostanie z tego niczego, przypadnie mnie, pożarte i całe, by być moją zabawką i rozrywką aż po kres czasu. Będziemy świetnie się bawić.

Duch ręki uniósł się i dotknął uśmiechu, a potem posłał mi widmo pocałunku Ursuli Monkton.

– Będę na ciebie czekać – oznajmiła.

Za moimi plecami zaszeleściły rododendrony i rozległ się głos, pogodny i kobiecy.

– Już dobrze. Babcia to naprawiła. Wszystko załatwione. Chodź.

Teraz widziałem już księżyc nad krzakiem azalii, jasny sierp przypominający gruby okrawek paznokcia.

Usiadłem przy uschniętym drzewie i nie poruszyłem się.

– No chodź, głuptasie. Mówiłam już, wróciły do domu – dodała Lettie Hempstock.

– Jeśli naprawdę jesteś Lettie Hempstock – odparłem – to ty chodź tutaj.

Została w miejscu, dziewczyna z cienia. Potem roześmiała się, przeciągnęła, potrząsnęła i stała kolejnym cieniem: cieniem wypełniającym noc.

– Jesteś głodny – usłyszałem głos pośród nocy i nie był to już głos Lettie, już nie. Mógł przemawiać wewnątrz mojej głowy, tyle że mówił głośno. – Jesteś głodny, zmęczony. Twoja rodzina cię nienawidzi. Nie masz przyjaciół. I przykro mi dodać, ale Lettie Hempstock nigdy do ciebie nie wróci.

Pożałowałem, że nie widzę, kto mówi. Łatwiej, gdy ma się coś konkretnego i widocznego, czego można się bać, a nie coś, co mogłoby być wszystkim.

– Nikogo nie obchodzisz – ciągnął głos, tak bardzo zrezygnowany, praktyczny. – A teraz wyjdź z kręgu i chodź do nas. Wystarczy jeden krok. Przenieś stopę poza granicę, a sprawimy, że ból odejdzie na zawsze: ból, który czujesz teraz i który wciąż ma nadejść. Nigdy się nie wydarzy.

Nie był to już jeden głos, już nie. Dwoje ludzi przemawiało jednocześnie. A może setka, nie potrafiłem orzec. Tak wiele głosów.

– Jak możesz być szczęśliwy w tym świecie? W sercu masz dziurę. Masz w sobie drogę wiodącą do krain poza znanym ci światem. Gdy zaczniesz rosnąć, będą cię przyzywać. Nigdy o nich nie zapomnisz, w głębi serca nigdy nie przestaniesz szukać czegoś, czego mieć nie możesz, czegoś, czego nie potrafisz nawet sobie wyobrazić, a czego brak będzie ci mącił sen, psuł jawę i życie, aż w końcu po raz ostatni zamkniesz oczy, ukochani podadzą ci truciznę i sprzedadzą cię na anatomię, i nawet wtedy umrzesz z dziurą wewnątrz, przeklinając i opłakując źle przeżyte życie. Ale ty nie dorośniesz. Możesz wyjść, a my zakończymy wszystko czysto, albo umrzeć tutaj z głodu i strachu. A kiedy już umrzesz, krąg przestanie mieć jakiekolwiek znaczenie, wówczas rozszarpiemy ci serce i weźmiemy sobie na pamiątkę duszę.

– Może i tak będzie – rzekłem w ciemność i cień – a może nie. A może i tak by się wydarzyło. Nie obchodzi mnie to. Nadal zamierzam tu czekać na Lettie Hempstock, a ona do mnie wróci. A jeśli tu umrę, to czekając na nią; to lepsza śmierć niż wasze durne, okropne potwory rozdzierające mnie na strzępy, bo mam wewnątrz siebie coś, czego nawet nie chcę!

Zapadła cisza. Cienie ponownie zlały się z nocą. Powtórzyłem w myślach to, co powiedziałem, i pojąłem, że to prawda. W tej chwili choć

raz w całym dzieciństwie nie bałem się ciemności i byłem gotów umrzeć (tak gotów, jak każdy siedmiolatek pewien własnej nieśmiertelności), gdybym tylko mógł zginąć, czekając na Lettie. Bo była moją przyjaciółką.

Czas mijał. Czekałem, aż noc znów zacznie do mnie mówić, aż przybędą ludzie, duchy i potwory z mojej wyobraźni, zbiorą się poza kręgiem i zaczną mnie wzywać, ale nic więcej się nie wydarzyło. Nie wtedy. Po prostu czekałem.

Księżyc wzeszedł wyżej. Moje oczy przywykły do ciemności. Śpiewałem pod nosem, raz po raz powtarzając słowa:

...boś zdrowotny dziś wrak, kiedy leżysz na wznak,
chrapiesz, to żaden cud, głowa leci ci w przód,
mrówek w łydce masz rój, czy to leż, czy to stój,
lewa noga ni rusz, ścierpła cała i cóż,
kurcze masz w palcach stóp, nosa swędzi cię czub,
w płucach piecze cię coś, język pali na złość,
bardzo pić ci się chce i pojmujesz już, że
nocy tej nie przespałeś wśród róż.

Odśpiewałem całą piosenkę, od początku do końca, dwa lub trzy razy, i ulżyło mi, że pamiętam wszystkie słowa, choć nie zawsze je rozumiałem.

---

* Cytaty z *Alicji w Krainie Czarów* w przekładzie M. Słomczyńskiego.

XIII

Kiedy zjawiła się Lettie, tym razem prawdziwa, w ręku dźwigała wiadro wody. Sądząc z tego, jak je niosła, musiało być ciężkie. Przekroczyła miejsce, gdzie musiała leżeć granica kręgu w trawie, i pomaszerowała wprost do mnie.

– Przepraszam – rzekła. – Trwało to znacznie dłużej niż się spodziewałam. On nie chciał współpracować i w końcu musiałyśmy zrobić to razem z babcią, i to ona załatwiła najcięższą pracę. Z nią nie zamierzał się spierać, ale też nie pomagał i nie było łatwo...

– Kto taki? – spytałem. – O czym ty mówisz?

Lettie postawiła na trawie obok mnie metalowe wiadro, nie rozlewając ani kropli.

– Ocean – odparła. – Nie chciał ze mną pójść. Stawiał babci taki opór, że powiedziała, że po wszystkim będzie musiała się położyć. Ale w końcu przelałyśmy go do wiadra.

Woda w wiaderku świeciła, promieniując zielonkawobłękitnym blaskiem. W jej świetle widziałem twarz Lettie. Widziałem też zmarszczki i fale na powierzchni, patrzyłem, jak przelewają się i uderzają z bryzgiem o ścianki wiadra.

– Nie rozumiem.

– Nie mogłam zaprowadzić cię do oceanu – wyjaśniła. – Ale nic nie przeszkadzało mi w przyniesieniu oceanu do ciebie.

– Jestem głodny, Lettie – rzekłem – i to mi się nie podoba.

– Mama przyrządziła obiad. Ale jeszcze trochę będziesz musiał wytrzymać głód. Czy bałeś się, czekając tu sam?

– Tak.

– Czy próbowały cię wywabić z kręgu?

– Tak.

Wówczas ujęła moje dłonie w swoje i uścisnęła mocno.

– Ale zostałeś tam, gdzie powinieneś, i ich nie słuchałeś. Dobra robota. Oto prawdziwa odwaga. – W jej głosie dźwięczała duma.

W tym momencie zapomniałem o głodzie i strachu.

– Co mam teraz zrobić? – spytałem.

– Teraz – odparła – wejdź do wiadra. Nie musisz zdejmować butów ani nic takiego. Po prostu wejdź.

Nie wydało mi się to nawet dziwne. Lettie wypuściła jedną moją rękę, przytrzymała drugą. Nigdy nie puszczę twojej dłoni, chyba że mi każesz, pomyślałem. Wstawiłem jedną stopę do jaśniejącej wody w wiadrze, podnosząc jej poziom niemal do brzegu. Moja noga spoczęła na blaszanym dnie kubła. Woda była chłodna, nie zimna. Dołączyłem do niej drugą i zanurzyłem się, niczym marmurowy posąg, a fale oceanu Lettie Hempstock zamknęły mi się nad głową.

Poczułem ten sam szok, jak człowiek, który, nie patrząc, cofa się i wpada do basenu. Zamknąłem oczy, które zapiekły od wody, bardzo mocno zacisnąłem powieki.

Nie umiałem pływać. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się dzieje, lecz nawet pod wodą czułem, że Lettie wciąż trzyma mnie za rękę.

Wstrzymałem oddech.

Wstrzymywałem go, aż nie mogłem dłużej, a potem wypuściłem powietrze do wtóru głośnego bulgotu i odetchnąłem głęboko, spodziewając się, że się zadławię, zaduszę wodą, utonę.

Nie zadławiłem się. Czułem chłód wody – jeśli to była woda – wlewającej mi się do nosa i gardła, czułem, jak wypełnia mi płuca, ale to wszystko, co zrobiła. Nie zaszkodziła mi.

To rodzaj wody, którą można oddychać, pomyślałem. Może na tym polega sekret oddychania wodą: to coś prostego, co mógłby zrobić każdy, gdyby tylko go znał. Tak właśnie pomyślałem.

Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy.

Drugą było to, że widziałem wszystko. Ocean Lettie Hempstock przelewał się we mnie, wypełniając cały wszechświat od Jaja po Różę. Wiedziałem to. Wiedziałem, czym było Jajo – gdzie zaczął się wszechświat do wtóru niestworzonych głosów śpiewających w otchłani – i czym jest Róża – osobliwym zmarszczeniem przestrzeni na przestrzeni, w wymiarach, które składają się jak origami i rozkwitają niczym osobliwe orchidee, oznaczającym ostatnie dobre chwile przed nadchodzącym końcem wszystkiego i następnym Wielkim Wybuchem, który, jak teraz wiedziałem, zupełnie nie przypomina wybuchu.

Wiedziałem, że Starsza Pani Hempstock będzie go oglądać, tak jak oglądała ostatni.

Widziałem świat, po którym wędrowałem od chwili narodzin, i rozumiałem, jaki jest kruchy, że znana mi rzeczywistość to tylko cienka warstwa lukru na wielkim ciemnym urodzinowym torcie, rojącym się od robaków, koszmaru i głodu. Ujrzałem świat z góry i z dołu. Wiedziałem, że poza rzeczywistością istnieją wzorce, bramy i ścieżki. Widziałem to wszystko i rozumiałem, a to mnie wypełniało, tak jak wody oceanu.

Wszystko szeptało wewnątrz mnie. Wszystko przemawiało do wszystkiego. A ja to pojmowałem.

Otworzyłem oczy, ciekaw dowiedzieć się, co ujrzę w świecie poza mną i czy będzie to przypominało świat wewnątrz mnie.

Spojrzałem w dół i błękitny świat pode mną wycofał się w ciemność. Popatrzyłem w górę i świat nade mną uczynił to samo. Nic nie ściągało mnie głębiej, nic nie wypychało ku powierzchni.

Odrobinę obróciłem głowę, by spojrzeć na nią, bo wciąż trzymała mnie za rękę, ani na moment jej nie wypuściła, i ujrzałem Lettie Hempstock.

Z początku chyba nie zrozumiałem, na co patrzę. Nie ogarniałem tego. Podczas gdy Ursula Monkton była istotą z szarej tkaniny, która łopotała, falowała i tańczyła, szarpana powiewami burzowych wiatrów, Lettie Hempstock była zrobiona z jedwabistych płacht barwy lodu, przepełnionych maleńkimi, migoczącymi płomykami świec, setkami setek płomyków.

Czy świece mogły płonąć pod wodą? Mogły. Wiedziałem to, kiedy tkwiłem w oceanie. Wiedziałem nawet jak. Rozumiałem to, tak jak rozumiałem mroczną materię, tkaninę wszechświata tworzącą wszystko, co musi istnieć, ale czego nie możemy znaleźć. Odkryłem, że myślę o oceanie

przelewającym się pod całym wszechświatem, niczym ciemna morska woda chlupocząca pod drewnianymi deskami starego pomostu: oceanie ciągnącym się od wieczności po wieczność, a przecież dość małym, by zmieścić się w wiadrze, jeśli ma się do pomocy Starszą Panią Hempstock i bardzo grzecznie się ją poprosi.

Lettie Hempstock wyglądała jak jasny jedwab i płomyki świec. Zastanawiałem się, jak ja wyglądam w jej oczach, w owym miejscu, i wiedziałem, że nawet w miejscu będącym jedynie wiedzą tego jednego się nie dowiem. Że jeśli spojrzę do wnętrza, ujrzę jedynie niekończące się lustra wpatrzone w siebie, w wieczność.

I wówczas jedwab pełen płomyków poruszył się powoli, z podwodnym wdziękiem. Pociągnął go prąd i teraz nagle ujrzałem ręce i dłoń, która ani na moment nie wypuszczała mojej, ciało i znajomą piegowatą twarz. Twarz otworzyła usta i odezwała się głosem Lettie Hempstock:

– Naprawdę mi przykro.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Prądy oceanu ciągnęły mi włosy i ubranie niczym letnia bryza. Nie czułem już chłodu, wiedziałem wszystko, nie byłem głodny, a cały wielki, skomplikowany świat stał się prosty, ogarnialny, łatwy do rozszyfrowania. Pragnąłem zostać tu przez resztę czasu, w oceanie będącym wszechświatem, będącym duszą, jedyną, która miała znaczenie. Zostanę tu na zawsze.

– Nie możesz – oznajmiła Lettie. – To by cię zniszczyło.

Otworzyłem usta, by odrzec, że nic nie zdoła mnie zabić, nie teraz, ale ona ciągnęła:

– Nie zabiło. Zniszczyło cię. Rozpuściło. Nie umarłbyś tutaj, tu nic nie umiera, gdybyś jednak został tu zbyt długo, po jakimś czasie odrobina ciebie istniałaby wszędzie, rozlana. A to niedobre. Byłoby cię za mało w jednym miejscu, toteż nie pozostałoby nic, co nie myślałoby o sobie jako o „ja”. Nie miałbyś punktu widzenia, bo stałbyś się nieskończonym szeregiem punktów.

Zamierzałem się z nią spierać. Myliła się, musiała się mylić: uwielbiałem to miejsce, ten stan, to uczucie, i nie zamierzałem go opuścić.

I wtedy moja głowa wynurzyła się z wody, zamrugałem, rozkasłałem się i odkryłem, że stoję zanurzony po uda w stawie na tyłach farmy Hempstocków, a Lettie Hempstock stoi obok mnie, trzymając mnie za rękę.

Znów zakasłałem, miałem wrażenie, że woda wypływa mi z nosa, z gardła, z płuc. Wciągnąłem w pierś czyste powietrze w świetle wielkiego księżyca w pełni, świecącego nad czerwonym dachem Hempstocków, i przez jedną, ostatnią idealną chwilę nadal wiedziałem wszystko: pamiętałem, że wiedziałem, jak sprawić, by księżyc był w pełni, kiedy tego trzeba, i co noc oświetlał tylko tyły domu.

Wiedziałem wszystko, lecz Lettie Hempstock wyciągała mnie ze stawu.

Nadal miałem na sobie osobliwy staroświecki strój, który dostałem tego ranka, i gdy wyszedłem na trawiasty brzeg, odkryłem, że zarówno ubranie, jak i skórę mam idealnie suche. Ocean wrócił do stawu, a ja czułem się, jakbym się ocknął ze snu w letni dzień i pozostała mi tylko świadomość, że nie tak dawno wiedziałem jeszcze wszystko.

Spojrzałem na Lettie w blasku księżyca.

– Czy tak właśnie jest z tobą? – spytałem.

– Jak jest ze mną?

– Czy nadal wiesz wszystko, cały czas?

Pokręciła głową. Nie uśmiechała się.

– Strasznie nudno byłoby wiedzieć wszystko. Jeśli chcesz się tu kręcić, musisz z tego zrezygnować.

– Czyli kiedyś wiedziałaś wszystko?

Zmarszczyła nos.

– Wszyscy wiedzieli. Mówiłam ci. Wiedza o tym, jak co działa, to nic szczególnego. A jeśli chcesz się bawić, naprawdę musisz z niej zrezygnować.

– Bawić w co?

– W to. – Gestem wskazała dom, niebo i niewiarygodny księżyc w pełni oraz pasma, plamy i skupiska jasnych gwiazd.

Pożałowałem, że nie rozumiem, co ma na myśli. Zupełnie jakby mówiła o naszym wspólnym śnie. Przez chwilę znalazł się tak blisko w mojej głowie, że niemal zdołałem go dotknąć.

– Musisz być strasznie głodny – dodała Lettie i chwila minęła.

Owszem, poczułem głód, który ogarnął moją głowę i przełknął resztki snów.

W wielkiej kuchni na farmie na moim miejscu czekał talerz. Na nim tkwiła porcja zapiekanki pasterskiej ze zbrązowiałą ziemniaczaną skórką na górze, pod którą kryły się siekane mięso, warzywa i sos. Zwykle bałem się

jeść poza własnym domem, obawiałem się, że zechcę zostawić coś, co mi nie posmakuje, i dostanę burę albo będę musiał siedzieć i przełykać wszystko w maleńkich porcjach aż do końca, tak jak w szkole, ale jedzenie u Hempstocków zawsze smakowało idealnie. Nie przerażało mnie.

Była tam Ginnie Hempstock, krzątała się w fartuchu, krągła i przyjazna. Zjadłem bez słowa z pochyloną głową, pałaszując zachęcający posiłek. Kobieta i dziewczyna rozmawiały cicho, z napięciem.

– Wkrótce się tu zjawią – rzekła Lettie. – Nie są głupie. I nie odejdą, póki nie odbiorą ostatniej drobiny tego, po co przybyły.

Jej matka pociągnęła nosem. Czerwone policzki miała zarumienione od gorąca kuchennego paleniska.

– Bajdy i bzdury – rzekła. – Są mocne tylko w gębie, nic poza tym.

Nigdy wcześniej nie słyszałem tego zwrotu i sądziłem, że mówi nam, że stwory mają siłę tylko w paszczach, nigdzie poza tym. Wydało mi się całkiem prawdopodobne, że w istocie są wyłącznie paszczami. Widziałem przecież, jak pożerają szarego stwora, który nazywał siebie Ursulą Monkton.

Moja babcia upomniałaby mnie za jedzenie jak dzikie stworzenie.

– Musisz essen, jeść – powiedziałaby – jak człowiek, nie chazzer, świnia. Kiedy zwierzęta jedzą, mówimy fress. Ludzie essen. Jedz jak człowiek.

Fressen: tak właśnie ptaki głodu pochłonęły Ursulę Monkton i tak właśnie, nie wątpiłem, pożrą też mnie.

– Nigdy nie widziałam tak wielu – dodała Lettie. – Gdy przybywały tu w dawnych czasach, była ich zaledwie garstka.

Ginnie nalała mi szklankę wody.

– To twoja wina – poinformowała Lettie. – Rozstawiłaś sygnały i przywołałaś je. Zupełnie jakbyś uderzyła w dzwon obiadowy. Nic dziwnego, że zjawiły się wszystkie.

– Chciałam po prostu mieć pewność, że się jej pozbędę.

– Pchły – Ginnie pokręciła głową – są jak kurczaki, które uciekły z kurnika, takie dumne z siebie, nadęte i ważne, zachwycone, że mogą jeść wszystkie dżdżownice, żuki i gąsienice, jakie tylko zechcą, że nawet przez moment nie pomyślą o lisach. – Zamieszała waniliowy sos gotujący się na kuchence długą drewnianą łyżką, zamaszystymi, pełnymi irytacji ruchami. – A teraz mamy tu lisy. I odeślemy je wszystkie do domu, tak jak ostatnio, gdy węszyły dokoła. Robiłyśmy to już wcześniej, prawda?

– Nie do końca – nie zgodziła się Lettie. – Albo odsyłałyśmy do domu pchłę i warminty nie miały po co zostać, tak jak tamtą w piwnicy w czasach Cromwella, albo też warminty zjawiały się, brały to, po co przyszły i odchodziły. Tak jak z tą grubą pchłą, która spełniała marzenia ludzi w czasach Czerwonego Rufusa. Zabrały go, a potem pozbierały się do domu. Nigdy dotąd nie musiałyśmy się ich pozbywać.

Jej matka wzruszyła ramionami.

– Wszystko sprowadza się do tego samego. Po prostu odeślemy je tam, skąd przyszły.

– A skąd one przychodzą? – spytała Lettie.

Teraz zwolniłem, starając się, by ostatnie resztki zapiekanki pasterskiej starczyły mi na jak najdłużej. Powoli popychałem je widelcem po talerzu.

– To nie ma znaczenia – oświadczyła Ginnie. – W końcu wszystkie wracają. Pewnie znudzą się czekaniem.

– Próbowałam je odepchnąć – powiedziała spokojnie Lettie Hempstock. – Nawet nie drgnęły. Powstrzymałam je kopułą ochronną, ale nie wytrzymałaby zbyt długo. Tu oczywiście nic nam nie grozi, bez naszej zgody nic nie może przyjść na tę farmę.

– Przyjść ani wyjść – poprawiła Ginnie.

Zabrała mój pusty talerz, zastępując go miską z parującym kawałkiem leguminy z owocami, polanym gęstym żółtym waniliowym sosem.

Zacząłem pałaszować z radością.

Nie tęsknię za dzieciństwem, ale brakuje mi radości czerpanej z drobiazgów, nawet wtedy, gdy wokół wszystko się wali. Nie potrafiłem zapanować nad światem, w którym żyłem, nie mogłem odejść od rzeczy, ludzi ani chwil, które mnie raniły, lecz znajdowałem radość w tych niosących szczęście. Sos był słodki i kremowy w moich ustach, ciemne, napęczniałe porzeczki cierpkie, zanurzone w gęstym, gumiastym puddingu i może tej nocy miałem zginąć, może już nigdy nie wrócę do domu, ale dostałem pyszny obiad i wierzyłem w Lettie Hempstock.

Świat poza kuchnią nadal czekał. Domowa kotka Hempstocków barwy mgły – chyba nigdy nie poznałem jej imienia – przebiegła przez kuchnię. To mi przypomniało...

– Pani Hempstock? Czy koteczka wciąż tu jest? Ta czarna z białym uchem?

– Nie dziś w nocy – odparła Ginnie Hempstock. – Gdzieś sobie biega. Całe popołudnie przespała w fotelu w sieni.

Pożałowałem, że nie mogę pogłaskać jej miękkiego futerka. Nagle uświadomiłem sobie, że chciałem się pożegnać.

– Uhm. Przypuszczam. Że jeśli naprawdę. Muszę umrzeć. Dziś w nocy... – zacząłem z wahaniem, niepewny, do czego zmierzam.

Chciałem chyba o coś poprosić, żeby pożegnały się w moim imieniu z mamusią i tatą, i powiedziały siostrze, że to niesprawiedliwe, że jej nigdy nie spotyka nic złego, że wiedzie zaklęte, bezpieczne, chronione życie, podczas gdy ja wciąż pakuję się z katastrofy w katastrofę. Jednakże nic z tego nie zabrzmiało dobrze i ulżyło mi, kiedy Ginnie mi przerwała.

– Nikt dzisiaj nie umrze – oznajmiła stanowczo.

Zabrała pustą miskę i umyła w zlewie, potem wytarła dłonie o fartuch. Zdjęła go, wyszła na korytarz i wróciła kilka chwil później w brązowym płaszczu i wielkich zielonych gumiakach.

Lettie sprawiała wrażenie mniej pewnej siebie niż Ginnie. Ale Lettie, mimo swego wieku i mądrości, była dziewczynką, a Ginnie dorosłą i jej pewność siebie dodała mi otuchy. Wierzyłem w nie obie.

– Gdzie jest Starsza Pani Hempstock? – spytałem.

– Musiała się położyć – odparła Ginnie. – Nie jest tak młoda jak kiedyś.

– Ile tak naprawdę ma lat? – spytałem, nie spodziewając się odpowiedzi.

Ginnie jedynie uśmiechnęła się, a Lettie wzruszyła ramionami.

Gdy wychodziliśmy z farmy, ściskałem jej dłoń, przyrzekając sobie, że tym razem jej nie puszczę.

XIV

Kiedy wchodziłem do domu na farmie tylnymi drzwiami, na niebie świecił księżyc w pełni, a wokół panowała idealna letnia noc. Gdy wychodziłem wraz z Lettie Hempstock i jej matką frontowymi drzwiami, księżyc przypominał wąski biały uśmiech wysoko na pochmurnym niebie, a noc była wietrzna – nagłe, niezdecydowane letnie powiewy pojawiały się to z tego, to z owego kierunku, od czasu do czasu niosąc ze sobą krople deszczu, które nigdy nie zamieniały się w ulewę.

Przecięliśmy cuchnące nawozem podwórze i wyszliśmy na drogę. Minąwszy zakręt, zatrzymaliśmy się. Choć było ciemno, wiedziałem dokładnie, gdzie się znalazłem. Tu właśnie wszystko się zaczęło. To na tym rogu górnik opali zaparkował nasze rodzinne białe mini, tu umarł samotnie, z twarzą barwy soku z granatów, opłakując utratę pieniędzy, na skraju ziemi Hempstocków, gdzie bariera oddzielająca życie od śmierci jest szczególnie cienka.

– Chyba powinniśmy obudzić Starszą Panią Hempstock – powiedziałem.

– To tak nie działa – odparła Lettie. – Kiedy babcia się zmęczy, śpi, póki sama się nie obudzi. Kilka minut albo sto lat. Nie da się jej zbudzić. Równie dobrze mógłbyś spróbować obudzić bombę atomową.

Ginnie Hemsptock ustawiła się pośrodku drogi, zwrócona plecami do farmy.

– No dobra! – krzyknęła w noc. – Pokażcie no się.

Nic. Mokry wiatr powiał nam w twarze i ucichł.

– Może wszystkie wróciły do domu...? – podsunęła Lettie.

– Byłoby miło – mruknęła Ginnie. – Całe te bzdury i gadanina.

Czułem się winny. Wiedziałem, że to moja wina. Gdybym tylko nie wypuścił ręki Lettie, nic z tego by się nie wydarzyło. Ursula Monkton, ptaki głodu – to ja odpowiadałem za ich przybycie. A nawet za to, co się wydarzyło – albo może teraz już nie wydarzyło – w owej wannie z zimną wodą zeszłej nocy.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Nie mogłybyście po prostu tego wyciąć? Tego w moim sercu, czego pragną? Może wycięłabyś to, tak jak twoja babcia wycięła wydarzenia zeszłej nocy?

Lettie uścisnęła moją dłoń w ciemności.

– Może babcia potrafiłaby, gdyby tu była – odparła. – Ja nie umiem. I nie wydaje mi się, żeby mama umiała. Wycinanie czegoś z czasu to bardzo trudna sprawa: musisz mieć pewność, że wszystkie krawędzie pasują do siebie, i nawet babci nie zawsze to wychodzi. A to byłoby jeszcze trudniejsze. Bo to rzeczywistość. Chyba nawet babcia nie zdołałaby wyjąć tego z ciebie, nie raniąc ci serca. A potrzebujesz serca. – Po sekundzie dodała: – Nadchodzą.

Ale ja wiedziałem już, że coś się dzieje, zorientowałem się, nim jeszcze to powiedziała. Po raz drugi ujrzałem, jak ziemia zaczyna lśnić złociście: widziałem, jak drzewa i trawa, kępy wież i ostatnie zbłąkane żonkile zaczynają płonąć metalicznym półświatłem. Rozejrzałem się na wpół z lękiem, na wpół z zachwytem i zauważyłem, że światło jest najjaśniejsze za domem i na zachodzie, tam gdzie był staw.

Usłyszałem łopot potężnych skrzydeł i serię cichych łoskotów. Obróciłem się i ujrzałem je: sępy otchłani, padlinożerców, ptaki głodu.

Nie były już cieniami, nie tu, nie w tym miejscu. Wyglądały aż nadto rzeczywiście i lądowały w ciemności tuż poza lśniącą złociście ziemią. Lądowały w powietrzu i na drzewach, i szurając nogami, maszerowały naprzód, jak najbliżej złocistej ziemi farmy Hempstocków. Były wielkie – każdy z nich znacznie większy ode mnie.

Nie potrafiłbym jednak opisać ich twarzy. Widziałem je, patrzyłem na nie, chłonąłem każdy rys, lecz gdy tylko odwracałem wzrok, znikały i w moim umyśle nie pozostawało nic, prócz okrutnych dziobów i szponów, zwijających się macek, włochatych chitynowych żuwaczek. Nie potrafiłem zatrzymać w pamięci ich prawdziwego oblicza. Kiedy się obracałem,

pozostawała mi tylko wiedza, że patrzyły wprost na mnie i że konały z głodu.

– No dobra, moje ślicznotki – powiedziała głośno Ginnie Hempstock, opierając ręce na biodrach okrytych brązowym płaszczem. – Nie możecie tu zostać. Wiecie o tym. Czas ruszać w drogę. – A potem dodała z prostotą: – Jazda.

Niezliczone ptaki głodu drgnęły, lecz nie poruszyły się i wydały z siebie jakiś dźwięk. Z początku sądziłem, że szepczą między sobą, potem zrozumiałem, że to rozbawiony chichot.

Usłyszałem ich głosy, wyraźne, lecz zlewające się razem, tak że nie potrafiłem określić, który ze stworów się odezwał.

– Jesteśmy ptakami głodu. Pożerałyśmy pałace i światy, królów i gwiazdy. Możemy zostać, gdzie tylko zechcemy.

– Wykonujemy nasze zadanie.

– Jesteśmy niezbędne.

I zaśmiały się tak głośno, że zabrzmiało to jak nadjeżdżający pociąg. Uścisnąłem dłoń Lettie, a ona moją.

– Oddajcie nam chłopca.

– Marnujecie swój czas i mój – oznajmiła Ginnie. – Wracajcie do domu.

– Wezwano nas tutaj. Nie musimy odchodzić, póki nie zrobimy tego, po co przybyłyśmy. Przywracamy rzeczom należny stan. Czy pozbawisz nas naszej roli?

– Jasne, że tak – odparła Ginnie. – Zjadłyście już obiad. Teraz tylko tu mącicie. Znikajcie stąd. Paskudne warminty, nie dałabym za was wszystkie złamanego szeląga. Wracajcie do domu!

I machnęła ręką w odganiającym geście.

Jeden ze stworów wydał z siebie długi przeciągły krzyk głodu i frustracji.

Lettie mocno ściskała moją rękę.

– On jest pod naszą ochroną – powiedziała. – Na naszej ziemi. A wystarczy jeden krok na naszą ziemię i z wami koniec. Odejdźcie zatem.

Stwory zbiły się w ciaśniejszą gromadkę. Zapadła cisza – nocna cisza w Sussex: jedynie szelest liści na wietrze, pohukiwanie sowy, westchnienie gasnącego wietrzyku, jednakże w ciszy słyszałem, jak ptaki głodu się naradzają, rozważają różne wyjścia, ustalają wspólny plan. I w owej ciszy czułem na sobie ich wzrok.

Coś na drzewie załopotało wielkimi skrzydłami i krzyknęło głosem, w którym mieszały się tryumf i zachwyt, głód i radość.

Poczułem, jak coś w moim sercu reaguje na ów krzyk, niczym maleńka lodowa drzazga w piesi.

– *Nie możemy przekroczyć granicy. To prawda. Nie możemy zabrać dziecka z waszej ziemi. To także prawda. Nie możemy skrzywdzić waszej farmy bądź stworzeń...*

– Zgadza się. Nie możecie. Zatem wynocha stąd! Wracajcie do domu. Czy nie macie tam aby jakiejś wojny?

– *To prawda, nie możemy zaszkodzić waszemu światu.*

– *Ale temu owszem.*

Jeden z ptaków głodu sięgnął ostrym dziobem ku ziemi u stóp i zaczął ją szarpać – nie jak stwór jedzący ziemię i strawę, lecz jakby pożerał zasłonę bądź kawałek scenografii z wymalowanym na nim światem. W miejscu, gdzie pochłonął trawę, nie pozostało nic – absolutnie nic, jedynie kolor kojarzący mi się z szarością, lecz pozbawiony kształtu, pulsujący niczym szum na ekranie naszego telewizora, gdy wyłączyło się antenę i obraz zupełnie zniknął.

To była otchłań. Nie czerń, nie nicość. Oto, co leży poza cienko malowaną powłoką rzeczywistości. Ptaki głodu zaczęły uderzać skrzydłami i tłoczyć się obok siebie.

Wylądowały na wielkim rozłożystym dębie, szarpiąc go i pożerając; po chwili drzewo zniknęło, wraz ze wszystkim, co kryło się za nim.

Z żywopłotu wymknął się lis i pobiegł drogą, złociste światło farmy oświetlało jego oczy, maskę i futro. Nim zdołał pokonać połowę jej szerokości, został wydarty ze świata, pozostawiając po sobie tylko otchłań.

– On miał rację – powiedziała Lettie. – Musimy obudzić babcię.

– To się jej nie spodoba – odparła Ginnie. – Równie dobrze mogłybyśmy spróbować obudzić bom...

– Nieważne. Jeśli jej nie obudzimy, zniszczą całe to stworzenie.

– Nie wiem jak – rzekła jedynie Ginnie.

Grupka ptaków głodu pofrunęła w górę ku plamie nocnego nieba, na której w przerwie między chmurami widać było gwiazdy. Zaczęły szarpać gwiazdozbiór w kształcie latawca, którego nie potrafiłbym nazwać, drapały, darły, przeżuwały i połykały. Wystarczyło kilka uderzeń serca, by

w miejscu, gdzie wcześniej tkwił gwiazdozbiór i niebo, pozostała jedynie pulsująca nicość, raniąca mi oczy, kiedy spojrzałem wprost na nią.

Byłem normalnym dzieckiem – co oznacza: samolubnym i nie do końca przekonanym o istnieniu rzeczy niebędących mną, i pewnym, absolutnie, niewzruszenie pewnym, że jestem najważniejszą istotą w całym wszechświecie. Nie istniało nic ważniejszego dla mnie ode mnie samego.

Mimo to, zrozumiałem, co widzę. Ptaki głodu rozszarpią – już to robiły – cały świat, zamieniając go w nicość. Wkrótce nie będzie już świata. Moja matka, mój ojciec, siostra, dom, szkolni przyjaciele, miasto, dziadkowie, Londyn, Muzeum Historii Naturalnej, Francja, telewizja, książki, starożytny Egipt – przeze mnie wszystko to zniknie i nic ich nie zastąpi.

Nie chciałem umierać. Co więcej, nie chciałem umrzeć tak jak Ursula Monkton, pod okrutnymi szponami i dziobami stworów, które być może nie miały nawet nóg ani twarzy.

W ogóle nie chciałem umierać. Zrozumcie to.

Ale nie mogłem pozwolić, by wszystko uległo zniszczeniu, kiedy mogłem to powstrzymać.

Wypuściłem dłoń Lettie Hempstock i pobiegłem ile sił w nogach, wiedząc, że jeśli się zawaham, nawet zwolnię, to zmienię zdanie, a to byłaby najgorsza rzecz, jaką mógłbym zrobić, bo oznaczałaby ocalenie własnego życia.

Jak daleko pobiegłem? W sumie chyba niedaleko. Lettie Hempstock krzyczała, żebym się zatrzymał, ja jednak biegłem po ziemi, na której każde źdźbło trawy, każdy kamyk drogi, każda wierzba i leszczynowy żywopłot jarzyły się złocistym blaskiem, biegłem ku ciemności poza farmą Hempstocków. Biegłem, nienawidząc się za to, tak jak nienawidziłem się wtedy, gdy zeskoczyłem z wysokiej trampoliny w basenie. Wiedziałem, że nie ma odwrotu, że to musi skończyć się bólem, i wiedziałem, że jestem gotów oddać własne życie za świat.

Kiedy pobiegłem ku nim, ptaki głodu wystartowały w powietrze jak spłoszone gołębie. Krążyły, zataczając pętle, ciemne cienie w mroku.

Zatrzymałem się w ciemności, czekając, aż opadną. Czekałem, aż ich dzioby rozedrą mi pierś i pochłoną serce.

Stałem tam może dwie sekundy, zdawało się, że to trwało wieki.

A potem się stało. Coś rąbnęło we mnie od tyłu i wywróciło mnie na twarz w błoto na poboczu. Ujrzałem błyski nieistniejącego światła. Ziemia

walnęła mnie w brzuch i straciłem oddech.

(Tu pojawia się widmowe wspomnienie: ulotna chwila, drżące odbicie w stawie pamięci. Wiem, co bym czuł, gdyby drapieżcy wyrwali mi serce. Jakie to uczucie, kiedy ptaki głodu, same dzioby i paszcze, rozdarły mi pierś i wyrwały serce, wciąż bijące, pochłaniając je, by dopaść to, co kryło się w środku. Znam to uczucie, jakby stanowiło prawdziwą część mojego życia, mojej śmierci. A potem wspomnienie rozdziera się, ucina gładko i...).

– Idioto – usłyszałem – nie ruszaj się. Ani trochę. – Głos należał do Lettie Hempstock, a ja nie mógłbym się ruszyć, gdybym nawet chciał. Leżała na mnie, była cięższa ode mnie i przygniatała mnie twarzą do trawy i mokrej ziemi, a ja niczego nie widziałem.

Ale je poczułem.

Poczułem, jak zderzają się z nią. Przytrzymywała mnie, robiąc z siebie barierę pomiędzy mną a światem.

Usłyszałem, jak jej głos zawodzi z bólu.

Czułem, jak dygocze i szarpie się. Wokół rozlegały się paskudne krzyki tryumfu i głodu, a ja słyszałem własny głos, jęczący, szlochający, tak głośny w moich uszach...

– To niedopuszczalne – rzekł ktoś.

Głos zabrzmiał znajomo, mimo to jednak nie potrafiłem go umiejscowić ani przesunąć się, by zobaczyć kto to.

Lettie leżała na mnie, wciąż dygotała, lecz gdy głos przemówił, znieruchomiała.

– Z czyjego upoważnienia ranicie moje dziecko?

Chwila ciszy. A potem:

– Była między nami i naszą prawowitą ofiarą.

– Jesteście padlinożercami. Pożeracie szczątki, śmiecie, odpady. Sprzątacie. Sądzicie, że możecie ranić moją rodzinę?

I wtedy pojąłem, kto mówi. Głos brzmiał jak babcia Lettie, Starsza Pani Hempstock. Jak ona, a jednocześnie zupełnie inaczej. Gdyby Starsza Pani Hempstock była cesarzową, mogłaby przemawiać w ten sposób, bardziej wyniośle i oficjalnie – a jednak melodyjnie – niż staruszka, którą poznałem.

Na plecy ściekało mi coś mokrego i ciepłego.

– Nie... Nie, pani.

Wówczas po raz pierwszy usłyszałem ton zwątpienia w głosie jednego z ptaków głodu.

– Istnieją prawa i traktaty, a wy złamałyście je wszystkie.

Zapadła cisza, głośniejsza niż jakiekolwiek słowa. Nie miały nic do powiedzenia.

Poczułem, jak ciało Lettie stacza się z mojego, uniosłem głowę i ujrzałem rozsądne oblicze Ginnie Hempstock. Siedziała na ziemi na skraju drogi, a ja ukryłem twarz w jej piersi. Objęła mnie jedną ręką, a swoją córkę drugą.

– *Przykro nam z powodu pani straty* – przemówił z cieni jeden z ptaków głodu, głosem niebędącym głosem.

– Przykro? – Nie wypowiedziała tego słowa, wypluła je.

Ginnie Hempstock zakołysała się z boku na bok, nucąc cicho mnie i swojej córce. Obejmowała mnie ramionami. Uniosłem głowę i obejrzałem się na mówiącą osobę, łzy przesłaniały mi świat.

Spojrzałem na nią.

Chyba faktycznie była to Starsza Pani Hempstock. Tylko że nie była. To była babcia Lettie, tak jak...

To znaczy...

Jaśniała niczym srebro. Włosy nadal miała długie, wciąż białe, ale teraz była wysoka i wyprostowana jak nastolatka. Moje oczy zanadto przywykły do ciemności i nie mogłem spojrzeć jej w twarz, by przekonać się, czy wygląda znajomo: była zbyt jasna. Jasna jak rozbłysk magnezji. Fajerwerki w czasie świąt. Słońce w południe odbijające się od srebrnej monety.

Wpatrywałem się w nią tak długo jak mogłem, a potem odwróciłem głowę, zaciskając mocno powieki. Teraz widziałem jedynie pulsujący powidok.

Głos przypominający ten Starszej Pani Hempstock rzekł:

– Czy mam uwięzić was w sercu ciemnej gwiazdy, byście czuły swój ból w miejscu, gdzie każdy ułamek chwili trwa tysiąc lat? Czy mam przywołać traktaty Stworzenia i usunąć was wszystkie z listy stworzonych istot, by ptaki głodu nigdy nie istniały i wszystko, co zechce krążyć od świata do świata, mogło to czynić bezkarnie?

Nasłuchiwałem odpowiedzi, niczego jednak nie usłyszałem. Tylko jęk, pisk bólu i zawodu.

– Skończyłam z wami. Rozprawię się z wami na swój własny sposób i w chwili, którą sama wybiorę. Na razie muszę zająć się dziećmi.

– *Tak, pani.*

– Dziękujemy, pani.

– Nie tak szybko. Nikt nigdzie nie odejdzie, zanim nie przywrócicie wszystkiego do poprzedniego stanu. Na niebie brakuje Boötesa. Brak też dębu i lisa. Macie je przywrócić, takimi jakie były. – A potem srebrzysta cesarzowa dodała głosem należącym bez cienia wątpliwości do Starszej Pani Hempstock. – Warminty.

Coś nuciło jakąś melodię. Jakby z daleka zorientowałem się, że to ja, i w tym samym momencie przypomniałem sobie, co to za piosenka: „Chłopcy i dziewczęta, chodźmy bawić się”.

...kiedy księżyc świeci jasny niczym w dzień.
Więc zostawcie obiad, wody pełen dzban,
razem na ulicy wypuśćcie się w tan
Przyjdźcie tu z okrzykiem, ze śmiechem, kto chce,
Z całym, zdrowym sercem, albo wcale nie.

Tuliłem się do Ginnie Hempstock. Pachniała farmą i kuchnią, zwierzętami i jedzeniem. Pachniała bardzo rzeczywiście, a w tym momencie nade wszystko pragnąłem rzeczywistości.

Wyciągnąłem rękę i z wahaniem dotknąłem ramienia Lettie. Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała.

Wtedy Ginnie zaczęła coś mówić, ale z początku nie wiedziałem, czy zwraca się do siebie, do Lettie, czy do mnie.

– Przekroczyły granicę – rzekła. – Mogły cię zranić, dziecko, i nic by to nie znaczyło. Mogły zniszczyć ten świat i nikt niczego by nie powiedział – to w końcu tylko świat, a światy są jak ziarnka piasku na pustyni. Ale Lettie to jedna z Hempstocków. Moja maleńka wykracza poza ich władanie. A one ją zraniły.

Spojrzałem na Lettie. Jej głowa opadła. Oczy miała zamknięte.

– Czy ona wyzdrowieje? – spytałem.

Ginnie nie odpowiedziała; jeszcze mocniej przytuliła nas do piersi i zakołysała się, nucąc melodię bez słów.

Farma i ziemia nie jarzyły się już złocistym blaskiem. Nie czułem też, by cokolwiek wśród cieni mnie obserwowało.

– Nie martw się – rzekł stary głos, znów znajomy. – Jesteście bezpieczni jak w domu, bezpieczniejsi niż w większości znanych mi domów. Odeszły.

– Ale tu wrócą – powiedziałem. – Chcą dostać moje serce.

– Nie wrócą do tego świata za całą herbatę w Chinach – nie zgodziła się Starsza Pani Hempstock. – I nie mam na myśli tego, że potrzebują do czegokolwiek herbaty albo Chin. Po co one padlinożercom?

Czemu zdawało mi się, że była odziana w srebro? Miała na sobie połatany szary szlafrok, narzucony na coś, co musiało być nocną koszulą, tyle że taką, która wyszła z mody kilkaset lat wcześniej.

Stara kobieta położyła dłoń na bladym czole wnuczki, uniosła ją i puściła.

Matka Lettie pokręciła głową.

– To koniec – rzekła.

I wtedy zrozumiałem i poczułem się głupio, że nie pojąłem wcześniej. Dziewczynka leżąca obok mnie na kolanach matki, przytulona do jej piersi, oddała za mnie własne życie.

– Miały zranić mnie, nie ją – powiedziałem.

– Nie ma powodu, dla którego miałyby zabrać którekolwiek z nas – odparła staruszka, pociągając wzgardliwie nosem.

I wtedy poczułem się winny, bardziej winny niż kiedykolwiek w życiu.

– Powinniśmy ją zawieźć do szpitala – podsunąłem z nadzieją. – Możemy wezwać doktora. Może zdołają ją wyleczyć.

Ginnie pokręciła głową.

– Czy ona umarła? – spytałem.

– Umarła? – powtórzyła staruszka w szlafroku; sprawiała wrażenie urażonej. – Akuhat – dodała, arystokratycznie nie wymawiając r, jakby tylko w ten sposób mogła podkreślić wagę swych słów. – Akuhat. Któhaś z Hempstocków nigdy nie zhobiłaby czegoś tak... pospolitego.

– Jest ranna. – Ginnie Hempstock przytuliła mnie mocniej. – Ranna tak ciężko, jak tylko mogła zostać ranna. Tak bliska śmierci, że może ją spotkać, jeśli nie zrobimy czegoś, i to szybko. – Jeszcze raz mnie objęła. – A teraz uciekaj. – Niechętnie podniosłem się z jej kolan i wstałem.

Ginnie Hempstock dźwignęła się z ziemi, trzymając w ramionach bezwładne ciało córki. Lettie zakołysała się i szarpnęła niczym szmaciana lalka, gdy matka wstała, a ja wpatrywałem się w nią nieopisanie wstrząśnięty.

– To była moja wina – powiedziałem. – Przepraszam. Naprawdę mi przykro.

– Chciałeś dobrze – odparła Starsza Pani Hempstock, lecz Ginnie Hempstock milczała.

Ruszyła drogą w stronę farmy, potem skręciła za dojarnią. Zdawało mi się, że Lettie jest zbyt duża, by dało się ją nieść, lecz Ginnie dźwigała ją, jakby ważyła nie więcej niż kocię, z głową i tułowiem opartymi o jej ramię, jak śpiące dziecko, które zabiera na górę do łóżka. Niosła ją ścieżką, za żywopłot, i jeszcze dalej, i dalej, aż w końcu dotarliśmy do stawu.

Tu nie wiał wiatr, noc była idealnie cicha: naszą ścieżkę oświetlał księżyc, nic więcej; staw, gdy tam dotarliśmy, był zwykłym stawem. Nie dostrzegłem ani śladu złocistego, migotliwego światła. Na niebie nie lśnił magiczny księżyc w pełni. Staw był czarny i mętny, w tafli odbijał się księżyc, prawdziwy sierp księżyca.

Zatrzymałem się na brzegu, Starsza Pani Hempstock stanęła obok mnie.

Lecz Ginnie Hempstock szła dalej.

Potykając się, wmaszerowała do stawu, aż w końcu brodziła po uda, jej płaszcz i spódnica unosiły się na wodzie, gdy tak szła, rozszczepiając odbicie księżyca na dziesiątki maleńkich księżycków, które rozbijały się i z powrotem składały wokół niej.

Pośrodku stawu, gdy czarna woda zakryła jej biodra, zatrzymała się. Zdjęła Lettie z ramienia, tak że jej ręce przytrzymywały jedynie głowę i kolana dziewczyny, a potem powoli, bardzo powoli, włożyła Lettie do wody.

Ciało dziewczynki unosiło się na powierzchni stawu.

Ginnie cofnęła się o krok, potem kolejny, nie odwracając wzroku od córki.

Usłyszałem szum, jakby pędził ku nam niewiarygodnie silny wiatr.

Ciało Lettie zadygotało.

Nie było wiatru, lecz na powierzchni stawu pojawiły się białe grzywy. Ujrzałem fale, z początku łagodne, niewielkie, potem większe, załamujące się i uderzające o brzeg. Jedna wzniosła się i opadła niedaleko mnie, obryzgując mi twarz i ubranie. Poczułem na wargach smak wody: była słona.

– Przepraszam, Lettie – wyszeptałem.

Powinienem był widzieć drugi brzeg stawu. Widziałem go zaledwie parę chwil wcześniej. Teraz jednak fale zasłoniły go i dostrzegałem jedynie unoszące się na powierzchni ciało Lettie, a także ogrom samotnego oceanu i ciemność.

Fale stawały się coraz większe. Woda zaczęła lśnić w blasku księżyca, jak wtedy w wiadrze, jasnym, idealnym, błękitnym blaskiem. Czarna plama na powierzchni to było ciało dziewczyny, która uratowała mi życie.

Na moim ramieniu spoczęły kościste palce.

– Za co przepraszasz, chłopcze? Za to, że ją zabiłeś?

Pokiwałem głową, nie ufając własnemu głosowi.

– Ona nie umarła. Nie zabiłeś jej ani ty, ani ptaki głodu, choć ze wszystkich sił starały się dopaść cię przez nią. Oddałyśmy ją jej oceanowi. Pewnego dnia, w swoim czasie, ocean ją nam zwróci.

Pomyślałem o trupach i szkieletach z perłami zamiast oczu. Pomyślałem o syrenach z ogonami falującymi przy każdym ruchu, tak jak ogonki moich złotych rybek, nim trzepocząca rybka przestała się poruszać i leżała brzuchem do góry, jak Lettie na powierzchni wody.

– Czy będzie taka sama? – spytałem.

Stara kobieta zaśmiała się, jakbym powiedział najzabawniejszy dowcip we wszechświecie.

– Nic nigdy nie jest takie samo – odparła. – Nieważne, sekundę czy sto lat później. Wszystko zawsze przelewa się, kipi, a ludzie zmieniają się tak samo jak oceany.

Ginnie wygramoliła się z wody i stanęła na brzegu obok mnie ze zwieszoną głową. Fale rozbijały się, załamywały i cofały, bryzgając. Usłyszałem odległy łoskot, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy: coś zbliżało się ku nam przez ocean. Przybyło z odległości mil, setek i setek mil: cienka biała linia, wytrawiona w lśniącym błękicie, rosnąca z każdą chwilą.

Wielka fala nadeszła, świat zahuczał, a ja uniosłem wzrok, gdy do nas dotarła: wyższa od drzew, od domów, wyższa, niż mógł ogarnąć umysł, oczy bądź serce.

Załamała się dopiero gdy dotarła do ciała Lettie Hempstock. Spodziewałem się, że zaleje mnie, bądź, co gorsza, porwie, rozgniewana woda oceanu, i uniosłem rękę, by osłonić twarz.

Nic jednak nie chlusnęło, nie usłyszałem ogłuszającego huku, a gdy opuściłem rękę, ujrzałem tylko nieruchome czarne wody nocnego stawu. Na jego powierzchni nie było niczego prócz kilku nenufarów i zamyślonego, niepełnego odbicia księżyca.

Starsza Pani Hempstock także zniknęła. Sądziłem, że stała obok mnie, lecz teraz ujrzałem tam tylko Ginnie, zapatrzoną w milczeniu na ciemne zwierciadło małego stawu.

– No dobra – powiedziała – zabiorę cię do domu.

XV

Obok obórki parkował land rover. Drzwi miał otwarte, kluczyk tkwił w stacyjce.

Usiadłem na zasłanym gazetą fotelu pasażera, patrząc, jak Ginnie Hempstock przekręca kluczyk. Silnik zakrztusił się kilka razy i ożył.

Nie wyobrażałem sobie, by którakolwiek z pań Hempstock mogła prowadzić.

– Nie wiedziałem, że macie samochód – przyznałem.

– Wielu rzeczy nie wiesz – odparła cierpko pani Hempstock. Potem zerknęła na mnie łagodniej i dodała: – Nie możesz wiedzieć wszystkiego.

Wycofała land rovera, który podskoczył kilka razy na wybojach i kałużach na tyłach farmy.

Coś nadal mnie dręczyło.

– Starsza Pani Hempstock mówiła, że Lettie nie umarła – rzekłem. – Ale wyglądała na martwą. Myślę, że tak naprawdę zginęła. Nie wydaje mi się, żeby mogła wciąż żyć.

Ginnie wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć na temat natury prawdy, ale nie powiedziała.

– Lettie jest ranna – rzekła tylko. – Bardzo ciężko ranna. Ocean ją zabrał. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek ją odda. Ale możemy mieć nadzieję, prawda?

– Tak. – Zacisnąłem dłonie w pięści, z całych sił przywołując nadzieję.

Jechaliśmy drogą, podskakując, z prędkością piętnastu mil na godzinę.

– Czy ona była... jest... naprawdę pani córką? – spytałem.

Nie wiedziałem i nadal nie wiem, czemu zadałem to pytanie. Może po prostu chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o dziewczynie, która uratowała mi życie, która ocaliła mnie więcej niż raz. Tak naprawdę nic o niej nie wiedziałem.

– Mniej więcej – odparła Ginnie. – Mężczyźni Hempstocków, moi bracia, wyruszyli w świat i mieli dzieci, które miały dzieci. W waszym świecie żyją kobiety Hempstocków i założę się, że każda z nich sama w sobie jest cudem. Ale tylko babcia, ja i Lettie jesteśmy czystej krwi.

– Ona nie miała tatusia? – spytałem.

– Nie.

– A pani miała tatusia?

– Jesteś dziś pełen pytań, co? Nie, skarbie. Nigdy nie przepadałyśmy za czymś takim. Mężczyzn potrzeba tylko, jeśli chce się wyhodować kolejnych mężczyzn.

– Nie musi mnie pani zawozić do domu – powiedziałem. – Mógłbym zostać z wami. Mógłbym zaczekać, aż Lettie wróci z oceanu, pracować na waszej farmie, dźwigać różne rzeczy i nauczyć się prowadzić traktor.

– Nie – odparła łagodnym głosem. – Masz własne życie. Lettie ci je dała. Musisz tylko dorosnąć i spróbować być tego wart.

Poczułem ukłucie urazy. Dostatecznie trudno jest żyć, próbować przeżyć w tym świecie i znaleźć swoje miejsce, robić w nim to co trzeba, by przetrwać, nie zastanawiając się, czy to, co właśnie uczyniłem, cokolwiek to było, było warte czyjejś... jeśli nie śmierci, to poświęcenia życia. To niesprawiedliwe.

– Życie nie jest sprawiedliwe – odparła Ginnie, jakbym powiedział to na głos.

Skręciła w nasz podjazd, zatrzymując się przed frontowymi drzwiami. Wysiadłem, ona także.

– Tak będzie ci łatwiej wrócić do domu – oznajmiła.

Pani Hempstock nacisnęła dzwonek, choć drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz, i z uwagą zaczęła wycierać podeszwy swoich gumiaków o wycieraczkę, póki moja matka nie otworzyła. Ubrana była do snu, miała na sobie pikowany różowy szlafrok.

– Proszę bardzo – powiedziała Ginnie. – Oto on, cały i zdrowy, żołnierz powracający z wojen. Świetnie się bawił na pożegnalnym przyjęciu naszej Lettie, ale już czas, by młody człowiek odpoczął.

Moja matka spojrzała na nią pustym – niemal oszołomionym – wzrokiem, a potem zamęt na jej twarzy zastąpił uśmiech, jakby świat przybrał nagle znajomą, sensowną postać.

– Och, nie musiała go pani odwozić – rzekła. – Jedno z nas mogło podjechać po niego. – Spojrzała na mnie z góry. – Co powiesz pani Hempstock, skarbie?

– Dziękuję za zaproszenie – odparłem automatycznie.

– Doskonale, kochanie – powiedziała matka, a potem dodała: – Lettie wyjeżdża?

– Do Australii – wyjaśniła Ginnie. – Zamieszka z ojcem. Będzie nam brakowało odwiedzin tego młodzieńca, ale, no cóż. Damy znać, kiedy Lettie wróci. Wtedy znów będzie mógł przyjść do nas się pobawić.

Zaczynałem być bardzo zmęczony. Świetnie się bawiłem na przyjęciu, choć niewiele z niego pamiętałem. Wiedziałem jednak, że nie odwiedzę więcej farmy Hempstocków. Nie, póki nie wróci Lettie.

Australia leżała bardzo, bardzo daleko. Zastanawiałem się, ile minie czasu, nim Lettie wróci od ojca z Australii. Pewnie lata. Australia leży przecież po drugiej stronie świata, za oceanem...

Jakaś drobna cząstka mojego umysłu przypomniała sobie odmienny wzór wydarzeń, a potem go straciła, zupełnie jakbym ocknął się z miłego snu, rozejrzał dokoła, naciągnął na siebie kołdrę i znów zasnął.

Pani Hempstock wsiadła z powrotem do swego starego land rovera, tak bardzo upaćkanego błotem (widziałem to teraz w świetle padającym znad drzwi frontowych), że nie było widać pod nim ani śladu pierwotnej farby. Wycofała się podjazdem w stronę drogi.

Matce wyraźnie nie przeszkadzał fakt, że wróciłem do domu w dziwacznym, eleganckim stroju o niemal jedenastej wieczór.

– Mam złe wieści, kochanie – rzekła.

– Jakie?

– Ursula musiała odejść. Sprawy rodzinne. Ważne sprawy rodzinne. Już wyjechała. Wiem, jak bardzo oboje ją lubiliście.

Wiedziałem, że ja jej nie lubiłem, ale nie odpowiedziałem.

W mojej sypialni na górze nikt nie spał. Matka spytała, czy chciałbym pomieszkać tam jakiś czas. Odparłem, że nie, nie wiedząc, czemu odmawiam. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo nie lubiłem Ursuli Monkton – w istocie czułem lekkie wyrzuty sumienia za to,

że darzyłem ją tak absolutną i irracjonalną niechęcią – ale nie chciałem wracać do tego pokoju, mimo małej żółtej umywalki idealnie moich rozmiarów, i pozostałem we wspólnej sypialni, dopóki pięć lat później nasza rodzina nie wyprowadziła się z domu (my, dzieci protestowaliśmy, dorośli chyba zrobili to z ulgą, że kończą się ich problemy finansowe).

Po naszej wyprowadzce dom zburzono. Nie poszedłem obejrzeć go pustego i odmówiłem oglądania rozbiórki. Zbyt wiele mojego życia wiązało się z owymi cegłami i dachówkami, rynnami i murami.

Wiele lat później moja siostra, wówczas już dorosła, wyznała mi, że uważa, że nasza matka zwolniła Ursulę Monkton (którą wspominała z wielką sympatią jako jedyną miłą z długiej serii marudnych opiekunek), bo nasz ojciec miał z nią romans. Przyznałem, że to całkiem możliwe. Nasi rodzice wówczas jeszcze żyli i mogłem ich spytać, ale tego nie zrobiłem.

Ojciec nie wspomniał o wydarzeniach tamtych nocy, ani wtedy, ani nigdy później.

Po dwudziestce w końcu zaprzyjaźniłem się z nim. Gdy byłem chłopcem, niewiele nas łączyło i jestem pewien, że sprawiałem mu zawód. Nie marzył o dziecku z książką, zamkniętym we własnym świecie. Pragnął syna, który robiłby to co on: pływał, boksował i grał w rugby, a także z radością i zapałem jeździł szybko samochodami, ale dostał coś innego.

Nigdy więcej nie powędrowałem drogą aż do końca. Nie myślałem o małym mini. Kiedy wspominałem górnika opali, to wyłącznie w kontekście dwóch nieoszlifowanych kamieni tkwiących na naszym kominku; w moich wspomnieniach zawsze nosił kraciastą koszulę i dżinsy. Twarz i ręce miał opalone, nie czerwone jak wiśnia, po zatruciu tlenkiem węgla, i nie nosił muszki.

Potwór, rudy kocur, którego zostawił nam górnik opali, odszedł gdzieś do innych rodzin i choć od czasu do czasu widywaliśmy go, jak poluje w rowach i wśród drzew na końcu drogi, nie przychodził, gdy go wołaliśmy. Muszę przyznać, że sprawiło mi to ulgę. Nigdy nie był naszym kotem. My o tym wiedzieliśmy i on też.

Podejrzewam, że historia ma znaczenie tylko wtedy, gdy występujący w niej ludzie się zmieniają. Ale w czasie tych wszystkich wydarzeń miałem zaledwie siedem lat i pod ich koniec pozostałem tą samą osobą jak na początku, prawda? Podobnie wszyscy inni. Bo musieli. Ludzie się nie zmieniają.

Ale inne rzeczy się zmieniły.

Jakiś miesiąc po opisanych tu wydarzeniach i pięć lat przed tym, nim walący się świat, w którym żyłem, został wyburzony i zastąpiony schludnymi przysadzistymi kanciastymi domami pełnymi bystrych młodych ludzi pracujących w mieście, lecz mieszkających w moim miasteczku, zarabiających pieniądze przenoszeniem pieniędzy z miejsca na miejsce, lecz nie budujących, kopiących, uprawiających ziemię ani tkających, i dziewięć lat przed tym, nim pocałowałem uśmiechniętą Callie Anders...

Wróciłem do domu ze szkoły. Był maj czy może początek czerwca. Ona czekała przy tylnych drzwiach, jakby wiedziała dokładnie gdzie jest i kogo szuka: młoda czarna kotka, nieco większa od kociaka, z białą plamą na jednym uchu i oczami barwy intensywnego i nietypowego zielonkawego błękitu.

Weszła za mną do domu.

Nakarmiłem ją zapomnianą puszką kociego jedzenia Potwora, której zawartość wygarnąłem do zakurzonej miseczki.

Moi rodzice nie zauważyli zniknięcia rudego kocura i z początku nie dostrzegli też przybycia nowej kotki. Kiedy w końcu ojciec wspomniał coś o jej istnieniu, mieszkała z nami od kilku tygodni, zwiedzając ogród, póki nie wróciłem do domu ze szkoły, a potem trzymając się blisko, gdy bawiłem się bądź czytałem. Nocami czekała pod łóżkiem na zgaszenie świateł, potem układała się na poduszce obok mnie, myjąc mi włosy i mrucząc tak cicho, że nigdy nie przeszkodziła siostrze.

Zasypiałem z twarzą wtuloną w jej futerko, czując na policzku miękkie, głębokie, elektryczne wibracje.

Miała takie niezwykłe oczy! Przypominały mi morze, toteż dałem jej na imię Ocean i nie potrafiłem wyjaśnić dlaczego.

Epilog

Siedziałem na starej zielonej ławce obok stawu na tyłach domu z czerwonej cegły i myślałem o mojej kotce.

Pamiętałem tylko, że Ocean wyrosła na dużego kota i że uwielbiałem ją przez wiele lat. Zastanawiałem się, co ją spotkało, a potem pomyślałem: to nie ma znaczenia, że nie pamiętam już szczegółów – spotkała ją śmierć. Śmierć spotyka nas wszystkich.

Drzwi domu otwarły się, usłyszałem na ścieżce czyjeś kroki. Wkrótce obok mnie usiadła stara kobieta.

– Przyniosłam ci kubek herbaty – powiedziała. – I kanapkę z serem i pomidorem. Siedzisz tu już dość długo. Myślałam nawet, że wpadłeś do wody.

– Prawie to zrobiłem – odparłem. – I dziękuję.

Nawet nie zauważyłem, że zaczęło już zmierzchać.

Wziąłem kubek i pociągnąłem łyk herbaty. Spojrzałem na kobietę, tym razem uważniej. Porównałem ją ze wspomnieniami sprzed czterdziestu lat.

– Nie jest pani matką Lettie, tylko jej babcią, prawda? Pani jest Starszą Panią Hempstock.

– Zgadza się – odparła. – Zjedz kanapkę.

Ugryzłem kawałek. Była smaczna, naprawdę smaczna. Świeży chleb, ostry, słony ser i pomidory z rodzaju tych, które naprawdę czymś smakują.

Wciąż zalewały mnie wspomnienia i chciałem wiedzieć, co oznaczają, co znaczą wszystkie.

– Czy to prawda? – spytałem i poczułem się głupio. Ze wszystkich pytań, które mogłem zadać, musiałem wybrać akurat to.

Starsza Pani Hempstock wzruszyła ramionami.

– To, co ci się przypomniało? Prawdopodobnie. Mniej więcej. Różni ludzie inaczej pamiętają różne rzeczy, nie znajdziesz nawet dwóch osób, które zapamiętałyby coś tak samo, nieważne, były tam czy nie. Choćbyście nawet stali obok siebie, równie dobrze moglibyście się znaleźć na różnych kontynentach.

Pozostała mi jeszcze jedna kwestia.

– Po co tu przyjechałem?

Spojrzała na mnie, jakbym zadał podchwytliwe pytanie.

– Na pogrzeb – odparła. – Chciałeś oderwać się od innych i pobyć trochę sam. Dlatego najpierw wróciłeś w miejsce, gdzie mieszkałeś w dzieciństwie, a kiedy nie znalazłeś tam tego, za czym tęskniłeś, pojechałeś na koniec drogi i przyszedłeś tutaj, jak zawsze.

– Jak zawsze? – Pociągnąłem łyk herbaty. Wciąż była gorąca i dość mocna: doskonały napój robotnika. Dałoby się postawić w niej łyżkę, jak mawiał mój ojciec o herbacie, która budziła w nim aprobatę.

– Jak zawsze – powtórzyła.

– Nie – zaprotestowałem. – Myli się pani. To znaczy, nie było mnie tu od, odkąd, no, odkąd Lettie wyjechała do Australii. Od jej przyjęcia pożegnalnego. – A potem dodałem: – Którego nigdy nie było. Wie pani, co mam na myśli.

– Czasami tu wracasz – odparła. – Pamiętam, że wpadłeś, kiedy skończyłeś dwadzieścia cztery lata. Miałeś dwoje małych dzieci i tak bardzo się bałeś. Przyjechałeś tu, nim wyprowadziłeś się z tej części świata. Dobiegałeś wtedy trzydziestki, prawda? Podałam ci solidny posiłek w kuchni, a ty opowiedziałeś mi o swoich marzeniach i sztuce, którą tworzysz.

– Nie pamiętam.

Odgarnęła włosy z oczu.

– Tak jest łatwiej.

Pociągnąłem łyk herbaty i skończyłem kanapkę. Kubek był biały, podobnie talerzyk. Niekończący się letni wieczór powoli dobiegał końca.

– Po co tu przyjechałem? – spytałem ponownie.

– Bo Lettie tego chciała – odparł ktoś.

Osoba, która to powiedziała, okrążała staw: kobieta w brązowym płaszczu i gumiakach. Spojrzałem na nią zaskoczony. Wyglądała młodziej niż ja teraz. Zapamiętałem ją jako olbrzymią dorosłą, teraz jednak przekonałem się, że nie skończyła jeszcze czterdziestki. Pamiętałem ją jako tęgawą, była jednak krągła i atrakcyjna, na swój rumiany sposób. Nadal pozostawała Ginnie Hempstock, matką Lettie, i nie wątpiłem, że wygląda dokładnie tak jak czterdzieści lat wcześniej.

Usiadła na ławce po mojej drugiej stronie, tak że otoczyły mnie kobiety Hempstocków.

– Myślę, że Lettie chce po prostu wiedzieć, czy było warto.

– Czy co było warto?

– Ty – odparła cierpko staruszka.

– Lettie zrobiła dla ciebie coś bardzo wielkiego – wyjaśniła Ginnie. – Myślę, że chce się dowiedzieć, co się działo dalej i czy warto było to zrobić.

– Ona... poświęciła się dla mnie.

– W pewnym sensie, mój drogi – odparła Ginnie. – Ptaki głodu wyrwały ci serce. Kiedy umierałeś, krzyczałeś tak żałośnie. Nie mogła tego znieść. Musiała coś zrobić.

Spróbowałem sobie przypomnieć.

– Nie tak to pamiętam – powiedziałem.

I wtedy pomyślałem o swoim sercu, zastanawiając się, czy nadal tkwi w nim zimny fragment przejścia, i jeśli tak, czy to dar, czy klątwa.

Starsza pani pociągnęła nosem.

– Czy nie wyjaśniałam właśnie, że każdy zapamiętuje wszystko inaczej?

– Mógłbym z nią porozmawiać? Z Lettie?

– Ona śpi – odparła matka Lettie. – Wciąż się uzdrawia. Jeszcze nie mówi.

– Nie, dopóki nie skończy swoich spraw tam, gdzie jest teraz – dodała babcia Lettie i wykonała jakiś gest, nie umiałem jednak stwierdzić, czy wskazuje kaczy staw, czy też niebo.

– A kiedy to będzie?

– Kiedy będzie gotowa – odparła staruszka, a jej córka dodała:

– Wkrótce.

– No cóż – powiedziałem. – Skoro sprowadziła mnie tu, by mnie obejrzeć, to niech mnie obejrzy. – Mówiąc to, zrozumiałem, że to już się

stało. Od jak dawna siedziałem na tej ławce, wpatrując się w staw? Podczas gdy ja ją wspominałem, ona oglądała mnie. – Och. Już to zrobiła, prawda?

– Tak, mój drogi.

– I czy zdałem?

W gęstniejącym mroku twarz starej kobiety siedzącej po mojej prawicy pozostawała nieprzenikniona. Siedząca po lewej młodsza kobieta przemówiła:

– Nie można zdać lub oblać bycia człowiekiem, mój drogi.

Odstawiłem na ziemię pusty kubek i talerzyk.

– Myślę, że radzisz sobie lepiej niż ostatnio, gdy cię widziałyśmy – dodała Ginnie Hempstock. – Po pierwsze, odrasta ci nowe serce.

W moich wspomnieniach była niczym góra, a ja szlochałem i dygotałem na jej łonie. Teraz okazała się niższa ode mnie i nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mnie pociesza, nie w ten sposób.

Na niebie nad stawem świecił księżyc w pełni. Za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć, w jakiej był fazie, gdy ostatnio go widziałem. Nie pamiętałem nawet, kiedy w ogóle przyglądałem się księżycowi.

– I co się stanie teraz?

– To samo, co za każdym innym razem – odparła stara kobieta. – Wrócisz do domu.

– Nie wiem już nawet, gdzie to jest – przyznałem.

– Zawsze to powtarzasz – rzekła Ginnie.

W mojej wyobraźni Lettie Hempstock wciąż pozostawała wyższa ode mnie o głowę. Miała przecież jedenaście lat. Zastanawiałem się, co – i kogo – bym zobaczył, gdyby stanęła przede mną teraz.

Księżyc w stawie także był w pełni i nagle, nieproszona, w mojej głowie pojawiła się myśl o świętych głupcach z dawnych opowieści, tych, którzy spróbowali złowić w jeziorze księżyc siecią, przekonani, że odbicie w wodzie jest bliższe i łatwiejsze do schwytania niż glob wiszący na niebie.

I oczywiście jest.

Wstałem i przeszedłem kilka kroków na sam skraj stawu.

– Lettie – powiedziałem głośno, starając się nie myśleć o kobietach za plecami. – Dziękuję, że ocaliłaś mi życie.

– W ogóle nie powinna była brać cię ze sobą, kiedy poszła tam na samym początku – parsknęła Starsza Pani Hempstock. – Nic nie

przeszkadzało w tym, by załatwiła to sama. Głupiutka, nie musiała zabierać cię do towarzystwa. Cóż, następnym razem to będzie dla niej nauczka.

Obróciłem się i spojrzałem na Starszą Panią Hempstock.

– Naprawdę pamięta pani, kiedy stworzono księżyc? – spytałem.

– Pamiętam wiele rzeczy – odparła.

– Czy jeszcze tu wrócę?

– Nie tobie to wiedzieć – rzekła stara kobieta.

– A teraz już uciekaj – dodała łagodnie Ginnie Hempstock. – Sporo ludzi zastanawia się, gdzie się podziałeś.

I gdy o tym wspomniała, uświadomiłem sobie z zakłopotaniem i zgrozą, że moja siostra i jej mąż, dzieci, wszyscy życzliwi ludzie, żałobnicy i goście z pewnością zastanawiają się, co się ze mną stało. Mimo wszystko, jeśli kiedykolwiek łatwiej przyszłoby im wybaczyć moje roztargnienie, to właśnie dzisiaj.

To był długi, ciężki dzień. Cieszyłem się, że się skończył.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzałem – rzekłem.

– Nie, mój drogi – odparła stara kobieta. – Ani trochę.

Usłyszałem miauknięcie kota. Chwilę później wyłonił się spośród cieni i stanął w jasnej plamie księżycowego światła. Potem podszedł do mnie pewnym siebie krokiem i trącił łebkiem mój but.

Przykucnąłem i pogłaskałem go po głowie, pogładziłem grzbiet. To był piękny kot, czarny, a przynajmniej tak mi się zdawało, bo w świetle księżyca wszystkie kolory zniknęły. Na jednym uchu miał białą plamę.

– Kiedyś miałem podobną kotkę – powiedziałem. – Nazwałem ją Ocean. Była piękna. Nie pamiętam, co się z nią stało.

– Odniosłeś ją do nas – odparła Ginnie Hempstock.

Dotknęła dłonią mojego ramienia, ściskając je na moment, potem musnęła palcami mój policzek, jakbym był małym dzieckiem bądź kochankiem, i odeszła w noc.

Podniosłem talerzyk i kubek i zabrałem ze sobą ścieżką, którą ze staruszką wróciliśmy do domu.

– Księżyc świeci jasno jak w dzień – zauważyłem. – Jak w piosence.

– Dobrze jest mieć księżyc w pełni – zgodziła się.

– Zabawne – mruknąłem. – Przez moment zdawało mi się, że są panie dwie. Czyż to nie dziwne?

– Jestem tylko ja – odparła staruszka. – Zawsze jestem tylko ja.

– Wiem – powiedziałem. – Oczywiście.

Zamierzałem odnieść talerzyk i kubek do kuchni i włożyć do zlewu, ona jednak zatrzymała mnie przy drzwiach.

– Powinieneś już wracać do swojej rodziny. Niedługo wyślą ekipę poszukiwawczą.

– Wybaczą mi. – Miałem taką nadzieję. Siostra będzie się martwić, znajdzie się też sporo osób, które ledwie znałem, zawiedzionych, że nie mogły mi powiedzieć, jak bardzo, bardzo współczują mi straty. – Była pani dla mnie taka miła. Pozwoliła mi tu posiedzieć i pomyśleć. Nad stawem. Bardzo dziękuję.

– Bajdy i bzdury – odparła. – Nie ma w tym niczego miłego.

– Kiedy następnym razem Lettie napisze z Australii, proszę jej przekazać pozdrowienia.

– Tak zrobię – odparła. – Ucieszy się, że o niej pamiętałeś.

Wsiadłem do samochodu i uruchomiłem silnik. Stara kobieta stała w drzwiach, obserwując mnie uprzejmie, póki nie zawróciłem i odjechałem drogą.

Obejrzałem się na dom we wstecznym lusterku: jakieś optyczne złudzenie sprawiło, że wydało mi się, że na niebie nad nim wiszą dwa księżyce, niczym para obserwujących mnie oczu: jeden idealnie okrągły, w pełni, drugi, bliźniak po przeciwnej stronie nieba, widoczny w połowie.

Zaciekawiony obróciłem się w fotelu i obejrzałem: nad farmą lśniło pół tarczy księżyca, spokojne, jasne, idealne.

Zastanawiałem się, skąd się wzięło złudzenie drugiego księżyca, ale tylko przez chwilę, a potem pomyślałem o czymś innym. Może to powidok, uznałem, albo zjawa: coś przez moment poruszyło się w moim umyśle tak mocno, że wydało mi się rzeczywiste, teraz jednak odeszło i odpłynęło w ciemność, niczym zapomniane wspomnienie bądź cień o zmierzchu.

Podziękowania

Ta książka to książka, którą właśnie przeczytaliście. I jest skończona. Teraz znaleźliśmy się w podziękowaniach. Nie stanowią one tak naprawdę części książki. Nie musicie ich czytać. To głównie nazwiska.

Jestem winien wdzięczność tak wielu ludziom, tym, którzy byli w moim życiu, gdy ich potrzebowałem, którzy przynosili mi herbatę, napisali książki, na których się wychowałem. Wyróżnienie kogokolwiek z nich byłoby niemądre, ale...

Kiedy skończyłem pisać tę książkę, wysłałem ją do wielu przyjaciół z prośbą, by użyczyli mi swych mądrych oczu, a oni odparli, co im się podobało, a co wciąż wymaga pracy. Jestem wdzięczny im wszystkim, ale niektórym należą się szczególne podziękowania. Oto oni: Maria Dahvana Headley, Olga Nunes, Alina Simone (królowa tytułów), Gary K. Wolfe, Kat Howard, Kelly McCullough, Eric Sussman, Hayley Campbell, Valya Dudycz Lupescu, Melissa Marr, Elyse Marshall, Anthony Martignetti, Peter Straub, Kat Dennings, Gene Wolfe, Gwenda Bond, Anne Bobby, Lee „Budgie” Coney, Grace Monk i Cornelia Funke.

Powieść ta, choć wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to będzie powieść, zrodziła się, kiedy Jonathan Strahan poprosił mnie, bym napisał dla niego opowiadanie. Zacząłem pisać historię o górniku opali i rodzinie Hempstocków (która od bardzo dawna mieszkała na farmie w mojej głowie), a Jonathan wybaczył mi, gdy w końcu przyznałem, tak sobie, jak i jemu, że to nie będzie opowiadanie, i pozwoliłem, by opowieść się rozrosła.

Rodzina z tej książki to nie nie moja rodzina, która jednak pozwoliła mi łaskawie splądrować krajobraz mego dzieciństwa i patrzyła, jak swobodnie przekształcam owe miejsca, dopasowując je do opowieści. Jestem wdzięczny im wszystkim, a zwłaszcza najmłodszej siostrze Lizzy, która mnie zachęcała i przysyłała dawno zapomniane, pobudzające pamięć zdjęcia. (Jakże żałuję, że nie przypomniałem sobie starej szklarni dostatecznie wcześnie, by umieścić ją w książce).

W Sarasocie na Florydzie Stephen King przypomniał mi o radości zwykłego codziennego pisania. Czasami słowa ratują nam życie.

Tori zapewniła mi bezpieczny dom, w którym mogłem pracować, i nie potrafię wyrazić, jak bardzo jej za to dziękuję.

Art Spiegelman udzielił mi zgody na wykorzystanie cytatu z jego rozmowy z Maurice'em Sendakiem, opublikowanej w „New Yorkerze".

Gdy zacząłem pracę nad drugą wersją książki, przepisując pierwotny rękopis, nocami w łóżku czytałem codzienny urobek mojej żonie, Amandzie, i odczytując na głos własne słowa, dowiedziałem się o nich więcej niż kiedykolwiek wcześniej. To ona była pierwszą czytelniczką tej powieści, i jej zdumienie, czasem frustracja, pytania i zachwyt poprowadziły mnie przez kolejne wersje. Napisałem tę książkę dla Amandy, gdy była daleko, a ja ogromnie za nią tęskniłem. Bez niej moje życie byłoby nudniejsze i bardziej szare.

Moje córki, Holly i Maddy, a także syn Michael, byli najmądrzejszymi i najłagodniejszymi krytykami.

Mam cudowne redaktorki po obu stronach Atlantyku: Jennifer Brehl i Jane Morpeth, oraz Rosemary Brosnan. Wszystkie czytały pierwszą wersję książki i wszystkie zasugerowały różne zmiany, poprawki i dodatki. Jane i Jennifer zniosły także zaskakująco dobrze wieść o pojawieniu się książki, której nikt z nas się nie spodziewał.

Bardzo chciałbym podziękować komitetowi Wykładów Zeny Sutherland, organizowanych w Chicagowskiej Bibliotece Publicznej: patrząc z perspektywy czasu, wykład, który wygłosiłem tam w 2012 roku, stanowił w istocie głównie rozmowę z samym sobą na temat tej książki, i próbę zrozumienia, co piszę i dla kogo.

Merrilee Heifetz jest od dwudziestu pięciu lat moją agentką literacką. Jej wsparcia dla tej książki, a także wszystkich innych przez ostatnie ćwierćwiecze, nie da się przecenić. Jon Levin, mój agent do spraw

filmowych i tym podobnych, to świetny czytelnik i bombowo naśladuje Ringo Starra.

Poczciwi ludzie z Twittera okazali się niezmiernie pomocni, kiedy potrzebowałem sprawdzić, ile w latach sześćdziesiątych kosztowały batoniki i galaretki. Bez nich zapewne napisałbym tę książkę dwa razy szybciej.

I wreszcie chciałbym podziękować rodzinie Hempstocków, która, w takiej czy innej postaci, zawsze była ze mną, kiedy jej potrzebowałem.

Neil Gaiman
Wyspa Skye,
Lipiec 2012